



MAGDALENA
KORDEL



WILCZY DWÓR

CÓRKA WIATRÓW

Nowa seria autorki bestsellera
Anioł do wynajęcia

znak



CÓRKA WIATRÓW

Wydawnictwo Znak
Kraków 2017

Trudno powiedzieć, kiedy zbudowano Wilczy Dwór. Majątek nosi tę nazwę, odkąd pamiętają najstarsi, a kolejne pokolenia dzieci słuchają wieczorami tej samej opowieści. Nikt nie wie, ile jest w niej prawdy. Wiadomo jednak, że do dzisiaj w okolicach Wilczego Dworu nikt nie śmie polować na wilki... A i one mieszkańcom dworu nigdy nie zrobiły krzywdy.

Zatem i wy posłuchajcie...

– To nie może się tak skończyć! – Zbigniew ściągnął lejce.

Koń zatańczył w miejscu niezadowolony, że go zatrzymują, podczas gdy reszta grupy jedzie dalej. Zbyszek wiedział jednak, że choć prześladowców jeszcze nie widać, pogoń jest niedaleko, zbyt blisko, aby znużone konie mogły jej umknąć. Może wobec tego lepiej złapać choć chwilę odpoczynku, zebrać siły na to, co miało nadejść? Najbardziej martwiła go Katarzyna. Zaawansowana ciąża sprawiała, że była potwornie zmęczona, a lęk o dziecko nie poprawiał sytuacji.

Zbigniew dogonił grupę.

– To już moje rodowe ziemie. Trzy miesiące temu niecałą godzinę drogi stąd stał dwór i folwark, ale teraz pewnie wszystko leży w gruzach. – Katarzyna zaniósła się łzami.

Trzy miesiące temu na majątek, w którym mieszkała kobieta, napadła zbrojna banda. Dowodzeni przez byłego oficera kwarcianego rabusie z łatwością zdobyli zabudowania. Mąż Katarzyny i większość parobków zginęli w obronie dworu. Ją oszczędzono, gdyż jako daleka krewna wielu bogatych i ważnych

rodów Rzeczypospolitej była łakomym kąskiem. Porywacze wysłali posłańca z żądaniem okupu, ale gdy tylko ów dotarł do dworu, został pojmany i skonał na palu, a Zbigniewa wysłano z silną kompanią na ratunek uwięzionej. Niestety, odbiwszy branke, wpadli na drugą bandę Kozaków. Uszła ich ledwie garść, a pogoń zaciekle ich ścigała. Źle działo się w Rzeczypospolitej, jeżeli bandy jedna po drugiej toczyły swoje targi i zajazdy, a ludzie uczciwi nie mogli czuć się bezpiecznie.

Zbigniew nie chciał łudzić Katarzyny fałszywymi obietnicami. Sytuacja nie była jednak zupełnie tragiczna: dwór co prawda spłonął rzeczywiście, ale folwark ocalał, a daleki krewny, księżę na Łubniach i Wiśniowcu, nie pozwolił rozgrabić reszty. Zbigniew wiedział, że folwarku pilnował doborowy oddział jazdy księcia, czekający tylko na jego wezwanie. Wysłał tam wczoraj umyślnego, ale nie wiedział, czy posłaniec dotarł do celu. Równie dobrze wilki mogły rozciągać już jego kości po lasach.

Słońce chyliło się ku zachodowi, a konie potykały się coraz częściej. Przed nimi w mroku majaczył zagajnik i kilka pagórków.

– Zatrzymamy się tutaj – zakomenderował.

– Tak, panie. Konie ustają.

– Rozłóżcie obóz, a panią ukryjcie w zaroślach. My tutaj założymy straż. Nie palić ognia i cicho, może nas ominą. Pani Katarzyno, zaraz podamy pled, pójdzie waćpani trochę dalej?

– Jak każesz, waćpan. Sił już nie mam... – Kobieta zsunęła się z konia prosto w opiekuńcze ramiona rycerza.

Ciężkim krokiem podążyła wąską ścieżką w głąb uroczyska. Nie zdążyła odejść daleko, gdy wyczuła, że ktoś ją obserwuje. W zapadającym zmroku zobaczyła jamę w ścianie wąwozu, którym

szła. W wykrocie leżała wielka wadera i szczyrzyła do niej kły.

Kobieta zmartwiała ze strachu.

Nieraz słyszała opowieści o ludziach pożartych przez wilki. Czy teraz nadeszła jej kolej? Wilczyca wciąż powarkiwiała, jednak nie patrzyła już w kierunku kobiety. Jej wzdęty brzuch falował. Katarzyna zrozumiała – wilczyca się szczyrzyła. W tym momencie jej własnym brzuchem szarpnęły silne skurcze. Jęknęła z bólu i osunęła się na kolana. Nie zauważyła nawet, kiedy stanął przed nią ogromny czarny wilk, szczyrzący ogromne kły. Czuła na twarzy jego cuchnący oddech. Z bólu ściskającego jej podbrzusze i strachu nie mogła się ruszyć. Nagle usłyszała ciche skomlenie wilczycy. Basior natychmiast wycofał się w jej kierunku, a Katarzyna poczuła wdzięczność.

Usłyszała trzask łamanych gałęzi. Ktoś się zbliżał.

– Pani?

– Nie podchodź, waćpan... Tu są wilki... – wyszeptała.

– Nie ruszaj się waćpani! Zastrzelimy je!

– Nie! Wadera rodzi... i ja chyba też – wyszeptała przez zaciśnięte zęby. – Nie zwraca na mnie uwagi, a rodzącej wilczycy nie można skrzywdzić. Babka mi powtarzała, że to nieszczęście przynosi i to takie, które przechodzi na kolejne pokolenia. Zawołaj waćpan Zośkę, niech rzuci wszystko i przyjdzie do mnie, proszę, a waćpan niech już idzie! – warknęła na koniec z bólu niemal jak wilczyca.

– Dobrze. – Zbigniew rozejrzył się, ale żadnego wilka nie zobaczył.

„Może jej się przywidziało” – pomyślał i spieszenie się oddalił.

Wiedział, że nic tam po nim, a znaleziona w obozie zbójów dziewczyna z folwarku bardziej przyda się Katarzynie niż on. Jego

zresztą też czekały obowiązki. Trzeba było rozstawić strażę i przygotować się do nocy. I modlić się, aby posiłki znalazły ich szybciej niż ścigający ich Kozacy.

– Zośka, idź no do pani, bo chyba się zaczęło – powiedział cicho do niemłodej już kobiety przygotowującej posiłek. – Widać bardzo ją boli, bo zwidy ma. Wilki podobno widziała.

– Tak, wasza miłość, już idę. – Zośka złapała dodatkowy koc i szybkim krokiem weszła na ścieżkę.

– Panie, jadą... – Do Zbigniewa podszedł wachmistrz i pokazał kierunek.

– Chłopcy, szukajcie broń, tylko na razie po cichu. Może nas ominą.

Zbigniew wiedział, że raczej tak się nie zdarzy. Kozacy, wolno, bo wolno, ale się zbliżali. Na przedzie jechało trzech tropicieli z pochodniami. Nie było szansy na uniknięcie walki.

– No, chłopcy, drogo sprzedajmy skórę. Muszkiety w dłoń!

Mężczyźni ustawili się w luźnym szeregu za drzewami i wycelowali długą broń w nadjeżdżających. Na znak dowódcy wystrzelili. Huk muszkietów i nawałnica kul zatrzymały napastników w miejscu, ale dokładnie wskazały, gdzie kryją się Polacy. Kozacy odpowiedzieli bezładną palbą z pistoletów i pognali do ataku. Zdyscyplinowani ludzie Zbigniewa poczekali, aż przeciwnicy wystarczająco się do nich zbliżą. Muszkiety zagrzmiały równą niemal salwą. Kozacy pospadali z siodeł jak ulęgałki, lecz nadal było ich zbyt wielu, aby zmęczeni żołnierze mogli ich pokonać w bezpośrednim starciu. Nikt jednak nie spodziewał się pardonu i nikt nie zamierzał go dawać. Zazgrzytały wyciągane z pochew szable. Wszyscy Polacy wiedzieli, gdzie ukryły się kobiety,

i zamierzali ich bronić do ostatniej kropli krwi.

Wściekli Kozacy wpadli między drzewa. Las niwelował ich przewagę wynikającą z konnego ataku, zmuszał do opuszczenia względnie bezpiecznych siodeł. Lepiej wyszkoleni i uzbrojeni Polacy żęli ich jak chłopci zboże. Niestety, ludzi Zbigniewa było zbyt mało, aby wybić napastników, a do tego ich liczba też topniała. Co chwila na ziemię padał kolejny żołnierz. Gdy zostało ich już nie więcej niż dziesięciu i bronili się, niemal opierając o siebie plecami, w głębi lasu rozpętało się piekło. Ukraińskie wrzaski i krzyki ukrytych Polek zmieszały się z odgłosami strzałów i wściekłym ujadaniem. Po plecach Zbigniewa przeszedł dreszcz – a jednak wilki! Ale to już nie miało znaczenia. Wszystko na nic!

I nagle, nie wiedzieć skąd, za plecami Kozaków pojawił się na wielkim ogierze bogato ubrany szlachcic z ogromną szablą.

– Bij, zabij! Ani żywego nie puścić! – wrzask mężczyzny powtórzyły liczne gardła polskiej chorągwi w barwach księcia.

W broniących się wstąpiły nowe siły, zaś przerażeni Kozacy klękali i prosili o łaskę. Wszyscy położyli głowy.

– Katarzyno, Katarzyno! – Zbigniew pierwszy przedzierał się przez chaszczę. Strach ścisnął mu serce na wspomnienie krzyków, jakie doszły do jego uszu tuż przed przybyciem odsiecz. Bał się tego, co mógł tam odnaleźć.

– Tutaj jesteśmy – głos kobiety, choć cichy, był pełen dumy.

– Wszystko w porządku? – Zbigniew rozejrzył się po uroczysku.

Katarzyna siedziała na zwalonym pniu z owiniętym w materiał dzieckiem na ręku. Obok w jamie ogromna wilczyca wylizywała grubaśne, pokryte futrem i popiskujące kulki. Między nimi zaś leżał największy basior, jakiego rycerz widział w życiu. Ogromne, ważące

pewnie z półtora cetnara cielsko spoczywało bezwładnie. Zwierzę żyło jeszcze, ale jego minuty wydawały się policzone. Kilka metrów dalej Zbigniew dostrzegł czterech poszarpanych wilczymi kłami Kozaków.

– Oddał za nas życie – załkała Zośka.

– Jeszcze nie oddał, jeszcze dycha. – Zbigniew wyciągnął turecki kindżał, który dostał niegdyś od swojego ojca. – Trzeba skrócić jego cierpienia...

– Ręce precz! – warknęła znad niemowlaka Katarzyna. – Nawet waćpan nie próbuj! Wołaj Semena, niech go opatrzy!

– Semena już nie ma... Ale odsiecz od wuja waćpani przybyła, może oni mają medyka...

– Idź więc waćpan!

Zbigniew dotarł do dowódcy odsieczy. Pułkownik Osierło, znany mu już wcześniej Rusin i wielki przyjaciel księcia, uścisnął go z całej – niemależ – siły.

– Mówcie, zdążyliśmy? – zapytał.

– W ostatniej chwili, panie pułkowniku, w ostatniej. Macie medyka?

– A kto ranny? Wszystkich już przecie opatrzyli... A może to pani Katarzyna? Co z nią?

– Z nią, a raczej z nimi, w porządku, ale jest jeden problem... – Zbigniew opowiedział Osierle, co zaszło w głębi lasu.

– Już posyłam, ale żeby wilk?! Niesłychane!

Medyk Osierły z trudem uratował wilczysko. Wielki basior tylko raz pozwolił mu zmienić opatrunek. Później jedynie Katarzyna mogła zachodzić do pełnego wilcząt zagajnika. Chłopi tymczasem

rozpoczęli nieopodal budowę nowej siedziby. Katarzyna nie zgodziła się na powrót do starego dworu, który w międzyczasie został już niemal odbudowany. Postawiła na swoim. O dosłownie dwa pręty od uroczyska pojawiły się zręby nowej siedziby.

Wilczyca traktowała kobietę z pewnym dystansem, ale pozwalała jej głaskać szczenięta i zjadała przynieszone przez nią smakołyki. Córkę Katarzyny pokochała zaś całym swoim dzikim sercem. Zawsze, kiedy tylko mogła, usiłowała wylizać zaślinioną buzię dziecka. Basior też zaakceptował je obie bez zastrzeżeń. Zdarzało się niekiedy, że przyłaził pod same okna nowego dworu. Widząc go pierwszy raz na podwórzu, Katarzyna wydała kategoryczny zakaz polowań na wilki na swojej ziemi. Za każde pożarte przez nie stworzenie płaciła z własnej kieszeni. Tymczasem młode wilczki rosły i nadchodził nieunikniony czas rozstania. Jednak jedno młode coraz częściej przebywało w pobliżu kobiety i coraz mniej chętnie bawiło się z rodzeństwem. Pewnego ranka Katarzynę obudził głos ochmistrzyni.

– Pani, na progu siedzi to wasze wilczysko i szczyrzy zęby. Ani wejść, ani wyjść nie pozwala.

Katarzyna w te pędy pobiegła do wrót. Na jej widok całkiem już duże szczenię zatańczyło z radości na tylnych łapach.

– No co ty, Drzazga... – Tak nazywała młodą wilczycę szlachcianka. – Gdzie mama, gdzie rodzeństwo? Chodź! – Wilczek posłusznie wszedł do dworu i podążył do jej sypialni.

Katarzyna szybko się ubrała i ruszyła w kierunku zagajnika. Jama była pusta. Widać wilki poczuły zew i odeszły – tylko jeden z nich postanowił inaczej. Kobieta przywołała Drzazgę i zmierzwiła jej sierść na karku.

– To co, ty już moja jesteś?

Szczeniak zapiszczał cicho.

– No to chyba oznacza, że tak.

Minęło kilka miesięcy, gdy za przyzwoleniem księcia Zbigniew i Katarzyna się pobrali. On zdążył wstawić się w bojach, a ona zakończyć żałobę po utraconym mężu. Nowy dwór rozbrzmiewał głosami służby i kolejno pojawiających się na świecie dzieci. Pamięć o strasznych chwilach powoli bladła, jedynym ich śladem były nowe, powoli szarzejące ściany dworu oraz towarzysząca na każdym kroku najstarszej dziewczynce wielka wilczyca... I nazwa, bo gdy wilki odeszły, Katarzyna postanowiła, że ochrzci nową siedzibę ich imieniem. Od tamtego dnia nikt nie mówił o tym miejscu inaczej niż Wilczy Dwór.

Dzień wstał pogodny. Kwietniowe słońce nie mogło się wprawdzie równać z letnim, ale po długiej i mroźnej zimie nawet te blade promienie zdawały się czystym, gorącym złotem. W jego blasku tonęły okoliczne pola, wyłaczał się las. Pierwsze pszczoły, wciąż jeszcze nieco ospałe, wyfrunęły z uli.

„Jestem jak ten owad – pomyślała Konstancja, patrząc na ociążałą pszczołę, która przysiadła na poręczy okalającej ganek. – Tak samo dałam się wywabić z domu, jak on z ula. Chyba dziś wypiję swoją poranną herbatę właśnie tutaj. Tak tu cicho i...” – Ledwo ta myśl przemknęła jej przez głowę, drzwi za jej plecami otworzyły się z impetem.

Stała w nich drobna, wręcz zasuszonego kobiecina i załamując ręce, zaniosła się głośnym lamentem:

– A dobrodziejka to chyba Boga w sercu nie ma! Chce się na śmierć zaziębić i nas wszystkich bez opieki zostawić! Kto to widział, żeby wychodzić bez żadnego okrycia!

– A niech Pelasia da spokój! Nie czuje Pelasia, jak słońce przygrzewa?

– A czuję, czuję! I wiem, że nie ma nic bardziej zdradliwego od kwietniowego ciepła! Już niejedną po takim wietrzeniu kwiatki od spodu wacha!
– wykrzyknęła starsza kobieta i natychmiast, zatrwożona, przycisnęła rękę do ust.
– A tfu, tfu, na psa urok, co ja też gadam najlepszego?! Jeszcze, nie daj Boże, co wykraczę! To ja może dla uspokojenia sumienia pelerynę pani dobrodziejce przyniosę, dobrze?

– Pelerynę nosiłam, jak były przymrozki. Teraz niechybnie bym się w niej ugotowała.

– Ale ja nie mogę na to spokojnie patrzeć. Pani matce nieboszczce, święć

Panie nad jej duszą, przyrzekłam, że będę nad panią czuwać! A zamiast tego stoję i gadam głupoty. A moja babka zawsze mi powtarzała, że to, co z ust wyfrunie, prawdą się staje i może się spełnić. Mówiła mi to nieustannie, bo ja od najmłodszych lat popędliwa byłam i paplałam wszystko, co mi ślina na język przyniosła. A ile przy tym szkód narobiłam! Oj, miała ze mną babunia sto pociech, miała! Zapewniam panią dobrodziejkę...

– O tak, wierzę – przerwała jej Konstancja, z trudem kryjąc uśmiech. – To może pójdźmy na ugodę i niech mi Pelasia po prostu przyniesie ten szal z cienkiej wełenki. Zostawiłam go w bawialni przy fortepianie – dodała i już miała na powrót wystawić twarz do słońca, gdy jej uwagę przykuł mały ruchomy punkt widoczny pod lasem.

Zmrużyła oczy i bardziej odgadła, niż stwierdziła, że patrzy na bryczkę. Przez moment spodziewała się, że pojazd odbije w bok. Czasem się zdarzało, że ktoś przyjezdny, nieznający okolicy, błędził i trafiał na tę okrężną, rzadko używaną drogę prowadzącą do pobliskiego miasteczka. Ale nie, bryczka trzymała się traktu prowadzącego prosto do dworu. Już po chwili zostawiła las w tyle i sunęła drogą pomiędzy polami przystrojonymi wschodzącym, zieleniejącym zbożem.

– Pelasiu, chyba ktoś do nas jedzie – mruknęła do kobieciny, która właśnie na powrót pojawiła się na ganku, ściskając w sękatych dłoniach cieniutki granatowy szal.

– A ki czort? – Pelagia podążyła wzrokiem za spojrzeniem Konstancji.

– Właśnie też się zastanawiam... Nikt się nie zapowiadał.

– A może to znowu od Boguckich ciągną? To by była prawdziwa tragedia, bo od nich zawsze cała chmara przyjeżdża, a ja zupełnie nieprzygotowana na taką gościnę! Jeszcze po ich ostatniej wizycie mam zrujnowaną spizarnię! Wiatr i przeciąg zostawili!

– Jak Pelasia może tak mówić, przecież wie Pelasia, że gość w dom, Bóg w dom! A poza tym Bogucki by nas wcześniej uprzedził. Doskonale przecież

zdaje sobie Pelasia sprawę, jak wyglądają te niby nieoczekiwane najazdy na dwór.

– Taaa... Takie one nieoczekiwane jak to, że słońce rano wstaje. Tylko się człowiek musi namęczyć, żeby zdatnie udawać zaskoczonego. I ja się pytam: po co ta cała maskarada?

– Taka tradycja, Pelasiu – mruknęła z roztargnieniem Konstancja, zarzucając sobie szal na ramiona. – Tak czy inaczej, nie mam pojęcia, kto to może być...

– Oby tylko wiadomości o jakim nieszczęściu nie przywiózł... A jeżeli to coś z paniczem? – Kobieta z trwogą przycisnęła rękę do piersi. – Przecież rano ta łamaga od rozpalania w piecach zadeptała zazulę*! A to oznacza najgorsze. Śmierć w rodzinie...

– Dość! – przerwała jej ostrym tonem Konstancja. – Co też za głupoty Pelasia opowiada – dodała nieco łagodniej, bo żal jej się zrobiło kobieciny, która słysząc podniesiony głos swojej ukochanej dobrodziejki, zbladła i cała zadrżała. – Zamiast tu stać i bawić się w czarnowidztwo, trzeba iść do kuchni, odpowiednie dyspozycje wydać. Ktokolwiek to jest, na pewno zostanie na herbacie, a i na śniadanie wypada zaprosić – zakończyła i mocniej otuliła się szalem.

Nie wierzyła w gusła i zabobony, jednak słowa Pelasi wytrąciły ją z równowagi. Teraz jeszcze intensywniej zaczęła się wpatrywać w sunący po drodze powóz. Był już na tyle blisko, że widziała ciągnące go gniade konie. W końcu stwierdziła, że nie jest w stanie czekać z założonymi rękami, i wyszła tajemniczym przybyszom naprzeciw.

* Zazula, tu: biedronka. Zazwyczaj nazywano tak kukułkę, ale w niektórych miejscach mówiono tak właśnie na biedronkę.

Siedzący w bryczce mężczyzna uważnie rozglądał się wokół. Od jego ostatniej wizyty w tych stronach upłynęło dwanaście lat. Aż trudno było uwierzyć, iż minął już taki szmat czasu. W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że nic się tutaj nie zmieniło. Na polach zieleniło się zboże, skowronki wzbijały się w niebo z wibrującym w uszach trelem. W oddali pod lasem widać było pługi ciągnięte przez konie. Widocznie przygotowywano pole do ostatniej, późnowiosennej orki. Wszystko było tak łudząco podobne do tego, co zapamiętał, że przez ułamek sekundy miał wrażenie, iż cofnął się w czasie. Ale to pierwsze odczucie szybko się okazało fałszywe. Wystarczyło że spojrzał na widniejący w lekkim oddaleniu dwór.

Drzewa, które go osłaniały, rozrosły się i zgęstniały. Pewnie latem, gdy otulą je liście, budynek całkowicie za nimi zniknie... Sam dom też wydał mu się inny, choć nie bardzo wiedział, na czym ta różnica mogła polegać. Wyteżył wzrok, ale nie zdało się to na nic. Nie zdążył się jednak nad tym głębiej zastanowić, bo na drodze pojawiła się spiesząca w jego kierunku postać. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby odgadnąć, kto to. Ten chód, drobne kroki, wysoko uniesiona głowa... Poznałby ją wszędzie. Nawet gdyby była ubrana w łachmany, a nie, jak teraz, w gładką białą suknię, której długa spódnica wdzięcznie kołysała się niczym rozochocona tancerka. Istne wcielenie wdzięku. Jego matka mówiła, że z czymś takim trzeba się urodzić.

– Wielu rzeczy, Janku, można się nauczyć, ale klasę i powab albo się ma, albo nie. Wyuczony wdzięk nigdy nie dorówna temu, który ma się we krwi. I dlatego, mój drogi synu, ty musisz się starać podwójnie. Miły jesteś, dobrze

wychowany, ale zwalisty jak niedźwiedź. Po ojcu oczywiście – dodawała natychmiast, żeby wszystko było jasne. – Na całe szczęście w twoim wypadku ma to mniejsze znaczenie, bo jesteśmy zamożni. A to gwarantuje, że każda panna będzie ci rada i przymknie oko na tę ociążałość w postawie – kończyła i pocieszająco klepała go po ramieniu.

Wiele by dał, żeby teraz stała koło niego, by choć na chwilę usłyszeć jej lekko kpiący głos. Matka zawsze umiała mu dodać otuchy. Niestety, teraz musiał radzić sobie sam. Jeszcze raz spojrzął na nadchodzącą kobietę.

„No to się stało – pomyślał z drżeniem serca. – Teraz nie ma już odwrotu...”

– Józek, zatrzymaj konie – nakazał furmanowi i odetchnął głęboko. – Witaj, Konstancjo – powiedział, wyskakując z koczka.

Na jej twarzy najpierw pojawił się wyraz zdumienia pomieszanego z niedowierzaniem, a zaraz potem błysk radości, który zapalił iskry w jej bursztynowych oczach.

– Janek? To naprawdę ty? – zapytała, wyciągając do niego obie dłonie.

– Ja – przytaknął i zamrugnął szybko, żeby odpędzić zbierające się w kącikach oczu łzy wzruszenia.

Przez moment mocno ścisnął jej chłodne, szczupłe ręce, nie odrywając wzroku od jej twarzy. Czas okazał się dla niej łaskawy. Nadal miała gładką skórę, pełne usta i skrzące się humorem i inteligencją spojrzenie. Nie mógł oderwać od niej oczu i być może jeszcze długo tkwiliby tak na środku drogi, gdyby nie zniecierpliwiony Józek.

– A państwo to jadą czy tak będą stać po próznicy? – zapytał, wychylając się z koczka.

– A ja ci dam po próznicy! – huknął na niego Jan. – Co ty sobie w ogóle myślisz, ty ośle dardanelski? Ty... – Tu zerknął na Konstancję i zamilkł skonfundowany.

Na końcu języka miał stek obraźliwych określeń, ale w obecności damy jakoś

mu było niezręcznie użyć choć małej części z nich.

– Mną się w ogóle nie przejmuj. – Machnęła ręką, z trudem zachowując powagę. – Zapewniam cię, że trudno jest mnie zgorszyć. Ale skoro już się wybiłeś z rytmu, to może jednak przestaniesz krzyczeć i mu darujesz? – Wskazała głową na Józka. – Bo widać, że się chłopakowi wymknęło...

– O, od razu wiadomo, że pani dobrodziejka wyznaje się na ludziach – wtrącił furman.

Jego mina wskazywała, że jest wielce ukontentowany tą niespodziewaną obroną.

– Józek, ja cię kiedyś własnoręcznie ze skóry obedrę! – burknął Jan, kręcąc głową.

– E tam, szkoda zachodu! Wysilek wielki, a korzyść marna. I co by pan dobrodziej z tą moją skórą zrobił? Ani to nad kominkiem powiesić, bo trofeum żadne, ani sprzedać, bo kto taki głupi, żeby kupić...

– Co racja, to racja. Nie można mu odmówić słuszności w rozumowaniu – roześmiała się Konstancja, strzepując źdźbło suchej trawy, które przyczepiło się do szala. – Ale teraz rzeczywiście, Janku, nie stójmy tu, jak to ujął Józek, po próżnicy. Proponuję spacer. Stąd do domu jest tylko kawałek. Chyba, że jesteś bardzo zdrożony i wołałbyś...

– Nie, chętnie się przejdę – przerwał jej w pół zdania. – Tylko nie wiem, czy ten ancymon sobie z końmi poradzi...

– Dlaczego miałyby sobie nie poradzić? – Konstancja pytająco uniosła brwi.

– A bo ty jeszcze Józka nie znasz i nie wiesz, do czego jest zdolny. A że talent ma, mogę ci zaręczyć. Zwłaszcza do pakowania się w kłopoty – burknął Jan, groźnie popatrując na chłopaka, który spod spuszczonej powiek od czasu do czasu rzucał mu roześmiane spojrzenie.

Widać było, że nic sobie z Janowych połajanek nie robi. Konstancja w cichości ducha przypuszczała, że chłopak wszystkie uwagi jednym uchem

wpuszcza, a drugim wypuszcza.

– Daj spokój! Przecież musi tylko bryczkę odstawić do powozowni. Józku, jak wjedziesz na podwórko, to powiesz, że pani Konstancja kazała koniom miejsce w stajni zrobić. Dalej wszystko ci moi ludzie pokażą. Rozumiesz?

– A co mam nie rozumieć? – mruknął. – Wielkie mi mecyje! Pan Jan to tak mówi, jakbym nigdy koni nie odstawiał! A przecież ja jestem furman pełną gębą!

– No żeby ci wczorajszego zdarzenia nie przypomnieli – znów huknął na niego Janek. – Do tej pory mnie trzęsie, jak o tym pomyślę.

– To lepiej nie myśleć – z powagą poradził mu Józek. – Moja matula cały czas mi mówi, że od myślenia robota do przodu nie pójdzie. A sam pan powtarza, że matula ma łeb nie od parady – dodał i nie czekając na reakcję Jana, gwizdnął na konie i bryczka powoli poturlała się do przodu.

– Widzisz, co ja mam z tym kadukiem? – Mężczyzna bezradnie rozłożył ręce.

– Sto pociech – roześmiała się Konstancja.

– O tak, żeby tylko sto! Rozbisurmanił mi się strasznie, ale jednocześnie ma coś takiego w sobie, że złość na niego szybko człowiekowi przechodzi. No i podejście do zwierząt ma niesamowite. Na konie to ledwo cmoknie albo gwizdnie, a już wiedzą, co mają robić... Ale wczoraj to mi dał popalić. Rozpętał taką awanturę, iż myślałem, że nam kości porachują. Chociaż po prawdzie to nie do końca była jego wina. Swoją drogą, to nawet dobrze, że zeszło na ten temat, bo i tak zamierzałem o tym z tobą porozmawiać.

– O awanturach i o tym, że ci Józek dał popalić? – zdumiała się Konstancja.

– No tak... Rzeczywiście, mogło to dziwnie zabrzmieć. Nie do końca o to mi chodziło. Ale rozumiesz, ta cała sytuacja zdarzyła się niedaleko... – westchnął i zamilkł na chwilę, rozglądając się dookoła.

Konstancja lekko uniosła brwi. Szczerze mówiąc, nie rozumiała. W ogóle dziwny kierunek obrała ta rozmowa. Nie widzieli się przecież szmat czasu, a Janek nawet się nie zająknął na temat nagłego przyjazdu. Specjalnie chciała

zostać z nim na chwilę sama, bo przypuszczała, że łatwiej mu będzie mówić bez świadków. Oczywiście, nawet gdyby nie powiedział ani słowa o tym, co go tu przygnało, szeroko otworzyłyby przed nim drzwi swojego domu. Przecież był jej przyjacielem. Lecz także kimś, kto dwanaście lat temu wzburzony odjechał i aż do tej pory nie dawał znaku życia. A teraz pojawił się jak gdyby nigdy nic.

Ukradkiem rzuciła mu uważne, taksujące spojrzenie.

Był zmęczony, to było widać na pierwszy rzut oka. Cienie pod oczami, dwudniowy zarost na policzkach, przykurzony, nieco wymięty gruby płaszcz – wszystko wskazywało na to, że podróż trwała dość długo. I utwierdzało ją w przekonaniu, że coś niewątpliwie musiało się wydarzyć. I to coś poważnego. Konstancja zbyt dobrze go znała, by nie wiedzieć, że gdyby to miała być czysto towarzyska wizyta, Jan zjawiłby się u niej zapowiedziany, wypoczęty i modnie ubrany. Poza tym pamiętała, w jakich okolicznościach widzieli się po raz ostatni. I biorąc to pod uwagę, gdyby sprawa nie była pilna, Jan zapewne chciałby się jej pokazać z jak najlepszej strony. A tymczasem widać było, że podróż odbył w pośpiechu i najwyraźniej nie miał czasu na rozpamiętywanie wydarzeń z przeszłości.

„Cóż, nie pozostaje mi nic innego, jak tylko pociągnąć go trochę za język” – pomyślała.

– Chyba tej nocy głównie jechaliście, bo wyglądasz na zmęczonego – zagadnęła, omijając błotnistą kałużę, z której wprost pod jej nogi wyskoczyła ropucha.

Na ten widok Konstancja mimowolnie się skrzywiła. W tym samym momencie na ustach Jana pojawił się szeroki uśmiech, który sprawił, że twarz mu się wygładziła i z miejsca odmłodziła. Przez chwilę znów przypominał beztronskiego, roześmianego chłopca, z którym mała Konstancja płała dziecięce figle i psoty.

– Widzę, że nadal nie pałasz miłością do tych stworzeń – stwierdził

z rozbawieniem.

– Nie da się ukryć. Pamiętasz, jak Pelasia opowiadała nam wieczorami te wszystkie historie? O tym, że najbardziej podłe czarownice zamieniają się w ropuchy i przychodzą do domów, żeby gnębić ludzi? Albo krowom mleko zabierać? Czy ty wiesz, że ona nawet teraz, jak jakaś żabę w domu znajdzie, to natychmiast owija ją w płótno i wiesza w kominie?

– O tym nie miałem pojęcia. A po co, jeżeli mogę zapytać? – zdumiał się Jan.

– Nie domyślasz się? Przecież to jasne. Aby zmusić zakłęta w ropusze czarownicę, żeby się na tych mękach ujawniła. Ale jakoś do tej pory żadna wiedźma z komina nie wylazła...

– Wiesz, biorąc pod uwagę wszelkie okoliczności, to może i lepiej – mruknął. – Gdyby taka biedna wiedźma cała w sadzach wylazła na środek kuchni, to Pelasia gotowa by ją zatłuc jej własną miotłą. Obawiam się, że w takiej sytuacji żadne czary by bidulce nie pomogły. A tak nawiasem mówiąc, to nie zazdrozczę tym waszym dworskim żabom. Łatwego życia z wami nie mają...

– Ale tylko te, które do domu wchodzą. Inne Pelasia omija szerokim łukiem. Ale po tych jej opowieściach, których się nasłuchiwałam w dzieciństwie, jakoś tak mimowolnie unikam ropuch. Widać uraz mi został do tej pory. Inne dziewczynki czekały, aż żaba zamieni im się w księcia, i tylko ja jedyna zamiast potencjalnego kawalera widziałam w niej czarownicę albo jeszcze gorzej, zamaskowaną żonę diabła. A ta ostatnia, nie wiem, czy pamiętasz, miała brzydki zwyczaj porywania ludzi. Gdy po raz pierwszy usłyszałam, jak to ropucha zaczęła się w rowie i na oczach wieśniaczki zamieniła się w czaricią połowicę, całą noc trzęsłam się ze strachu...

– E tam, nie narzekaj. Gdyby nie te wszystkie przeżycia, to o czym byśmy teraz rozmawiali? – roześmiał się Jan.

„Może o prawdziwych powodach twojego przyjazdu” – pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno.

– Moim zdaniem to te wszystkie panny od zaklętych w ropuchy ksiąząt były strasznie poszkodowane – ciągnął tymczasem Jan. – Wiele straciły, tym bardziej że Pelagia jak nikt inny umiała opowiadać. – W głosie mężczyzny zabrzmiała nostalgiczna nuta. – Człowiekowi od razu stawały przed oczami potyczki dzielnych rycerzy, smoki czy wiedźmy. Zadziwiające, bo przecież mówiła prosto, po swojemu.

– Ale za to z sercem i wiarą. I moim zdaniem to cała tajemnica.

– Jadąc tutaj, zastanawiałem się, co z nią, ale z tego, co słyszę, ma się dobrze. A wasze rezydentki? Panna Jadwiga i pani Marta nadal mieszkają we dworze?

– Oczywiście. I nadal drą ze sobą koty. Możesz być pewien, że jeżeli Jadwiga cię pochwali, to Marta dla zasady cię zruqa. A jednocześnie mam wrażenie, że gdyby jednej zabrakło, druga żyć by bez niej nie mogła. Zresztą za chwilę sam się przekonasz. A teraz, o ile mnie pamięć nie myli, chciałeś ze mną pomówić o jakiejś awanturze?

– A tak, rzeczywiście. Ten majątek w Lipnicy nadal należy do ciebie?

– Tak, dzierżawi go ode mnie niejaki Sępiński. A dlaczego pytasz? – z miejsca spoważniała.

– Sam nie wiem, czy w ogóle powinienem ci tym głowę zawracać...

– Skoro już zacząłeś, to skończ. Wiesz, że nigdy nie lubiłam zabaw w kotka i myszkę. Zwłaszcza kiedy sprawy dotyczą rzeczy związanych z moją ziemią – mówiąc to, zatrzymała się, wyprostowała plecy i uniosła wysoko głowę.

Jan przystanął zaskoczony. Takiej jej nie znał. Rzeczowej, niemal oschłej.

– Domyślam się, że to w Lipnicy o mało co wam kości nie porachowano, tak? I pewnie chodziło o przekroczenie mostu? – odpowiedziała mu lekko zniecierpliwionym głosem.

– Tak było! Ale skąd ty o tym wiesz? – Jan ze zdumieniem potrząsnął głową.

– Bo nie jesteś pierwszy, który miał z tym problem. Dotąd jednak puszczałam skargi mimo uszu, bo Sępiński zapewniał mnie, że to tylko

pomówienia. Niechęć do niego rzeczywiście jest duża, bo trzyma ludzi twardą ręką. Czasem nawet za twardą, jak na mój gust. Wiesz, on ponoć potrafił kobiety od razu po porodzie w pole do pracy gonić... A na to nie zamierzam pozwalać. Kilka razy próbowałam interweniować... Ale wiesz, jak to wygląda. Majątek utrzymuje w dobrym stanie, dzierżawę płaci w terminie, toteż nie chciałam za bardzo wściubiać nosa w nie swoje sprawy. No, ale mów, co tam się dokładnie wydarzyło.

– Dojeżdżaliśmy do Lipnicy. Nawet nie zamierzaliśmy się tam zatrzymywać na dłużej, ale konie trzeba było napoić i bagaże lepiej przytroczyć, bo się w czasie jazdy poluzowały – rozpoczął swoją opowieść Jan. – A że tam karczma stoi, to stwierdziłem, że to dobre miejsce na krótki przystanek. Dojechaliśmy do mostu. Za nim widać już było gospodę, a mnie nagła chęć wzięła, żeby trochę nogi rozprostować. Wiesz, cały dzień byliśmy w drodze, ścierpnąć zdążyłem okrutnie, więc taki krótki spacer jawił mi się jako szczyt rozkoszy. I od tego się wszystko zaczęło. Być może gdybym został w koczu, to umiałbym sprawę załagodzić... W każdym razie Józkowi przykazałem konie oporządzić i czekać na mnie w karczmie, a sam wysiadłem i poszedłem drogą wzdłuż rzeki. Nie wiem, ile mnie nie było... Dwa, może trzy kwadranse. Ale wystarczyło. Gdy wróciłem pod gospodę, nie zastałem tam ani kocza, ani Józka. Koni również ani widu, ani słyhu. Wszedłem do środka i tam mi powiedzieli, że i owszem, jakiś powóz zdążył w tym kierunku, ale że furman przed rzeką nie chciał zapłacić mostowego, to wybuchła awantura. Ponoć ten, który opłatę chciał pobierać, na konia się kijem zamachnął... I właściwie więcej nie musiałem słuchać, bo resztę mogłem sobie dopowiedzieć. Bo Józek nie tylko zwierzaki rozumie, ale też darzy miłością wielką – Jan ciężko westchnął i potarł ręką zmarszczone czoło.

– No tak, to pewnie płazem tego nie chciał puścić i wywiązała się szarpanina...

– Do bójkii nie doszło, choć Józek rzeczywiście rzucił się na napastnika

z pięściami – przerwał jej Jan, by jak najszybciej skończyć opowieść. Miał bowiem niezbitą pewność, że jej zakończenie nie przypadnie Konstancji do gustu. – Ale szans nie miał żadnych, bo go na moście obstąpili kamraci tamtego, co się z kijem wyrywał, i do dworu na sąd poprowadzili.

– Na sąd? – przerwała mu ze zdumieniem pomieszanim z wściekłością. – A to sobie wymyślili! Zupełnie im się w głowach poprzewracało! Mam nadzieję, że przynajmniej Sępiński wykazał się rozsądkiem... Sąd, mostowe, też mi wymyśli! I to wszystko się wyrabia tuż pod moim nosem!

– Niestety, muszę cię rozczarować. Bo gdy poszedłem do dworu o chłopaka i powóz się upomnieć, to zostałem zrugany przez samego pana Sępińskiego. Mało brakowało, a dołączyłbym do Józka, którego związali i do komórki wrzucili. Za napaść na ludzi dworskiego pana... Tak mi to objaśnił jeden ze zbirów Sępińskiego, bo nie sposób inaczej określić tej świty, która go otaczała. Tu jeszcze miałem nadzieję, że twój dzierżawca się opamięta. Ale szybko wyleczono mnie ze złudzeń. Sam Sępiński zaciśniętą pięścią machał mi tuż przed nosem i w słowach nienadających się do powtórzenia zakomunikował, że to on tu rządzi i prawa ustanawia, a jak ktoś na jego ziemię wjeżdża, to ma się do nich stosować. I że jak chcę swojego człowieka i powóz odzyskać, to muszę ich wykupić i dodatkowo zapłacić za zniewagę.

– Co takiego? Na jego ziemi? On ustanawia prawa? Co za tupet! – Konstancja z oburzenia aż się zatchnęła.

– Wiem, jak to brzmi, ale uwierz, że w tym, co opowiadam, nie ma ani odrobiny przesady. Naprawdę nie wyglądało to dobrze. Zdawałem sobie sprawę, że moja sytuacja jest nie do pozazdroszczenia, bo widać było, że tamci czekają tylko na sygnał, by dobrać mi się do skóry. I być może gdyby o jednego czy dwóch chodziło, to bym zaryzykował. Wiesz, że zawsze byłem silny i nie byłaby to moja pierwsza bójka. Ale koło Sępińskiego stało sześciu osiłków, a doprawdy nie spieszyło mi się, żeby podzielić los Józka i przepaść bez wieści w dworskiej

komórce. Tym bardziej że nie uprzedziłem ani ciebie, ani nikogo innego o przyjeździe, więc nawet pies z kulawą nogą by się o nas nie upomniał. Zrobiłem więc to, co wydało mi się w tej sytuacji najrozsądniejsze... – Na moment zawiesił głos.

– To znaczy co? – przynagliła go zniecierpliwiona Konstancja.

– To znaczy, że zdałem sobie sprawę, iż siłą niewiele wskóram, i po prostu oznajmiłem mu, do kogo jadę. A następnie za zniewagę wyzwiałem go na pojedynek – wyrecytował na jednym wydechu.

„No, to dopiero teraz się zaczniesz – pomyślał. – Ani chybi porządnie mi się dostanie”.

– O Matko Przenajświętsza! – zgodnie z jego przewidywaniami Konstancja głucho jęknęła i załamała rękę. – I ty to nazywasz rozsądkiem? Oszalałeś zupełnie?! Może jeszcze mi powiesz, że chcesz się z nim strzelać?

– Oczywiście. Ale akurat to chyba cię nie dziwi. Przecież wiesz, że pistolety zawsze były moją ulubioną bronią i...

– Bałwan! – przerwała mu rozeźlona Konstancja – No, po prostu bałwan i osioł!

– No, no, moja droga! Nie pozwalaj sobie! – burknął, nieco urażony.

– Bo co? Ze mną też będziesz się pojedynekował? Wyzwiesz mnie za obrazę?
– Złość sprawiła, że policzki kobiety zapłonęły rumieńcem, a oczy ciskały błyskawice.

– Bynajmniej. W stosunku do dam nie używam przemocy. A swoją drogą, już zdążyłem przez te wszystkie lata zapomnieć, jak bardzo potrafisz być temperamentna – dodał, nie mogąc powstrzymać się od uśmiechu.

– Temperamentna! Też mi coś! – parsknęła poirytowana Konstancja. – A w ogóle to możesz się nie krępować i darować sobie wszelkie hamulce, których zwykle używasz wobec dam, bo ze mnie taka dama jak z koziej... – Tu jednak rozsądek wziął górę i końcówkę powiedzenia zmełła w ustach. – Dobrze,

porozmawiajmy spokojnie – zaproponowała po chwili, biorąc głęboki oddech.

– Ja cały czas jestem niesamowicie spokojny – uświadomił jej uprzejmym tonem, który natychmiast wyprowadził ją z dopiero co odzyskanej równowagi.

– O tak! Spokojny! Bo w ogóle nie zdajesz sobie sprawy z tego, co narobiłeś! – huknęła, zapominając, że przecież miała być wcieleniem taktu i stoicyzmu. – „Pistolety są moją ulubioną bronią” – zadrwiła, wymachując rękami. – Cały szkopuł w tym, że Sępińskiego również. W okolicy ma opinię najlepszego strzelca – dodała ponuro. – Naprawdę musiałeś go wyzwąć? Przecież gdy usłyszał, że jedziesz do mnie, to chyba się opamiętał?

– I to jak! Z miejsca spuścił z tonu. Widać było, że nagle nie w smak zrobiła mu się ta awantura. Nawet ludzi swoich zrugął i Józka kazał wypuścić. A żebyś widziała, jak go wyprowadzali. Jeden przez drugiego otrzepywali go z kurzu i błota, klepali po ramionach. Jeszcze trochę i w oczy by mu czule zaczęli zaglądać. Jakby ktoś z boku patrzył, to mógłby niemal pomyśleć, że oswobodzili z niewoli najserdeczniejszego druha. Trudno było uwierzyć, że przed momentem sami go do tej komórki wtrącili, nie szczędząc mu kopniaków i razów.

– No, to tym bardziej nie rozumiem, po co ta cała heca z pojedyńkiem! – Konstancja bezradnie rozłożyła ręce. – Skoro Józka wypuścili, konie i kocz oddali, to nie lepiej było spokojnie przyjechać i załatwić tę sprawę przeze mnie? W cywilizowany sposób?

– A czy ja kiedykolwiek miałem zwyczaj chować się za damskimi plecami? – odpowiedział pytaniem na pytanie, dumnie unosząc głowę. – Przecież tu o mój honor chodziło. Nie będzie sobie jeden z drugim nazwiskiem Jastrzębski gęby wycierał! A padło tam z ust Sępińskiego parę takich słów, których zapomnieć niepodobna! I tak jakoś samo mi się wyrwało z głębi serca... No i słowo stało się ciałem, zażądałem satysfakcji.

– No to pięknie! Ciekawe, kto będzie bronił honoru i dumy twojego rodu, jeśli zastrzelą cię tam jak kaczkę. A w ogóle to kiedy ten nieszczęsny pojedynek ma się odbyć?

– Czemu od razu zakładać najgorsze? – zapytał retorycznie. – Terminu dokładnego jeszcze nie ustaliliśmy. Najpierw muszę do twojego dzierżawcy wysłać sekundantów, a biorąc pod uwagę, iż podróżowałem jedynie z Józkiem, to wybór wówczas miałem niewielki, zwłaszcza że nie uśmiechało mi się prosić kogoś spośród jego ludzi. Pomyślałem, że ty znasz tu wszystkich i będziesz wiedziała, kogo mi polecić. No i będę miał jeszcze jedną prośbę. Na pewno macie gdzieś pistolety pojedynkowe. Bo ja swoje zostawiłem w domu, jakoś nie wziąłem pod uwagę, że będę miał tego typu przygody. I teraz taki kłopot...

– Kłopot to ja mam z tobą. Nie dość, że na własne życzenie głowę pod kulę podstawiasz, to jeszcze oczekujesz, że użyję ci narzędzia zbrodni!

– Spokojnie. Dopóki mam ją na karku, nie ma co snuć czarnych myśli. Z jednej strony może masz rację, że zbyt pochopnie wypaliłem z tą satysfakcją...

– dodał po chwili milczenia. – Ale z drugiej, sama wiesz, jak to wygląda. Za brak reakcji w sytuacji kiedy ktoś pluje na rodowe nazwisko, mógłbym zostać uznany za tchórza, a co za tym idzie, ściągnąłbym na siebie potępienie. Nie dalej jak pół roku temu taka sytuacja dotknęła mojego sąsiada i z miejsca został odsądzony od czci i wiary. Żyje teraz jak ten wyrzutek, wykluczony z towarzystwa. Łatki tchórza nie pozbędzie się już do końca życia. A czegoś takiego bym nie zniósł.

– No oczywiście, lepiej się dać podziurawić jak sito! Ech, wy i ten wasz honor! – parsknęła Konstancja, ale zrobiła to tylko dla zasady.

W głębi serca wiedziała, że są sytuacje, które nie pozostawiają wyboru. A w pewnych okolicznościach posądzenie o tchórzostwo jest gorsze niż śmierć.

– Cóż, w takim razie nie mamy zbyt dużego pola manewru – powiedziała w końcu. – Skoro już powiedziałaś „a”, to nie pozostaje nic innego, jak wyrecytować resztę alfabetu. Zaraz pošlę kogoś do sąsiedniego dworu po synów pana Dyrylkiewicza. Chłopcy są nie w ciemną bici, opanowani. Na pewno mi nie odmówią tej drobnej przysługi. Zresztą nie pierwszy to raz będą sekundantami. Ostatnio co i rusz ktoś żąda satysfakcji. Istna plaga! Za obrazę honoru, za

znieważenie damy, za krzywe spojrzenie! Ewidentnie nastała moda na postawę pod tytułem: „życie nam niemiłe”. Że już nie wspomnę o pojedynkach amerykańskich! To jest dopiero idiotyzm. Nie wiem, kto na to wpadł, ale nie mógł być zdrowy na umyśle. Zresztą jak większość panów, którzy dają się podpuścić i biorą w tym udział.

– A tu masz rację. Pojedynek amerykański jest czystą głupotą. Co to za pomysł: kto wylosuje czarną gałkę, ten popełnia samobójstwo! Niedoczekanie, żebym wyręczał swojego rywala. Chcesz mnie usunąć z drogi, to wykaż się, mości panie. To zbytnie uproszczenie, załatwianie czarnej roboty za kogoś...

– Nigdy nie zrozumieję mężczyzn – mruknęła Konstancja, wznosząc oczy do nieba. – Do wszystkiego umiecie dorobić piękną ideologię. To nie żadne uproszczenie, tylko zwyczajna dumota i brak wyobraźni! Ale mniejsza o to. Teraz musimy się skupić na bieżących sprawach. Tak jak mówiłam, trzeba posłać do Dyrylkiewicza. Pojedzie Waldek, można mu zaufać, jest bystry i wszystko umie załatwić. A doktora nie trzeba wzywać, bo jeszcze dziś się u nas pojawi.

– A co, chory ktoś u was? – zaniepokoił się Jan.

– Nie, wszyscy, Bogu dzięki, zdrowi, ale doktor ma pewną niewinną słabość, zresztą taką samą jak tutejszy proboszcz: obaj panowie przepadają za graniem w mariasza*. A tak się składa, że obie nasze rezydentki dzielą z nimi zamiłowanie do tego hazardu i łupią z panami w karty nieomal każdego dnia. Rozmówimy się więc z doktorem osobiście i choć biedak nie przepada za takimi awanturami, to stawi się na pewno. Dałby Bóg, żebyś nie potrzebował jednak jego pomocy...

– Do tej pory zawsze jakoś udawało mi się wychodzić z opresji bez większego uszczerbku – przerwał jej uspokajająco Jan.

– I oby ta dobra passa trwała nadal. A właśnie, jeśli chodzi o pistolety, to o ile dobrze kojarzę, jakieś są w gabinecie, choć trzeba się będzie o nie dopytać Michała, mojego kamerdynera, bo to on dogląda tamtej części domu i jest odpowiedzialny za broń. A że jest niezwykle skrupulatny, na pewno będzie

wiedział, gdzie ich szukać. Nie były używane od lat. Chyba jako ostatni korzystał z nich brat mojego ojca. Bo na pewno nie Tadeusz... – Widać było, że z trudem wymówiła to imię i przez chwilę zbierała się w sobie, zanim podjęła wątek. – Za mądry był na to – odpowiedziała cicho i zacisnęła usta tak mocno, że zaczęły przypominać wąską białą kresczkę.

Patrząc na cień cierpienia, jaki przemknął po jej twarzy, Jan poczuł, jak ściska mu się serce. Rozmawiając i przekomarzając się, na moment zapomniał o przeszłości i o tym, co tak naprawdę go tu sprowadziło. Zdawał sobie sprawę, że w porównaniu z celem jego wizyty wiadomość o pojedynku była zaledwie dzieciinną igraszką.

„A może wspomnienie o Tadeuszu to znak, że nie powinienem dłużej czekać? – zapytał się w duchu. – Mógłbym to wykorzystać i płynnie przejść do tego, co i tak nieuniknione...” Lecz gdy ponownie zerknął na jej nagle posmutniałą twarz, poczuł, że nie przejdzie mu to przez gardło. Jeszcze nie teraz.

„A niech to jasny szlag! – zaklął w duchu. – Doprawdy wolałbym pojedynkować się dzień w dzień przez okrągły miesiąc, niż być posłańcem takiej nowiny!” – pomyślał z rozpaczą przemieszana z irytacją.

Niestety, nie było nikogo, kto dobiłby z nim takiego targu. Gdyby wszystko działo się w którejś z historii opowiadanych przez Pelasię, z miejsca znalazłby się jakiś usługowy diabeł, który w zamian za Janową duszę spełniłby nieomal każde życzenie. Kto wie, może nawet nie musiałby się bić? Może wytargowałby cofnięcie czasu. A wtedy mógłby dopilnować, żeby wszystko potoczyło się inaczej. Warto byłoby poświęcić jedną marną duszę, aby ocalić kilka innych. Niestety jednak tym razem żadne skłonne do ubijania z ludźmi interesów czarty nie pojawiły się na zawołanie. Zapewne gdyby zapytał o to Pelagię, podałaby mu jakieś rozsądne wytłumaczenie, dlaczego tak się dzieje. Albo wręcz przeciwnie – może by nic nie tłumaczyła, tylko zrugła za głupie myśli?

– Tak czy siak – wdarł się w jego rozmyślania głos Konstancji – gdy już ta

awantura się skończy, tak jak mam nadzieję, to znaczy niewielkim kosztem dla was obu, to już ja się z panem Sępińskim policzę. Nie życzę mu śmierci, ale tego, co cię tam spotkało, wybaczyć nie zamierzam. – Jej twarz przybrała surowy wyraz. – Niepodobna na to pozwolić! Bo kim on jest, że święte prawo gościnności łamie, bezprawie popiera? Między nami mówiąc, kilka razy już zwracałam mu uwagę. Zawsze jednak umiał się wytłumaczyć. Ale tym razem już żadnego uzasadnienia dla swojego postępowania nie znajdzie!

– Rzeczywiście, trzeba ukrócić te jego wybryki – zgodził się Jan z głębokim westchnieniem.

Chwila, w której mógł płynnie nawiązać do rzeczywistego celu swojego przyjazdu, minęła bezpowrotnie. Sam nie wiedział, czy odczuwa z tego powodu ulgę czy raczej złość na samego siebie, że jej nie wykorzystał.

– Ale sama mówiłaś, że to dobry dzierzawca. Wiem, jak trudno o takich ludzi. Zanim podejmiesz jakiegokolwiek decyzje, najpierw ochłoń, bo gniew nie jest dobrym doradcą – dodał.

– Dobra rada zawsze w cenie. Zwłaszcza od kogoś, kto ma zamiar własnoręcznie tego dobrego dzierzawcę ukatrupić – zakpiła. – A tak na poważnie, to nawet gdybym chciała z miejsca się z nim rozprawić, to nie mam takiej możliwości. Muszę zacisnąć zęby i poczekać do pojedynku. Bo gdybym teraz przedsięwzięła jakiegokolwiek kroki, to tylko dolałabym oliwy do ognia. Zresztą do Lipnicy jest pół dnia drogi, więc natychmiastowa interwencja nie wchodzi w grę. A właśnie, skoro cała ta awantura miała miejsce wczoraj, to czemu dotarliście tutaj dopiero dzisiaj rano?

– W końcu zdecydowałem się zatrzymać na noc w karczmie. Musiałem uspokoić nerwy i doprowadzić się do jakiegoś takiego porządku. A poza tym byłem tak zmęczony, że całym sobą marzyłem o wygodnym łóżku i kilku godzinach mocnego snu. Na marzeniach się jednak skończyło, bo karczmarz, nie wiedząc jakim sposobem poinformowany o tym, co wydarzyło się we dworze

u Sępińskiego, udzielił mi dobrej rady. „Pod osłoną ciemności dzieją się różne rzeczy, niebezpieczeństwo czai się za każdym rogiem. A jak jeśli jeszcze ktoś z kimś zadarł, to szczególnie musi być czujny. Najlepiej zostać pod dachem, a i tam na wszelki wypadek mieć oczy szeroko otwarte”, tak mi powiedział. Nie chciał nic więcej dodać, ale mądrej głowie dość dwie słowie. To, co usłyszałem, mi wystarczyło. I wybiło z głowy zarówno mrzonki o odpoczynku, jak i plany nocnej podróży. Całą noc czuwaliśmy z Józkiem na zmianę.

– Nie dziwię się. Po czymś takim też bym oka nie zmrużyła. Chociaż tuż obok karczmy jest cyrkuł^{**}, a to mogło ostudzić rozbójnicze zapędy. Jedyne pożytek z Moskali jest taki, że pospolite łotrzyki trzęsą portkami przed ich policją. A wracając do Sępińskiego, oczywiście masz rację, że o uczciwego i zaradnego gospodarza jest trudno, ale ten incydent pokazuje niezbitie, iż on o szerszej rozumianej uczciwości ma niewielkie pojęcie, a bez tego jego gospodarność traci na wartości. Poza tym nie ma mowy, żebym przymknęła oczy na to, o czym właśnie się dowiedziałam. Wiesz, czym zyskałam sobie lojalność moich ludzi? – Zawiesiła na chwilę głos. – Tym, że od początku przyjąłam zasadę, iż ich dobro jest moim dobrem – kontynuowała, przyspieszając kroku. – I dlatego muszę z tym zrobić porządek. Gdybym postąpiła inaczej, znaczyłoby to ni mniej, ni więcej, że daję przyzwolenie na zbójckie praktyki.

– Ale jak ty to sobie wyobrażasz? Pojedziesz tam sama? To przecież gbur i przepraszam za wyrażenie, cham pierwszej wody! Zresztą słyszałaś, co nas tam z Józkiem spotkało. Nie pozwolę ci na taką konfrontację. To niebezpieczny i pozbawiony skrupułów człowiek! I uwierz mi, widziałem już takich. To typ, który nie cofnie się przed niczym. Nie ma mowy, żebyś tam sama pojechała! – zakończył władczo.

Jednak chyba zapomniał, kogo ma przed sobą. Na reakcję nie musiał długo czekać.

– Twoje zakazy i nakazy nic tu nie znaczą – prychnęła rozeźlona Konstancja i ze złością szarpnęła szal, który zaczepił się o gałązkę dzikiej róży rosnącej przy drodze. Zrobiła to tak gwałtownie, że delikatna tkanina rozdarła się z trzaskiem. –

Janku, przepraszam za to, co powiem, ale poniosła cię wyobraźnia. Słuchając cię, można by pomyśleć, że od lat dbasz o mnie i otaczasz mnie opieką, bez której nie jestem w stanie sobie poradzić. A przecież gdybym rzeczywiście przy byle kłopotcie potrzebowała wybawcy, to opierając się na tobie, raczej nędznie bym skończyła. – Odwróciła do niego twarz oświetloną słońcem i spojrzała mu prosto w oczy.

Choć wiedział, że powiedziała prawdę – uproszczoną, ale jednak – to i tak poczuł się, jakby dostał w twarz.

– Masz słuszność, nie powinienem się mieszać w nie swoje sprawy – uklonił się sztywno. – Zmieniłaś się... A mnie zwiodły wspomnienia i to wszystko, co tutaj zastałem. Ta sama droga, te same pola... Przez moment zapomniałem, że to już nie ten czas co dawniej. Zareagowałem tak, jakbym to zrobił przed laty. A przecież nie miałem i nie mam do tego żadnego prawa. W jednym tylko nie mogę przyznać ci racji. Ja – tu zrobił pauzę mającą podkreślić wagę swoich słów, po czym dobitnie dokończył – chciałem się tobą zaopiekować.

„No to pięknie – pomyślała z irytacją Konstancja. – Doprawdy, nie mogliśmy lepiej zacząć. Ledwo się spotkaliśmy a już skaczemy sobie do oczu jak dwa zadziorne koguty. Powinnam zacząć brać sobie do serca nauki Pelasi, a raczej jej babki, i zacząć bardziej liczyć się ze słowami”.

– Przepraszam cię, Janku. – Położyła mu rękę na ramieniu w pojednawczym geście. – Nie powinnam na ciebie napadać. Masz rację, nie byłam sprawiedliwa. Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, twoja troska o mnie jest jak najbardziej zrozumiała. Ale minęło dużo czasu od momentu, gdy widzieliśmy się po raz ostatni. I rzeczywiście się zmieniłam. I to bardzo. Tej kobiety, którą pożegnałeś dwanaście lat temu, już nie ma... Gdyby pozostała taka jak dawniej, nie przetrwałaby, a wraz z nią przepadłby cały dwór i wszystko, co z nim związane.

– Jedenaście – poprawił ją odruchowo. – Ostatni raz widzieliśmy się

jedenastcie lat temu.

– To prawda, ale ten rok różnicy był kluczowy. Dwanaście lat temu byłam zrozpaczoną, młodą kobietą, która nie widziała przed sobą przyszłości. I taką mnie zapamiętałeś. Ale rok później, gdy przyjechałeś, nasza rozmowa przebiegła tak, a nie inaczej, bo już... Nie wiem, jak to wyrazić... Stwardniałam? To chyba dobre określenie. Nie wracajmy jednak do przeszłości. Nie psujmy tego spotkania niepotrzebnymi dąsami. Co do mojego dzierżawcy, to nie jest on ani pierwszym, ani, jak mniemam, ostatnim chamem, z jakim przyjdzie mi się spotkać. A poza tym w tej konkretnej sprawie mogę cię uspokoić. Daruję sobie osobisty kontakt z mości panem Sępińskim. To, co mam mu do przekazania, nie wymaga mojej obecności. Doskonale sobie z tym poradzi mój rządcą. Umie być współczujący, ale gdy sytuacja tego wymaga, potrafi być również twardy i ma dar przekonywania. Na wszelki wypadek przygotowujemy odpowiednie argumenty...

– Nie chcę być złym prorokiem, ale nie wydaje mi się, żeby Sępiński chciał ze stoickim spokojem wysłuchać czyichś uwag, choćby i najrozsądniejszych – zauważył sceptycznie Jan.

– Toteż nie o takich argumentach mówię. Mamy we dworze trochę broni i roślących mężczyzn. To w pewnych okolicznościach działa dużo lepiej niż wyważona perswazja – uśmiechnęła się lekko Konstancja. – Hieronim, ów rządcą, nie raz i nie dwa dał już dowód, że tego typu racjom nie sposób się oprzeć. Naprawdę nie musisz się więc martwić.

– To nie można było tak od razu? Słuchając cię, zacząłem się obawiać, że sama się zajmiesz tym wszystkim. – Tu Jan wykonał niesprecyzowany ruch rękami w kierunku dworu i pól.

– Pewnie, że można było, ale zirytował mnie twój protekcjonalny ton – wyznała szczerze. – To twoje niedowierzanie, gdy pytałeś, czy sama mam zamiar tam jechać. – Skrzywiła się. – Tak jakby było w tym coś dziwnego. A prawda

jest taka, że nie ma w tym nic a nic nadzwyczajnego. Od lat to kobiety zazwyczaj się wszystkim zajmują. Tylko wiedzą, że należy stwarzać pozory, że jest inaczej, żeby utrzymać panów mężów w dobrych humorach – dodała kpiąco. – U mnie wygląda to nieco nieszablonowo, bo nie mam przed kim odprawiać maskarady. Fikcja nie jest mi do niczego potrzebna. Nie muszę udawać, że skoro noszę suknie i kapelusze, to nie mam mózgu. Nie wiem dlaczego, ale wielu z was tak uważa.

– A może to nie ma nic wspólnego z naszą opinią o damskiej inteligencji? Może jako silniejsi chcemy was po prostu chronić? – bronił się Jan. – A może niektóre kobiety zamiast odtrącać męskie ramię, wolą zwyczajnie się na nim oprzeć... – dodał z nagłym smutkiem i odwrócił głowę, tak aby nie mogła widzieć jego twarzy. – A gdyby żył Tadeusz... – ciągnął ściszym głosem – co wtedy? Też byś nim manipulowała w trosce o... jak to określiłaś? Dobry humor pana męża?

– Nie wiem – powiedziała krótko, odgarniając z czoła niesforny kosmyk włosów.

Przez chwilę milczała, usiłując dojść do ładu z targającymi nią uczuciami. Nie do końca wiedziała, skąd ta nagła irytacja. Przecież gdy zobaczyła Janka wyskakującego z powozu, szczerze się ucieszyła.

Teraz jednak uświadomiła sobie, że jego pojawienie się wydobyło na światło dzienne cienie wygnane niegdyś w najdalsze zakamarki duszy. Jan był nieodłącznie związany z jej dawnym beztroskim życiem. Swoim nagłym przyjazdem nieświadomie uwolnił stare, uspione przez lata upiory. Wystarczyła chwila i wszystko wróciło. Drżało w powietrzu brzęczeniem dawnych pszczoł, muskało policzki wiatrem, którego podmuchy dawno rozwiały się w nicości, huczało jej w głowie imieniem męża. Strzępy i urywki dawnego życia, które przez tyle lat podsumowywała krótkim stwierdzeniem: „Było, minęło”, otoczyły ją i spowiły szczelnym kokonem. Musiała kilka razy zaczerpnąć głęboko powietrza, żeby pozbyć się dojmującego wrażenia, że zaraz się udusi.

Poranne uczucie spokoju i harmonii zniknęło bezpowrotnie. Konstancja całą sobą poczuła, że nadchodzi coś nieznanego i niepokojącego. Coś, co teraz, przyczajone w ukryciu, szykowało się do skoku.

Przeszłość wracała.

* Gra karciana.

** Posterunek policji rosyjskiej.

Przyszłość rzeczywiście zamierzała bezpardonowo wkroczyć w życie Konstancji. Już od dawna krążyła wokół niej, wpatrywała się w dwór głodnym wzrokiem, aż w końcu postanowiła się objawić w postaci Jana. Ale jeżeli myślała, że zasianie w duszy kobiety ziarna wątpliwości wystarczy, żeby całkowicie zburzyć jej spokój, to ewidentnie nie doceniła przeciwniczki.

Konstancja, jak każdy człowiek, bała się przede wszystkim niewiadomego, ale też wiedziała, że w pewnych momentach jedyne, co można zrobić, to oswoić strach. W tym wypadku zaś pierwszy krok w tym kierunku polegał na wyciągnięciu z Jana informacji, po co tak naprawdę przyjechał.

„Kluczy, szuka tematów zastępczych, dużo mówi – pomyślała, spoglądając na niego spod oka. – Tak jakby chciał potokiem słów zagłuszyć coś, co mu nie daje spokoju”.

„Nie pozostaje mi nic innego, jak uzbroić się w cierpliwość. O tyle dobrze, że sprawa wygląda na niecierpiącą zwłoki, więc nie będzie się zbyt długo ociągał. A teraz trzeba zająć się tym, co najpilniejsze. W końcu, jak mawia Pelasia, »co ma być, to będzie«. Swoją drogą, mogę się założyć, że to powiedzenie też przejęła od babki. Zdziwiająca, nigdy nie widziałam tej kobiety, ale nasłuchiwałam się o niej tyle, że wręcz słyszę jej gderliwy głos, gdy każe Pelaśce przestać mieć ozorem niczym ciele ogonem. Przez te wszystkie opowieści stała się nieomal członkiem naszej dworskiej rodziny. Choć od dawna nie żyje, jest wśród nas, i to bardziej realna od co poniektórych, którzy wprawdzie jeszcze nie rozstali się z tym światem, ale za to zniknęli z naszego życia”.

Zamyśliła się tak mocno, że nawet nie zauważyła, kiedy dotarli do solidnej, kutej bramy, otwartej teraz na oścież.

– Trudno w to uwierzyć, ale stąd dwór wygląda dokładnie tak, jak go zapamiętałem – wyszeptał Jan drżącym ze wzruszenia głosem i czule pogładził jedno z otwartych skrzydeł. – Jakby czas w ogóle się go nie miał. Wilczy Dwór jak zwykle dumny i niewzruszony.

– Kilkanaście lat to nie wieczność – uśmiechnęła się i potrząśnięciem głowy przegoniła wszystkie budzące niepokój myśli.

Widok dworu przypomniawszy jej, że tutaj nie może pozwolić sobie na żadne widoczne oznaki słabości. Dla mieszkańców była ostoją i wyrocznią. A ostoje i wyrocznie mają to do siebie, że nie boją się ani tego, co było, ani tego, co nadejdzie.

– Janku, pozwól, że po okolicy i po parku pospacerujemy później – powiedziała i wsunęła mu rękę pod ramię. – A na razie chodźmy do domu, bo Pelasia na pewno już czeka z herbatą.

Ledwo przekroczyli próg domu, z miejsca natknęli się na czatującą w korytarzu Pelasię. Ochmistrzyńni przez moment wpatrywała się w przybysza zmrużonymi oczami, aż w końcu zamigotał w nich błysk rozpoznania.

– Wszelki duch Pana Boga chwali! – zakrzyknęła i klasnęła z radości w dłonie. – Panicz Januś! Co za szczęście! Śniadanie już czeka, nie wiedziałam wprawdzie, kto jedzie, to dałam tylko, co niezbędne, ale zaraz każę na stół dostawić...

– Ale co Pelasia wygaduje? Plecie Pelasia trzy po trzy! – przerwała jej Konstancja, przewracając oczami. – Jan gotów pomyśleć, że skąpimy poczęstunku niespodziewanym gościom. Poza tym nie trzymaj nas w sieni...

– Racja, bo to wszystko z tych nerwów! Ta rozdeptana zazula cały czas mi w głowie siedzi. Strasznie się bałam, że to naszemu Adasiowi coś się przydarzyło...

– A widzisz, w kółko ci powtarzam, że to zabobony!

– I może dobrodziejka bez ustanku powtarzać, a nawet mnie rugać do woli, a ja i tak swoje wiem! Znaków nie można lekceważyć, ot co! – zaperzyła się Pelasia. – Ale dobrze, że tym razem się nie sprawdziło.

– A co się miało sprawdzić? – wtrącił nieroztropnie Jan i z miejsca dostał kuksańca w bok od Konstancji.

– A bo to zazulę głupia dziewczyna dzisiaj rozdeptała, a to najgorsze nieszczęście przepowiada. Śmierć jak nic! – roztrajkotała się na nowo Pelagia.

– Ja za chwilę oszaleję! – Konstancja straciła cierpliwość. – Jak tak dalej pójdzie, to przepowiednia rzeczywiście się spełni, i nawet wiem, kogo to

przekleństwo dopadnie. Po prostu Janek umrze nam tu z głodu!

– A tak, już lecę do kuchni nowe dyspozycję wydać! Ale niech się dobrodziejka na mnie nie gniewa, bo to wszystko z radości, że panicza Janusia widzę po tylu latach... W jadalnym już jest nakryte, na początek starczy. A, i proszę przygotować się na najgorsze, bo tam straszy...

– Straszy? – Konstancja w zdumieniu uniosła brwi do góry.

– A jakże. Nasze dwie prywatne zmory już się pojawiły. Pani pułkownikowa i panna Jadwiga. A że już od jakiegoś czasu siedzą sam na sam, to zapewne zdążyły się już pięć razy pokłócić i jadłem zatruć powietrze. Tak, tak, wiem. – Na widok miny Konstancji gwałtownie zatkała sobie usta dłonią. – Już nic nie mówię i pędzę, choć z drugiej strony, gdyby tak się nieszczęśliwie stało i zamilkłabym na wieki, to dopiero dobrodziejka by miała zgryzot co niemiara. Z miejsca...

– Pelagio!

Konstancja wypowiedziała jej imię takim tonem, że Pelasia tym razem na dobre zamilkła, zafurczała czarną spódnicą i zniknęła za drzwiami wyjściowymi, by udać się do kuchni*.

Zajęte słowną utarczką obie kobiety przeoczyły poruszenie Jana, który słysząc, jak Pelasia mówi o znakach i o niechybnej śmierci, nagle pobladł i oparł się o ścianę.

Dobrze, że w korytarzu panował półmrok. Dzięki temu zanim Konstancja spostrzegła, że coś jest nie w porządku, zdołał na powrót przybrać pogodny wyraz twarzy.

Depcząca mu po piętach przeszłość zachichotała złowieszczo.

* W bogatych, starych dworach zabudowania kuchenne były stawiane osobno, żeby zapach jedzenia nie przenikał na salony.

Przez resztę dnia Jan kilkakrotnie żałował, że jednak się nie przemógł i od razu nie powiedział Konstancji o powodzie swojego przyjazdu. Bo później najzwyczajniej w świecie nie było sprzyjającej okazji, aby spokojnie porozmawiać.

Najpierw dostał się w ręce rezydentek, pań Jadwigi i Marty. Obie wyglądały nieomal tak, jak je zapamiętał.

Pani Marta, wdowa po pułkowniku, była tak samo rumiana i okrągła jak niegdyś. Jedyne zmiany, jaką dostrzegł, to że jej podobna do okrągłego jabłuszka twarz nieco zmaląła, a wokół oczu przybyło zmarszczek, do których powstania ewidentnie przyczyniła się skłonność kobiety do częstego śmiechu i żartów.

Panna Jadwiga natomiast była jej chodzącym przeciwieństwem. Zawsze długa i chuda, ze skwaszoną twarzą i czarniawym wąsikiem sypiącym się nad górną wargą, teraz wydała się Janowi jeszcze bardziej wysuszona i wydłużona. I wąs niewątpliwie miała bardziej obfity niż kiedyś. Patrząc na nią, doszedł do wniosku, że ten nieszczęsny czarny ślad ma dar magnetycznego przyciągania. Cokolwiek by czynił i choćby nie wiem, jak bardzo się starał nie patrzeć na jej usta, jego spojrzenie samo podążało w tym kierunku. Co więcej, cały czas miał wrażenie, że panna Jadwiga kogoś mu przypomina. I w końcu, gdy któryś raz z rzędu jego wzrok zaczepił o ów wąsik, doznał olśnienia. Przed oczami stanął mu jego wuj, huzar, który miał identyczny zarost i dodatkowo był z niego niesamowicie dumny. Dokonawszy tego odkrycia, z trudem stłumił nerwowy chichot, który podstępnie podchodził mu do gardła.

– Ciociu Marto, kuzynko Jadwigo, pamiętacie Jana, prawda? – zapytała

Konstancja, usiłując zignorować to, że zastała panie nabzdyczone i siedzące przy przeciwległych krańcach stołu.

– Oczywiście! No jakżebym mogła zapomnieć! – Na widok gościa pani Marta rozpogodziła się natychmiast i z wdziękiem wyciągnęła pulchną dłoń na powitanie. – Sokołowski, jeśli mnie pamięć nie myli? Ale że znam cię od takiego malutkiego filuta, to powiem tak prosto z serca: Sokołusiu, bardzom ci rada!

Zdumiony Jan nawet nie zdołał sprostować pomyłki, tylko automatycznie pochylił się nad wyciągniętą ręką. Widząc jego konsternację, Konstancja z trudem zachowała poważny wyraz twarzy.

– Jastrzębski, ciociu. Jan Jastrzębski, nie Sokołowski.

– Dawno już mówiłam, że bez ziółek na wzmocnienie pamięci się nie obejdzie! Ale kto by mnie tam słuchał – jadownicę wycodziła panna Jadwiga. – Chociaż tu zapewne żadne leki nie pomogą. Bo cóż można zrobić w beznadziejnych okolicznościach?

– Powiedziała, co wiedziała – fuknęła pani Marta. – Skrzywione toto chodzi, jakby się piołunu najadło! Wszak sam doktor ostatnio prorokował, że bez wątpienia setki dociągnę, więc daj Panie Boże taką beznadzieję. A nad tobą tylko głową kręci.

– Jeżeli nawet, to z zachwytu. Nad moją nadzwyczajną inteligencją – zripostowała wyniośle wąsata panna Jadwiga.

– O, doprawdy!

– Moje drogie panie... – usiłowała interweniować Konstancja, ale z miejsca poniosła porażkę.

– Zresztą moja pomyłka nie ma nic wspólnego z pamięcią! – przerwała jej bezpardonowo ciotka Marta. – Zwykły błąd wywołany skojarzeniami. A nawiasem mówiąc, sokół to taki lepiej urodzony jastrząb, więc na pewno nasz Jan nie ma nic przeciwko byciu Sokołowskim! Prawda? – Spojrzała z wyczekiwaniem na samego zainteresowanego.

– Raczej nie przypuszczam – wybąkał wymijająco.

W głowie zaświtała mu niepokojąca myśl, że jak tak dalej pójdzie, to skłócone matrony gotowe są go przymusić do zmiany nazwiska. Na całe szczęście do jadalni wkroczyła Pelasia, a za nią trzy dziewczęta z wypełnionymi po brzegi półmiskami.

– A dlaczego dobrodziejka z paniczem Janusiem jeszcze nie jedzą? – zagderała i tym samym odwróciła uwagę od poprzedniego tematu. – Proszę siadać, bo tu wszystko stygnie! A właśnie doniosłam świeżo upieczone rogaliki, jeszcze ciepłe. Z najlepszymi konfiturami ze śliwek i z malin. Sama doglądałam smażenia, więc wiem, co mówię – dodała i z zadowoleniem, które opromieniło jej twarz, spojrzała na stół, gdzie właśnie jedna z dziewcząt ustawiała tacę z aromatycznymi, pysznięcymi się miodowozłotą skórką rogalikami.

Jan z lubością odetchnął słodkim, pachnącym powietrzem. Na chwilę przymknął oczy i pozwolił sobie ulec złudzeniu, że wrócił do własnego domu.

Aż do wieczora nie nadarzyła się już okazja, by Konstancja mogła się rozmówić z Janem sam na sam. Śniadanie upłynęło w dość burzliwym nastroju, bo ciotka Marta i kuzynka Jadwiga kontynuowały słowną szermierkę. Nie było to wprawdzie niczym nowym, ale obecność Jana ewidentnie sprawiła, że stały się bardziej zapamiętałe w utarczkach i wyjątkowo złośliwe. Konstancja momentami odnosiła wrażenie, że te dwie kobiety w kwiecie wieku zamieniły się z nienacka w rozwydrzone pięciolatki, które za wszelką cenę chcą się popisać przed gościem. Cały szkopuł polegał na tym, że o ile pięciolatki można zazwyczaj dość łatwo przywołać do porządku, to z paniami sprawa była bardziej skomplikowana.

„Żeby tak jedną z drugą przełożyć przez kolano i wlepić po porządnym klapsie” – rozmarzyła się Konstancja, podnosząc do ust filiżankę z parującą herbatą.

– A bo to widzisz, Sokołosiu, co ja tu muszę przez tę sekutnicę znosić? – wdarł się w jej myśli głos ciotki Marty.

Biedny Jan na swoje nieszczęście został usadzony pomiędzy dwiema swarliwymi paniami i nijak nie mógł sobie z nimi poradzić. Ledwo otwierał usta, aby cokolwiek odpowiedzieć, a już w dopiero co rozpoczęte słowo wchodziła mu któraś z rozjuszonych kobiet.

Widząc jego zakłopotanie, Konstancja postanowiła w końcu położyć kres tym niemądrym przepychankom. Początkowo miała nadzieję, że panie same się opamiętają i uniknie przywoływania ich do porządku, ale było widać, że w najbliższym czasie się na to nie zanoszą.

„Trudno, obrażą się obie, ale przynajmniej będzie chwila spokoju” –

pomyślała, z brzdękiem odstawiając filiżankę na spodek.

– Moje drogie panie... – rozpoczęła surowym tonem, jednak nie dane jej było skończyć, bo w tej samej chwili do jadalni wpadła Pelasia.

– Niech panicz Januś natychmiast mi tu powie, że to nieprawda! – zakrzyknęła, przyciskając ręce do piersi.

– No masz ci los, kompletne wariactwo! – Konstancja złapała się za głowę. – Jakby mało było, że ciotka Marta i kuzynka Jadwiga cały czas skaczą sobie do oczu, to jeszcze Pelasia dolewa oliwy do ognia? – zwróciła się do niej z wyrzutem. – Co Jan sobie o nas pomyśli? Posadziliśmy go przy stole, a nawet zjeść w spokoju nie może! Co w was wszystkie dzisiaj wstąpiło?

– A bo ja panowanie nad sobą straciłam! – Pociągnęła nosem lekko zawstydzona Pelagia.

– Tego akurat trudno nie zauważyć – mruknęła Konstancja. – Co takiego się stało, że nie mogło poczekać, aż wstaniemy od śniadania?

– A bo to tak się zdenerwowałam, że z miejsca zrobiłam, co mi serce podyktowało. Choć dobrodziejka na pewno ma rację, gdy tyle razy mi powtarza, że nie należy słuchać wszystkiego, co to służba między sobą gada. Ale to całe podwórko szumi...

– Na litość boską, niechże Pelasia przejdzie do rzeczy!

– No gadają, że panicz Januś ma się strzelać z tym całym Sepińskim!

– A ja myślałam, że może choć do wieczora uda się to utrzymać w tajemnicy... – westchnęła Konstancja.

– To pewnie zasługa Józka. Znając i życie, i mojego furmana, zapewne usiłował dzięki tej sensacji zabłysnąć w nowym towarzystwie – wtrącił Jan. – Wie, Pelasia, jak to jest, każda plotka ma w sobie ziarno prawdy...

– Janku, daj spokój. Skoro już mleko się rozlało, to trzeba mówić wprost – przerwała mu Konstancja. – To prawda. Jan będzie się pojedynkował z Sepińskim. A właśnie, skoro o tym mowa, to posłałam po Dyrylkiewiczów,

więc będziemy mieli gości na obiedzie. Niech Pelasia powie kucharzowi, że porcji potrzeba więcej. Przypuszczam, że przyjadą wszyscy, i ojciec, i synowie – umiejętnie skierowała uwagę Pelagii na sprawy praktyczne. To była jedyna szansa, żeby dojść z nią do ładu.

– A jeszcze proboszcz i doktor. Znów się nam przy stole zrobi tłoczno. Prawie jak dawniej... – Pelasia uśmiechnęła się z rozmarzeniem, ale zaraz wyraz radości znikł z jej naznaczonej zmarszczkami twarzy. – Ale z paniczem Janusiem to źle się stało... Sępiński to człowiek podłego autoramentu. Nazwisko ma akuratne do charakteru – powiedziała i kręcąc głową, wyszła z pokoju.

„Niespotykane – pomyślała Konstancja, ze zdumieniem spoglądając na drzwi, za którymi zniknęła Pelasia. – Tak po prostu, bez słowotoku, bez lamentów?” Ku swojemu zdumieniu, zamiast odczuć ulgę, że tutaj przynajmniej sprawy same się rozwiązały, poczuła się nieswojo. Nie miała jednak czasu, by skupiać się na sobie. W końcu była tu gospodynią, a zatem należało skorzystać z względnego spokoju, który zapanował przy stole, i zacząć czynić honory przypisane pani domu.

„Wszystkim pozostałym zajmę się, gdy przyjdzie na to odpowiedni czas” – postanowiła, usiłując samą siebie uspokoić. Nie miała pojęcia, że owo pozostałe okaże się niewiarygodnie trudne i niespodziewane. Przyczajona przeszłość pieśczośliwie musnęła ją oddechem i podała dłoń stojącej tuż obok przyszłości. To, co było, zaczęło splatać się z tym, co miało dopiero nadejść.

Po śniadaniu Konstancja zaprowadziła Jana na górę.

– Odśwież się, odpocznij, bo widać, że podróż dała ci się we znaki – powiedziała, otwierając przed mężczyzną drzwi do jednego z pomieszczeń.

Na widok znajomego wnętrza Jan uśmiechnął się nieznacznie.

– Pamiętałaś – powiedział miękko.

– Oczywiście, to był twój ulubiony pokój. Zawsze się w nim zatrzymywałeś. Do tej pory nie wiem, dlaczego tak ci przypadł do gustu... Moim zdaniem jest ponury. A teraz cię zostawiam, spotkamy się na dole na obiedzie. – Już miała zamknąć za sobą drzwi, lecz w ostatnim momencie zmieniła zdanie. – Janku... – Odwróciła się do niego i położyła mu rękę na ramieniu.

– Tak?

– Wiem, że nie przyjechałeś tu, ot tak sobie. Nie przygnała cię też nagła chęć zobaczenia mnie po tylu latach. Teraz nie zamierzam cię męczyć, ale wieczorem po prostu powiesz mi, co się stało, dobrze?

– Dobrze – zgodził się bez oporu i nawet nie usiłował ukrywać ulgi, którą poczuł w obliczu tak jasnego postawienia sprawy.

Konstancja cicho zamknęła za sobą drzwi i na moment oparła się o ścianę. Poczowała się potwornie zmęczona.

A przecież poranek zapowiadał się tak spokojnie. Ganek skąpany w złotych promieniach słońca, bzyczenie pszczół. Tak było zaledwie chwilę temu, choć teraz ta idylliczna scenka wydawała się kobiecie niesamowicie odległa.

Nagle tuż koło niej rozległo się ciche psyknięcie, które o mało co nie przyprawiło jej o zawał serca.

– Matko Przenajświętsza! – Cała aż podskoczyła. – Co też Pelasi przyszło do głowy, żeby się za mną skradać! Przecież... – zaczęła, ale dostrzegła minę Pelagii oraz znacząco przyłożony do ust palec i posłusznie zamilkła.

– Niech mnie dobrodziejka posłucha – zaszepotała konspiracyjnie starsza kobieta, jednocześnie rozglądając się uważnie dookoła. – Panicz Januś to ma się z tą szują Sępińskim strzelać, tak?

– Tak – odruchowo i ona zniżyła głos. – Ale chyba nie musimy szeptać, bo to przecież żadna tajemnica...

– To akurat tajemnicą nie jest, ale to, co zaraz dobrodziejce powiem, to już zupełnie inna sprawa. Skąd Januś będzie miał te pistolety?

– No, od nas. Już ustaliliśmy, że będzie mógł skorzystać z naszego zestawu pojedynkowego... Skąd te pytania? Nigdy jakoś nie podejrzewałam Pelasi o zainteresowanie bronią.

– A bo to dobrodziejka o mnie jeszcze wielu rzeczy nie wie. W młodości to nawet niezłe oko miałam – zaśmiała się Pelasia. – Mój pan ojciec uważał, że dziewczucha musi umieć się strzelbą posługiwać, żeby mogła zuchwałemu kawalerowi kuśkę odstrzelić... – tu zdała sobie sprawę, do kogo mówi i zamilkła speszona.

– Cóż, miała Pelasia niezwykle praktycznego rodzica. – Na widok zakłopotania towarzyszki Konstancja z trudem zachowała powagę.

– Praktycznego jak praktycznego. Doświadczonego raczej. Życie znał, a i dobrze pamiętał, co tam w swojej młodości z pannami na sianie wyprawiał. No i znowu coś mnie podkusiło, żeby przy dobrodziejce takie głupoty gadać! A przecież nie o tym chciałam... – mruknęła kobiecina i znów zniżyła głos, tym razem tak, że ledwo było ją słychać.

Wreszcie Konstancja uznała, że to nie ma sensu.

– Widzę, że to jakaś poważna sprawa, więc zamiast stać pod Janowymi drzwiami, chodźmy do błękitnego saloniku. Tam na pewno nas nikt nie usłyszy

– zawyrokowała i nie czekając na odpowiedź Pelagii, ruszyła w głąb korytarza.

Na jego końcu widniały starannie zamknięte drzwi, które pod naporem dłoni Konstancji ustąpiły z lekkim skrzypnięciem. Rzadko tu przychodziła. To było jedyne miejsce we dworze, w którym czuła się jak intruz. Było w tym pokoju coś dziwnego. Coś, co wzdychało głęboko z niezadowoleniem za każdym razem, gdy otwierała ciężkie podwoje. Tak jakby ozdobione elegancką błękitną tapetą wnętrze nie życzyło sobie zakłócania spokoju.

Gdy była małą dziewczynką, wydawało jej się, że kryją się tutaj cienie wszystkich dawno zmarłych krewnych, którzy niegdyś zamieszkiwali Wilczy Dwór i teraz tylko czekają, aby wyciągnąć po nią upiorne dłonie zakończone widmowymi szponami. Potem, gdy dorosła, tłumaczyła sobie ów lęk natłokiem zgromadzonych tu portretów wujów i ciotek, kuzynek i kuzynów, którzy całe lata temu przenieśli się już na tamten świat. I choć cały dom pełen był wizerunków różnych przodków, to żadne nie wzbudzały w niej takich emocji jak te zgromadzone w saloniku. Co więcej, nie tylko ona unikała tego pomieszczenia.

Kiedyś w przystępie szczerości wyznała matce, że boi się tego pokoju jak ognia. Myślała, że ta ją wyśmieje i zrugą za popuszczanie wodzy fantazji. Tymczasem to, co usłyszała w odpowiedzi, nie dość, że ją zdumiało, to jeszcze spowodowało, że lęk się pogłębił. „Ja też mam takie dziwne wrażenie, gdy tam wchodzę. Jakbym wpychała się z butami w świat, do którego nikt mnie nie zapraszał...” – Choć minęło przecież tak wiele lat, w uszach Konstancji wciąż brzmiały tamte słowa, których po twardo stąpającej po ziemi matce w ogóle się nie spodziewała.

Na samo wspomnienie poczuła zimny dreszcz biegnący po plecach. Ale szybko wzięła się w garść. Lęk lękiem, a sprawa do wyjaśnienia sprawą do wyjaśnienia. Błękitny salonik idealnie nadawał się na konspiracyjne rozmowy, bo większość domowników i służby go omijała. Nagle Konstancja zdała sobie

sprawę, że odkąd sięgała pamięcią, wszelkie tajne narady odbywały się właśnie tam. Ojciec i matka zawsze zamykali się w błękitnym saloniku, gdy chcieli porozmawiać o czymś ważnym. Tam, pod czujnym i surowym wzrokiem antenatów, czynili konieczne ustalenia. Ona z Tadeuszem robili później tak samo. Błękitny salonik z jednej strony odstraszał, z drugiej zaś –zapewniał dyskrecję, bo nawet wszędobylskie dzieci go unikały.

W zamyśleniu zapatrzyła się na przywieszony naprzeciwko drzwi obraz przedstawiający bladą kobietę z zapadniętymi policzkami. Kąciki jej ust opadały ku dołowi. Nie była ładna, lecz ten, kto ją malował, widocznie umiał patrzeć w głąb duszy, bo poza tym, co było widoczne gołym okiem, uchwycił również głęboki smutek wyzierający z jej spojrzenia. Żalność w oczach sportretowanej rozpraszała się po całym jej obliczu, sprawiając, że patrzący zapominał o bladości i kanciastych rysach wychudłej twarzy. Z rzeczy pewnych Konstancja wiedziała o niej tylko tyle, że była daleką krewną ze strony ojca i mieszkała w Wilczym Dworze, na długo zanim Konstancja pojawiła się na świecie. Nazywała się Izabela. I tyle – na tym wiedza o właścicielce smutnego wejrzenia się kończyła.

Mimo to kiedy już zdarzało jej się bywać w błękitnym saloniku, Konstancja zawsze starała się patrzeć przede wszystkim na nią. Jej zdaniem owa Izabela była najprzyjemniejsza i najbardziej ludzka spośród wszystkich sportretowanych przodków. Teraz też odruchowo popatrzyła właśnie w tym kierunku i nagle wróciło do niej zepchnięte na dno świadomości wspomnienie.

To było tuż po śmierci Tadeusza. Szalała wówczas z rozpacz, lecz musiała to skrzętnie ukrywać, bo przecież była przede wszystkim matką siedmioletniego chłopca, który właśnie stracił ojca. Jak strasznie wtedy nienawidziła tych wszystkich ciotek i wujów, powtarzających jej na okrągło, że musi pamiętać, iż jest matką. „Nie możesz się załamywać, jesteś matką! Musisz być silna, przecież masz syna!” Zdawali się zupełnie ignorować fakt, że poza tym, iż była matką, była też żoną, która straciła właśnie najdroższą osobę na świecie. Wraz z mężem

z jej życia odeszły miłość i poczucie bezpieczeństwa.

Całą sobą pragnęła choć na chwilę dać upust rozpacz i zapomnieć o tym, o czym jej wciąż przypominali troskliwi krewni. Chciała po prostu być tym, kim się czuła: zrozpaczoną młodą kobietą. Pragnęła rwać włosy z głowy, tłuc pięściami o podłogę i rozzierająco krzyczeć. Przez jakiś moment udawało jej się trzymać te wszystkie uczucia na wodzy. Ale do czasu.

Miała wtedy za sobą nieprzespaną noc. Mały cały czas się budził i dopytywał, czy ojciec do nich wróci. Tłumaczyła mu, że tak naprawdę Tadeusz ich nie opuścił i że zawsze będzie nad nimi czuwał. Powtarzała wszystko to, co powinien usłyszeć mały chłopiec. Mówiła i nie wierzyła w ani jedno słowo. Wręcz przeciwnie – z każdym kolejnym zapewnieniem narastała w niej wściekłość na Tadeusza. Za to, że ją zostawił na pastwę losu, porzucił i ją, i Adasia, a przecież miał się nimi opiekować, miał być i trwać. Gdy w końcu nastał ranek, półprzytomna ze zmęczenia, zeszła do jadalni i zastała w niej kuzynkę Jadwigę oraz jedną z ciotek, która po pogrzebie Tadeusza została we dworze na dłużej, żeby pomóc Konstancji dojść do siebie.

– Słyszałam, że Adaś znów płakał w nocy. Nie wiem, jak ty to wytrzymujesz. – Kuzynka Jadwiga pokiwała cierpiętniczo głową.

– Wy, stare panny, nigdy tego nie zrozumiecie. Trzeba być matką, żeby to pojąć – oznajmiła moralizatorskim tonem ciotka Dusia, a Konstancja poczuła, że coś w niej pęka i jeżeli natychmiast się nie wykrzyczy, stanie się coś strasznego.

Przez moment wpatrywała się w ciotkę, myśląc o tym, że najchętniej złapałaby ją za starannie ufryzowane włosy i wywlekła na podwórze, a następnie wytarzała ją w błocie i zakazała jej używania słowa „matka”. Na myśl o pulchnej pani uwalanej w czarnej lepkiej mazi zachciało jej się śmiać. Poczowała, że ten histeryczny chichot podchodzi jej do gardła i za moment nie zdoła go powstrzymać. Zerwała się od stołu i obrzuciła jadalnię spanikowanym, lekko szalonym wzrokiem, ale nawet w stanie, w jakim się znajdowała, wiedziała, że

tutaj nie znajdzie schronienia. Prawie na oślep wbiegła na schody i wpadła na piętro. I wtedy jej wzrok padł na pokój na końcu korytarza.

Właściwie nie pamiętała, jak się znalazła w błękitnym saloniku. Wiedziała tylko, że drzwi zatrzasnęły się za nią, a ona upadła na sofę i rozpłakała się rozpaczliwie. Miała wrażenie, że nie tylko płacze, ale i krzyczy, i złorzeczy, i wyzywa Tadeusza... Była praktycznie pewna, że tak się stało, ale później Pelasia, która wbiegła za nią na górę, twierdziła, że z salonu nie dobiegał ani jeden dźwięk.

– Toć stałam pod drzwiami i umierałam z niepokoju, bo nie było nic słyhać! Ani szlochu, ani jęku, ani słowa jednego – przysięgała, przyciskając ręce do piersi. – A potem, jakby tego było mało, okazało się, że drzwi nie można otworzyć...

I właśnie teraz, patrząc na portret Izabeli, Konstancja uświadomiła sobie coś, z czego do tej pory nie zdawała sobie sprawy: wtedy, gdy zrozpaczona schroniła się w błękitnym saloniku, nie czuła strachu ani tej dziwnej, niepokojącej aury. Wręcz przeciwnie – miała wrażenie, że pokój ją przygarnął, otulił, otoczył zrozumieniem i opieką. Ten jeden, jedyny raz, bo potem wszystko wróciło do normy.

– Ja tam nie wiem, jak dobrodziejka, ale ja zawsze mam tutaj pietra – rozmyślania przerwał jej głos Pelasi. – A już szczególnie po tym jak mi się tu pani zatrzasnęła – dodała starsza kobieta, z czego wynikało niezbitcie, że ich myśli podążają identycznym torem.

– Wie Pelasia, ja wtedy nie byłam sobą – powiedziała z namysłem. – Nie muszę Pelasi tłumaczyć, co rozpacz robi z człowiekiem, szczególnie młodym i niewprawionym w życiowym boju. Chyba wiem, dlaczego te drzwi wtedy nie chciały puścić...

– Tak? – w głosie Pelasi słyhać było niedowierzenie.

– Tak mi się kojarzy, że ja je tak nieświadomie zabarykadowałam krzesłem,

żeby nikt mi nie przeszkadzał. Podstawiłam pod kławkę oparcie. A potem, gdy Pelasia zbiegła na dół, żeby zawołać innych, zapewne je odstawiłam. Pamiętam to jak przez mgłę, ale to wydaje się logiczne.

– A być może, że i tak to wyglądało. – Pelagia nie wyglądała wprawdzie na przekonaną, ale widać było, iż stanowczo woli takie wytłumaczenie. Było sto razy lepsze od upiornych przypuszczeń, które chodziły jej po głowie.

– Dajmy spokój temu, co było. Miała Pelasia do mnie jakąś sprawę. – Konstancja postanowiła wrócić do głównego tematu rozmowy.

– A rzeczywiście. O naszego Janusia mi się rozchodziło. Jeżeli już musi się z tą kanalią bić, to dobrze, że stanęło na pistoletach... – Ledwo kobieta zdążyła wypowiedzieć te słowa, a przez pokój przeleciał lodowaty podmuch i uchylone okno zatrzęsnęło się tak, że aż zadrżały w nim szyby.

Obydwie znieruchomiały na moment, patrząc to na siebie, to na okno.

– Co ja się mam z tymi dziewuchami, pewnie znowu któraś drzwi wejściowych nie zamknęła i wiatr hula po domu – pierwsza doszła do siebie Pelagia i dziarskim tonem usiłowała zamaskować nietęgą minę.

Szczerze mówiąc, Konstancja doskonale ją rozumiała, bo też czuła się nieswojo. Chętnie przyjęłaby wytłumaczenie o przeciągu, ale przy zamkniętych drzwiach do salonu wiatr miał nikłą szansę na to, by z taką siłą uderzyć w okno. Tym bardziej że na zewnątrz nie poruszała się nawet jedna gałązka. Powietrze w pomieszczeniu wyraźnie zgęstniało i Konstancja pomyślała, że być może rozsądnie byłoby się jednak stąd wynieść. Zaraz jednak uniosła wysoko głowę i zdecydowanym krokiem podeszła do okna, poprawiając zwichrowaną firankę.

– Mowy nie ma – mruknęła pod nosem. – Słyszysz? Nie będę się bała we własnym domu! Kimkolwiek lub czymkolwiek jesteś, zapamiętaj to sobie!

– Co tam dobrodziejka mówi? – zaniepokoiła się Pelasia.

– Nic – odpowiedziała już normalnym głosem i otworzyła okno na oścież. – Duszno tu się jakoś zrobiło, pora przewietrzyć zatęchłą atmosferę – dodała

pozornie bez związku. – To o co Pelasi chodzi z tym strzelaniem? Przecież ta kanalia, jak Pelasia nazywa Sepińskiego, jest wyborowym strzelcem, więc nie bardzo wiem, z czego tu się cieszyć – Konstancja płynnie przeszła do momentu, w którym przerwały rozmowę, i z satysfakcją poczuła, że powietrze w salonie znów staje się normalne.

„Cóż, nawet jeżeli to tylko moja wybujała wyobraźnia, to dobrze, że potrafiłam przywołać ją do porządku. A jeżeli jednak to coś innego, to tym bardziej się cieszę, że przyjęło moje argumenty” – pomyślała, siadając w fotelu obitym niebiesko-srebrnym materiałem.

– Może sobie być i najwspanialszym, a i tak wiem, co mówię. Dużo gorzej by było, gdyby chcieli się szablami siec... A teraz niech mnie dobrodziejka dokładnie posłucha. W gabinecie są dwa zestawy pojedynkowe. Nam chodzi o ten w srebrnej kasetce wyłożonej bordowym aksamitem. Trzeba koniecznie dopilnować, żeby to właśnie on trafił w ręce panicza Janusia.

– Nie rozumiem...

– Tu nie ma co rozumieć. Niech mi dobrodziejka zaufa.

– Dobrze, dopilnuję, żeby Jan dostał właśnie ten zestaw, ale wolałabym wiedzieć, czemu Pelasi na tym zależy.

– Bo tak będzie dobrze, sama dobrodziejka zobaczy. I niech ręka boska broni wspominać komukolwiek, że ja co takiego mówiłam. Nikomu, rozumie dobrodziejka? Nikomu ani słowa.

– Nawet ulubionemu paniczowi Janusowi?

– Jemu w szczególności.

– Aha. Nadal nic nie rozumiem, ale mniejsza o to. – Konstancja dała spokój dociekaniom, bo po minie Pelasi widziała, że i tak nic z niej nie wyciągnie. – A tak nawiasem mówiąc, wie Pelasia, że nasz Januś już dawno przestał być paniczem – dodała z lekką przekorą. Lubiała się czasem poprzekomarzać z ochmistrzynią. – Żonę ma i dzieci... Teraz to z niego pan Jan pełną gębą.

A paniczem to był wtedy, gdy mu się pierwszy wąs pod nosem sypał i...

– Dla mnie to wy zawsze jako te dzieci – przerwała jej Pelagia. – Do dobrodziejki nie wypada mi się inaczej zwracać, żeby autorytetu nie podrywać u służby, ale do panicza Janusia będę mówiła tak jak kiedyś. Zresztą przy moich latach to on nadal jest niedorostkiem, a dobrodziejka, proszę wybaczyć, podfruwajką.

– Pelasia to jak nikt inny potrafi sprawić, że czuję się o wiele młodziej – roześmiała się Konstancja, ale już po chwili spoważniała i z namysłem popatrzyła na stojącą przed nią kobietę. – Ale jeszcze jedno nie daje mi spokoju... A skąd Pelasia ma takie wiadomości o Sępińskim?

– A ja tam żadnych wiadomości nie mam – zaparła się w żywe oczy kobiecina i zacisnęła usta w wąską linijkę.

– No przecież sama Pelasia mówiła, że to kanalia.

– A bo to ja mało głupot plotę? Sama dobrodziejka wie, że co mi ślina na język przyniesie, to zanim pomyślę, już gadam.

– Aha! Gadać to Pelasia potrafi jak nikt inny, ale mnie Pelasia nie oszuka. Ja muszę wiedzieć, co Sępiński ma na sumieniu. On gospodarzy na mojej ziemi!

– O, i to jak! Dba jak nikt inny, żeby i w przyszłości miał kim robić – sarknęła Pelasia, potwierdzając tym samym, że wie o wiele więcej, niż chciała przyznać. – No dobrze już, dobrze, powiem wszystko jak na spowiedzi – westchnęła, patrząc na swoją dziedziczkę spod oka. – Ale żeby mi potem dobrodziejka nie wyrzucała, że plotki roznośzę!

– To akurat mogę obiecać z ręką na sercu. – Dla potwierdzenia swoich słów Konstancja przycisnęła dłoń do piersi. – Ale zanim Pelasia zacznie, to niech usiądzie, bo nóg szkoda – dodała, wskazując drugi fotel.

Ochmistrzyni przycupnęła na samym brzeżku mebla i przez moment milczała, mnąc w palcach czarny materiał sukni.

– Co Pelasi jest? – Konstancja popatrzyła na nią zdumiona.

– A bo to nawet mnie w niektórych sytuacjach słów brakuje – mruknęła, pociągając nosem.– Tym bardziej że już wiem, jaki to dla dobrodziejki będzie szok. Ja to o tym Sepińskim wiem już od dłuższego czasu. Nawet zastanawiałam się, czy nie pójść z tym do pani, ale co i rusz słyszałam, że on dobry gospodarz, że dzierżawę płaci. Tyle lat na świecie żyję, że tłumaczyć mi specjalnie nie trzeba, co to znaczy akuratny i gospodarny pan. Zresztą świeżo w pamięci mam tego przed nim, co to o pola zadbać nie umiał i każdy grosz od niego musiała dobrodziejka prawie siłą wyszarpywać... To wątpliwości miałam. Ale skoro teraz dobrodziejka sama chce wiedzieć, to ja wszystko powiem...

– A i owszem, pytam, chcę wiedzieć, więc niech Pelasia nie ma żadnych skrupułów – przemówiła łagodnie Konstancja.

– Sepiński może i jest dobry gospodarz, ale ludzi nie szanuje. Na poniewierkę niejednego już skazał, tak samo zresztą jak na życie w wiecznej hańbie – wyrzuciła z siebie jednym tchem.

– Co znaczy w wiecznej hańbie? – Konstancja uniosła wysoko brwi.

– A to dobrodziejka wczoraj urodzona? Tłumaczyć muszę? Toć Sepiński żadnej babie nie przepuści. Służyć u niego to podobno gorzej niż iść na ulicę, bo brutalny jest, a jak zły, to nie tylko sam się zabawia, ale i swoim ludziom dziewczynę potrafi oddać...

– Nie, to być nie może! Skąd Pelasia ma takie informacje? – Konstancja aż wstała z fotela.

– Uszy mam, a i oczy też szeroko otwarte, to i wiem, co się dzieje. Zresztą ludzie mają do mnie zaufanie, więc czasem przychodzą się poradzić, wyzalić. Kaśkę, córkę Leona, naszego stajennego, dobrodziejka pamięta?

– Pamiętam. Taka ładna, łagodna dziewczyna. Warkocz miała do pasa i prześlicznie śpiewała. O ile dobrze sobie przypominam, poszła na służbę do Sepińskiego. A potem ojciec ją wysłał gdzieś do rodziny. Ponoć lepszą posadę dostała...

– O tak! I teraz to ona już raczej nie pośpiewa – powiedziała gorzko Pelagia.
– Ojciec ją wysłał, bo co miał uczynić, jak pan Sępiński dzieciaka jej zrobił? A dziewczyna wrażliwa była i po tej służbie już do siebie nie doszła. Coś jej na głowę padło i trzeba ją było sprzed oczu ludzi odsunąć, stan odmienny ukryć, poczekać, aż się dziecko urodzi. Jeszcze nadzieję mam, że jak maleństwo zobaczy, to wróci dziewczyna do życia... Ale z drugiej strony to sama nie wiem co lepsze. Teraz wydaje się, że jak zapadła się w sobie, to przynajmniej niewiele z tego wszystkiego pojmuje. Ale gdyby tak doszła do zdrowia, to kto wie, czy umiałaby sobie poradzić z tym, co ją tam spotkało. A nie jest jedyna. Pan Sępiński widać wziął sobie do serca boski nakaz, żeby ziemię zaludniać. Szkoda tylko, że innych przykazań tak pilnie nie przestrzega! Tak samo podejrzana jest ta sprawa z Maćkiem...

– Tym chłopcem, co go w lesie powieszzonego znaleźli? To było straszne nieszczęście!

– No właśnie. Mówią, że ktoś mu pomógł na tej gałęzi zawisnąć. Ponoć poszedł do Sępińskiego za matką się ująć...

– No tak, rzeczywiście, ich rodzina pochodzi z Lipnicy, a matka pracowała w majątku... – Konstancja z namysłem pokiwała głową.

– Właśnie! A Sępiński poza upodobaniem do igraszek podobno i rękę ma ciężką, szczególnie jak się na kogo uweźmie. Nie wiem, czego ten nasz Maciuś się dowiedział, ale przyszedł do mnie i prosił o dwa dni wolnego. No to dałam chłopakowi... Nawet dobrodziejki nie pytałam, bo...

– Tego akurat Pelasia nie musi mi tłumaczyć, bo już dawno zostawiłam Pelasi wolną rękę w domowych sprawach – przerwała jej zniecierpliwiona Konstancja. – Lepiej niech Pelasia powie, co z tym Maćkiem.

– Myślałam, że zwyczajnie za matką się stęsknił. W końcu to jeszcze dzieciak był – Pelasi zaszklily się oczy. – A dopiero potem nasz Waldek mi wyjaśnił, że chłopak poszedł prosto do Sępińskiego, bo podobno matka któryś raz z rządu do

domu pobita wróciła. A że tam ojca nie było, on widać czuł, że jako jedyny mężczyzna w domu powinien takie sprawy załatwiać. – Łzy wymknęły się na pomarszczone policzki. Ochmistryni nie dała im spływać, lecz wytarła je grzbietem dłoni. – No i już nie wrócił. A Waldek mówi, że ktoś widział ludzi Sępińskiego, jak konno do lasu wjeżdżali.

– Matko Przenajświętsza! – Konstancja na powrót usiadła w fotelu i ukryła twarz w dłoniach.

Czuła, jak serce kołacze jej się w piersiach z taką siłą, że o mało nie wyskoczy. „Jak to możliwe, że ja nic o tym nie wiedziałam? – zapytała się w duchu. – Jakim cudem niczego nie dostrzegłam? A jeszcze przed momentem mówiłam Janowi, że ludzie mi ufają, bo ich dobro traktuję jak swoje! I pycha została ukarana. Zbyttna pewność siebie mnie zgubiła...”

– Czy Pelasia ma pewność, że wszystko, co ludzie mówią, jest prawdą? – Odjęła ręce od twarzy i zapytała dla porządku, choć wiedziała już, jaką usłyszy odpowiedź.

Pelagia może i mówiła dużo, może i nie zastanawiała się nad każdym słowem, ale z całą pewnością nie rzucałaby tego typu oskarżeń na wiatr.

– Wszystko pewnie nie. Sama dobrodziejka wie, że wiadomość przechodząca z ust do ust pęcznieje – przyznała uczciwie kobieta. – Ale Kaśkę na własne oczy widziałam i wiem, w jakim jest stanie. Poza tym za dużo się o tym wszystkim słyszy, żeby to było wyssane z palca.

– Dobrze... W takim razie muszę to sobie jakoś poukładać. Zacznijmy od tej pierwszej sprawy z Kaśką. Co z nią? Bo z tego, co zrozumiałam, to ojciec trzyma ją gdzieś w ukryciu. Rzeczywiście wysłał ją do rodziny?

– A gdzie tam! Nikt by od niego dziewczyny nie wziął. Przecie to kolejna gęba do wyżywienia, a jak się dzieciak urodzi, to będą dwie. Do tego kto by chciał się nią teraz zajmować? Otepiała, oszalała, z bękartem w brzuchu? Toż to by była sromota i wystawienie się na pośmiewisko. Może jeszcze gdyby Leon

zapłacił za ich utrzymanie... Ale u nich się nie przelewa, to po pierwsze, a po drugie, i jego wstyd dławi. I złość wielka.

– No to jak nie u rodziny, nie w klasztorze, bo i na to by trzeba było jakiś grosz dać, to gdzie ta dziewczyna jest? – drażyła Konstancja, patrząc Pelasi prosto w oczy.

– A tego to ja dobrodziejce nie umiem tak zwięźle wytłumaczyć – mruknęła w odpowiedzi ochmistrzyni, rumieniąc się pod tym badawczym spojrzeniem.

– To niech Pelasia powie opłotkami! – Tym razem Konstancja nie zamierzała odpuścić.

Po tym, czego się dowiedziała, miała mętlik w głowie. Jednocześnie zdawała sobie jednak sprawę, że to, co do tej pory ją chroniło, teraz przestało być jej tarczą. Dopóki była nieświadoma tego, co się dzieje, mogła się usprawiedliwiać niewiedzą. Ale w chwili gdy Pelasia opowiedziała jej o Kaście i Maćku, wszystko się zmieniło.

– Nawet gdybym powiedziała, to i tak mi dobrodziejka nie uwierzy! – jęknęła kobiecina, załamując ręce. – Albo co gorsza, jeżeli uwierzy, to już zupełnie mi głowę zmyje!

– To nie jest dobry moment na wykrety! Niech Pelasia powie mi natychmiast, gdzie jest dziewczyna – zażądała stanowczo.

– Na bagnach!

– Gdzie?

– No, przecie mówiłam, że mi dobrodziejka nie uwierzy! A ja szczerą prawdę mówię. Na bagnach! Dobrze jej tam, opiekę ma!

– Na bagnach? Opiekę? – z niedowierzaniem powtórzyła Konstancja.

– Właśnie tak. U uzdrowicielki...

– U tej baby, co ją ludzie nazywają czarownicą?

– A bo to ludzie na bliźnich się znają! – sarknęła Pelagia. – To zielarka jest,

mądrzejsza niż niejeden doktor. Tylko ona dziewczynę bez słowa przyjęła. I grosza za to nie bierze. Wożę jej tylko jedzenie, no i jak czegoś szczególnego potrzebuje, czego w lesie znaleźć nie może, to od doktora załatwiam.

– Załatwia Pelasia, tak? To te wszystkie niedawne bóle nazywa Pelasia załatwianiem? A to symulacje, żeby od naszego biednego doktora lekarstwa wyłudzić! Nie wstyd tak Pelasi nabierać biednego człowieka?

– Ani trochę. – Pelagia w ogóle nie wydawała się skruszona. – On od tego nie zbiednieje, a ludziom pomoc będzie. Bo do zielarki chodzą ci, co ich na doktorów nie stać!

– Dobrze, mniejsza z tym. – Konstancja machnęła ręką. – Właściwie to nie to jest w tej chwili najważniejsze. Kaszkę trzeba natychmiast stamtąd zabrać i umieścić w ludzkich warunkach.

– O, już widzę te tłumy, które się zgłaszają, żeby zapewnić jej wygody – prychnęła Pelasia.

– Nie będziemy nikogo szukać, zamieszka tutaj. Miejsca jest dość. Z tego, co zrozumiałam, dziewczyna jeszcze nie urodziła.

– Nie, ale Margocha, znachorka znaczy, mówi, że to już na dniach będzie – Pelagia popatrzyła na Konstancję spod oka. – Ale widzi dobrodziejka... – tu zamilkła zakłopotana.

– No niechże Pelasia mówi, zamiast się czaić!

– Ja wiem, że to wszystko w ramach zadośćuczynienia i uspokojenia sumienia. Ale to nie jest dobry pomysł, żeby teraz ją stamtąd zabierać – wykrztusiła wreszcie.

– A to dlaczego? Tu będzie miała ciepło i urodzi, jak przystoi człowiekowi, pod opieką doktora, a nie jak zwierzę w leśnej głuszy! A poza tym chcę jasno wszystkim pokazać, że jeżeli wiem o nieszczęściu, to będę się starała mu przeciwdziałać. Może to ludzi przekona, że warto do mnie przychodzić z takimi sprawami. Przecież gdybym ja wcześniej wiedziała... Czy naprawdę ludzie mnie

tak źle postrzegają, że dowiaduję się o tych okropieństwach jako ostatnia?

– To nie ma nic wspólnego z dobrodziejką. Po prostu się boją. Ciężko jest, grosz każdy się liczy, a co by było, gdyby po Sępińskim dwór pusty został? Wie dobrodziejka, ilu ludzi straciłoby zarobek? Nawet licha zapłata jest lepsza niż nic. A co do Kaśki... Ona tu nie może na razie wrócić. Tam może i są leśne ostępy i dzicz, ale to dobrze na nią wpłynęło. Wyciszyła się trochę i bać wszystkiego przestała. Nawet mówić na powrót zaczęła, bo od razu po tym wszystkim w ogóle się nie odzywała. Ale to kruchy spokój, nie wiadomo, co go może zburzyć.

– Zaraz, ale skoro się nie odzywała, to skąd w ogóle wiadomo, co ją tam u Sępińskiego spotkało? – Konstancja rozmasowała czoło końcówkami palców, czując nadciągający ból głowy. Zaczynało ją łupać w skroniach i poczuła nieprzyjemne ukłucia za oczami. Znała te objawy i wiedziała, że jeżeli natychmiast się nie położy, to nie pozbędzie się dolegliwości aż do wieczora. Jednak w tej chwili musiała doprowadzić sprawę do końca.

– Przestała mówić po tym, jak ojciec w pierwszym odruchu wściekłości przegnał ją precz. Ale najpierw zdołała wszystko wykrzyczeć. Ja tego nie słyszałam, ale wystarczyło, że mi powtórzyli jej słowa. Spać po nocach nie mogłam na samą myśl, co ta dziewczynina przeżyła. A Leon to dobry chłop, ale porywczy, więc go zrazu poniosło. Potem jednak córkę z powrotem do chałupy zabrał i chciał się na Sępińskim mścić, ale wspólnie z jego żoną i kilkoma innymi chłopami wybiliśmy mu to z głowy. Tylko by z tego było kolejne nieszczęście. Sępiński otoczył się zbirami, zbójcejką świętę sobie skompletował, psia jego mać! Trudno go ugryźć. I być może to kolejny powód, dla którego ludzie z tym do dobrodziejki nie przyszli.

– Chce mi Pelasia powiedzieć, że uważali, że za słaba jestem, żeby sobie z nim poradzić, tak? No to jeszcze się okaże, kto jest od kogo silniejszy. – Konstancja poczuła, że pierwszy wstrząs wywołany szokującymi wiadomościami

ustępuje miejsca złości.

– Niech dobrodziejka najpierw ochłonie! Jak się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy! A biorąc pod uwagę, że Sepiński zapewne ma z rogatym niezłe układy, to potrzebna jest podwójna ostrożność. Dlatego też Leona wstrzymywaliśmy. Poza wszystkim należy przecież pamiętać, że Sepiński to jednak pan, a w takim układzie to sługa zawsze będzie winny. – W głosie Pelasi pojawiła się gorycz. – No i teraz Leon nie może sobie wybaczyć, że go złość poniosła, że zamiast dziewczynę do serca przytulić, to pięścią w stół huknął i z bękartem kazał iść precz, bo widać dla Kaśki ojцова reakcja była ostatnią kroplą goryczy, która przelała czarę. A teraz nie może nic dla niej zrobić, choć ojciec.

– O tak, bezsilność jest najgorszą rzeczą, jakiej może doświadczyć kochający człowiek. – Konstancja podniosła się z fotela i szarpnęła za szarfę z dzwoneczkiem.

Po chwili w saloniku pojawiła się młoda dziewczyna ubrana w prostą płócienną sukienkę, na którą nałożyła nieskazitelnie biały fartuszek.

– A widzę, że Jagienka znowu o czepku zapomniała – zgromiła ją z miejsca Pelagia. – I jak teraz przed panią wygląda?

– A bo to gorąco dzisiaj – służąca spuściła głowę.

– Aha, gorąco! Gorąco to ty czujesz, jak najmłodszego od Drelów widzisz. Co ty myślisz, że ja oczu nie mam i nie widzę, jak przed nim warkoczem zamiatasz? I pewnie było ci żal włosy przykrywać, skoro kawalera można nimi bałamucić, co?

– No co też pani Pelasia mówi! – Dziewczyna cała się spłoniła. – Zresztą gdzie mi tam do Wiesia! On nawet na mnie nie zerknie! Czarnowłose woli, a nie takie spłowiałe jak ja – pożałowała się na koniec.

Konstancja mimowolnie się uśmiechnęła. Lubiła przysłuchiwać się służbie, choć nigdy by tego głośno nie przyznała. Nie po tym jak nieustannie ganiła Pelasię za roznoszenie plotek zasłyszanych na podwórzu i w kuchni. Ale prawda

była taka, że tylko w ten sposób można było się dowiedzieć, jak naprawdę sprawy stoją i co myślą ludzie. Dlatego też rzadko uciszała służących, dzięki czemu czuli się w jej towarzystwie w miarę swobodnie i nie kryli przed nią swoich trosk, kłopotów i radości. Choć, jak się dzisiaj przekonała, nie zawsze. O wielu sprawach nie miała najwyraźniej bladego pojęcia.

– A teraz, zamiast tu stać po próżnicy, może się zainteresujesz, po co pani cię wzywała? – rozmyślania przerwał jej gderliwy głos Pelagii.

– Tak jest. – Stremowana dziewczyna dygnęła. – Pani wołała?

– A jak by nie wołała, to byś tu przyszła? – prychnęła Pelasia, wznosząc oczy do sufitu.

– Jagna, a ty nie wiesz, czy Waldek wrócił? – przerwała te słowne przepychanki Konstancja.

– Nie wiem, jasnie pani. Pojechał na pewno, bo widziałam, jak konia brał...

– To wiem, sama go wysłałam do Dyrylkiewiczów. To w takim razie zejdź i zobacz, czy już jest. Jeżeli tak, to przyślij go do mnie, a jeżeli nie, to przypilnuj i gdy wróci, powiedz mu, że jest mi potrzebny. Możesz już iść... A, jeszcze jedno. Jeśli chcesz, to mam u siebie taki piękny błękitny materiał. Będzie z niego czepek jak malowanie, który przyciągnie niejedno pełne podziwu spojrzenie do twojego jasnego warkocza – dodała i z zadowoleniem patrzyła, jak twarz dziewczyny się rozpromienia.

– Psuje ją dobrodziejka, oj, psuje – mruknęła Pelasia, odczekawszy najpierw, aż za Jagną zamkną się drzwi. Ale w głosie ochmistrzyni nie było słychać irytacji.

– E tam, od razu psuje... Skoro ma nosić czepek, niech i w nim się czuje piękna – uśmiechnęła się Konstancja. – A teraz pójdę się na pół godziny położyć. Jan odpoczywa, od Dyrylkiewiczów pewnie dopiero na obiad zjadą, tak samo zresztą jak i proboszcz z doktorem, to akurat mam chwilę, żeby się zdrzemnąć. Niech tylko Pelasia przypilnuje, żeby Waldek rzeczywiście niezwłocznie się u mnie pojawił, gdy wróci.

– A co, jeśli dobrodziejka będzie jeszcze spała?

– Niech mnie Pelasia obudzi. Muszę z nim porozmawiać. W końcu to on ponoć widział, jak ludzie Sepińskiego wjeżdżali do lasu, a ja muszę wiedzieć, jak to wyglądało i co tak naprawdę stało się tamtej nocy. Trzeba też sprawdzić, co się dzieje z matką Maćka, bo teraz dopiero sobie uświadomiłam, że ona sama na świecie została.

– Nie podoba mi się to wszystko – westchnęła Pelasia. – Nie wiem, czy dobrze zrobiłam, mówiąc dobrodziejce o niecnym warchoła...

– Z całą pewnością dobrze. Jedyne, o co mogę mieć pretensje, to że tak długo Pelasia zwlekała. A i do tej czarownicy koniecznie musimy się wybrać.

– Co takiego? – Pelagia, która już zmierzała do drzwi, obróciła się tak gwałtownie, że aż zafurczała jej czarna spódnica.

– Zabierze mnie Pelasia na te bagna – powtórzyła Konstancja, udając, że nie dostrzega jej wzburzenia. – Muszę na własne oczy się przekonać, co się dzieje z Kaśką. Tym bardziej że to nie koniec całej historii, tylko początek. Za chwilę urodzi się dziecko. Zamierzacie je trzymać na tych mokradłach i wychowywać na dzikusa? Myśli Pelasia, że ja po to ochronkę dla sierot prowadzę, dbam o dzieci służby, żeby się godzić na coś takiego?

– Dobrodziejka ma dużo racji, ale Kaśka na razie zupełnie się nie nadaje, żeby do ludzi wrócić... Zresztą Leon by tego nie zniósł, żeby i ją, i jego palcami wytykali.

– Ale świadomość, że córka mu tam więdnie, jakoś znosi? Toż gdybym Pelasi nie znała, tobym pomyślała, że z Pelasi poczuciem sprawiedliwości jest coś nie w porządku. Albo że Pelasia miętę czuje do stajennego.

– Co prawda, to prawda, toć z niego chłop na schwał – wypaliła Pelagia i widząc osłupiałą minę swojej dobrodziejki, wybuchła śmiechem. – Ale przecie on mógłby być moim synem, więc tylko z daleka podziwiać mogę – dodała, poważniejąc. – A co do mojego poczucia sprawiedliwości, to jedno dobrodziejce

powiem: jak Kaśka się tu zjawi, to Leon już zupełnie o niczym innym nie będzie myślał, tylko o tym, jak krzywdę dziecka pomścić. Nic go nie powstrzyma. Teraz się w pracy zatracił, ale i tak wiem, że z chłopami po kątach coś szepczą i knują. Widok Kaśki z brzuchem tylko by tę atmosferę podgrzał.

– A bez brzucha, ale za to z dzieckiem na rękę, ją ostudzi? A przecież nie można dziewczyny na wieki wieków skazać na wygnanie. Tym bardziej że to jej się stała krzywda, i to niezawiniona. Tak czy inaczej, muszę ją zobaczyć, a potem podejmę decyzję, co dalej. Sępińskiego najlepiej by było pod sąd oddać, ale na to trzeba by dowodów, a tych nie mamy. Ze wszystkiego się wyłga. Ale jeśli sprawy pójdą po mojej myśli, zniknie z naszego życia już niebawem. Nerwy na wodzy tylko trzeba trzymać aż do pojedynku. A potem Hieronim się z nim pożegna, jak na prawdziwego rządcę przystało.

– I pójdzie ta kanalia w świat, i dalej będzie zło czynić! – mruknęła Pelagia. – Nie ma sprawiedliwości na tym świecie, oj nie ma!

– A to jeszcze nie jest takie pewne – uśmiechnęła się Konstancja. – Bo sprawiedliwości może i nie ma, ale jest reputacja. Raz nadszarpnięta, niejednego zgubiła. I coś mi mówi, że tu będzie podobnie – dodała tajemniczo i widząc, że Pelagia czeka na nią w progu, również wyszła z błękitnego saloniku.

– Ja tak na wszelki wypadek wolałam poczekać i zobaczyć na własne oczy, że dobrodziejka stamtąd wychodzi, bo po takich rewelacjach jeszcze, nie daj Boże, znów by się krzesłem zastawiła i co by było – mruknęła kobiecina, odprowadzając swoją panią aż pod drzwi sypialni.

Konstancja nic na to nie odpowiedziała, ale ledwo Pelagia zniknęła na schodach prowadzących na parter, wymknęła się znów na korytarz i na palcach przemknęła z powrotem do błękitnego saloniku. Stała w progu i popatrzyła z namysłem na portret bladej i smutnej Izabeli.

– Nie wiem, o co chodzi, ale jedno jest pewne: aż do jesieni zeszłego roku w tym salonie nie było żadnych krzesel – mruknęła – więc nie mogłam niczego

podstawić pod klamkę. Zdaje mi się, że ma mi kuzynka wiele do wyjaśnienia, kuzynko Izabelo – zakończyła, nie bardzo wiedząc, dlaczego zwraca się właśnie do niej, a nie na przykład do wuja Maurycego, którego wizerunek wisiał na bocznej ścianie salonu i spoglądał na swoich żyjących krewnych spod posepnie zmarszczonych brwi.

Coś jej jednak mówiło, że jeżeli tamto wrażenie, iż pokój ją odgradził od świata, utulił i przygarnął, było słuszne, na pewno nie była to zasługa żadnego z męskich przodków. To musiała być robota kobiety i to takiej, której rozpacz Konstancji była dobrze znana. Oczywiście, o ile nie wymyśliła sobie tego wszystkiego. W końcu przecież mogła podstawić pod klamkę krzesło, którego nie było...

Tego dnia Konstancji nie udało się jednak porozmawiać z Waldkiem, bo ten wrócił do dworu dopiero późnym popołudniem, razem z Dyrylkiewiczem i jego synami.

– Przepraszam, zem chłopaka od razu nie odesłał, ale spadł mi jak z nieba. Ta wielka lipa, co zimą ją wiatr naruszył, zawałiła się, zahaczając gałęziami o dach. Na całe szczęście szkody są niewielkie, ale trzeba było drzewo usunąć, a Waldek nie dość, że rozumny, to i krzepę ma solidną – tłumaczył Konstancji Dyrylkiewicz.

– Nic się, panie Stanisławie, nie stało – machnęła ręką. – Było do mnie posłać, to bym wam jeszcze ludzi do pomocy przydała.

– Nie było takiej potrzeby, daliśmy radę. Mniejsza o lipę. Szkoda drzewa, bo stare przecież, ponad sto lat liczyło, ale widać taka kolej rzeczy. Za to opału sporo będzie. Teraz lepiej niech pani Konstancja powie, co to za heca z tym pojedyńkiem. Waldek wprawdzie tłumaczył, ale zrozumiałem piąte przez dziesiąte. Dlatego zresztą przyjechałem razem z chłopcami, bo mi ciekawość żyć nie dawała – przyznał z rozbijającą szczerością. – Kto z kim i dlaczego?

– Pamięta pan Jana Jastrzębskiego?

– Jasna sprawa, bo to raz wspólnieśmy polowali i bawili się na całego? Nie widziałem go od pogrzebu Tadeusza... Czyżby to on?

– Tak, on. Wrócił, i to z przytupem, bo takie sensacje błyskawicznie się roznoszą. I będzie walka dwóch zadziornych ptaszków: Jastrzębski kontra Sępiński. – Konstancja nie spuszczała z mężczyzny oczu i nie umknęło jej uwadze, że na dźwięk nazwiska dzierżawcy pan Dyrylkiewicz skrzywił się

szpetnie.

– Ptak ptakowi nierówny i w tym wypadku trzeba szczególnie uważać... Bo wiadomo, że jastrząb to zwierzę szlachetne, sęp natomiast padliną się żywi.

– Widzę, że pan też dla pana Sępińskiego nie ma zbyt dużo szacunku.

– Tak pani odpowiem: rachować to on umie, na ziemi się zna, ale reszta... – Dyrylkiewicz pokręcił głową z dezaprobatą i popatrzył na Konstancję z namysłem, jakby rozważał, ile jeszcze może jej powiedzieć.

I być może rozwinąłby interesujący ją temat, ale w tym samym momencie na dziedziniec zajechała bryczka doktora i wątek naturalną kolejną rzeczy został przerwany. Konstancja przeprosiła rozmówcę i poszła przywitać gościa.

– Dzień dobry, doktorze! Jak dobrze pana widzieć, czeka... – przerwała, bo ze zdumieniem spostrzegła, że w bryczce siedzi ktoś jeszcze.

Był to potężnie zbudowany starzec z sumiastymi siwymi wąsiskami i inteligentnym, byстрым wejrzeniem. Na głowie miał czapkę z futrzanym otokiem i piórem przypiętym ozdobną broszą.

– Droga pani – dopiero znajomy głos sprawił, że oderwała wzrok od barwnej postaci nieznajomego i zwróciła się do gramolącego się z bryczki medyka, który ledwo stanął na ziemi, a już przypadł do jej dłoni i ucałował ją niemal desperacko. – Nawet się pani nie domyśla, jak bardzo jestem szczęśliwy, że tu dotarliśmy – wyznał nieoczekiwanie i jeszcze mocniej uściskał jej dłoń.

Konstancja, nieprzyzwyczajona do tak wylewnych powitań i świadoma, że wszyscy zgromadzeni na ganku przyglądają im się z rosnącą ciekawością, delikatnie, acz stanowczo cofnęła rękę, przypatrując się gościowi z rosnącym niepokojem.

– Co się dzieje, doktorze? – zapytała, unosząc wysoko brwi.

– A, nic wielkiego... Jedynie piekło i szatani – mruknął pod nosem i sugestywnie popatrzył na siedzącego w bryczce starca. – Ach, byłbym zapomniał... Pozwól, że przedstawię pani i wszystkim obecnym mojego

szanownego teścia Dionizego Zborowskiego herbu Jastrzębiec. – Mina medyka sugerowała, że bolą go wszystkie zęby.

„To ci ciekawostka” – pomyślała i odruchowo wyciągnęła do starca dłoń, a ten nie tylko jej nie ujął i się na niej nie wsparł, ale, zupełnie przecząc swojemu podeszłemu wiekowi, energicznie podniósł się z miejsca i zgrabnie wyskoczył z powozu na dziedziniec. Następnie zerwał z głowy czapkę i skłonił się głęboko przed zdumioną kobietą.

A dziwić się rzeczywiście było czemu. Pan Dionizy bowiem był niespotykanym już właściwie w tych czasach reliktem dawno minionych dni. Sumiaste wąsy, które z miejsca przykuły uwagę Konstancji, były zaledwie wstępem. Patrząc na stojącą przed sobą postać, poczuła, jakby cofnęła się w czasy swojego pradziada, którego portret wisiał w salonie nad kominkiem. Pan Dionizy wyglądał, wypisz, wymaluj, jakby był jego najlepszym kompanem. Tak samo bowiem jak jej przodek miał na ramionach starodawną czamare, spod której wysuwał się żupan zapięty srebrną klamrą. Zdjęta czapka odsłoniła ogoloną głowę, którą zdobił jedynie pejs włosów chlubnie królujący pośrodku łysiny. Dumnego wizerunku dopełniała przytroczona do pasa szabla, otulona srebrną, bogato zdobioną pochwą. Konstancja przez moment stała jak wryta, patrząc to na czapkę, którą niezwykle gość zawiesił na rękojeści szabli, to znów na srebrny ekwipunek.

– Widzę, że pani dobrego gustu nie można odmówić – przemówił starzec tubalnym głosem. – Od razu oczko śmiga do tego, co świadczy o prawdziwym mężczyźnie!

– Rzeczywiście piękna robota. – Konstancja błyskawicznie wzięła się w garść. – Teraz już praktycznie niespotykana – dodała uprzejmie.

– A bo jak miałyby przetrwać taka sztuka, takie misterne wykonanie, skoro teraz nikt już starych dobrych obyczajów nie pamięta ani nie szanuje – huknął jej gość. – Po cóż robić pochwy na broń, skoro broni nikt już nie nosi! Kiedyś to

była rzecz niepojęta, żeby za próg wyjść bez szabelki, a co tu w ogóle mówić o odwiedzinach! Toć byłby to brak szacunku dla gospodarzy i kompletny brak manier! Ale widzę, że duch w młodym pokoleniu nie całkiem umarł, skoro pani od razu uwagę całą skupiła na mojej odwiecznej towarzyszcze, mojej wybawicielce i powiernicy najwytrwalszej!

– Ojczy, a może jednak wejdziemy do środka, bo tam z obiadem zapewne czekają – nieśmiało wtrącił doktor.

– A ten jak zwykle tylko o jedzeniu – westchnął teatralnie jego teść i wciąż patrząc na Konstancję, rozłożył ręce w geście bezradności. – Ot, takie to ladaco trafiło mi się na zięcia! Na wojaczce się nie wyznaje, pociągu do awantur nie ma, a tylko by jadł i jadł!

– Ale w karty łupie jak nikt inny – wtrąciła Konstancja, usiłując ratować dobre imię doktora.

– A to też wielkie mi pocieszenie, że hazardem się trudni! – prychnął Dionizy, pobrzękując szabelką.

– Ależ jakim też znowu hazardem! Nie pozwoliłabym, żeby pod moim dachem coś takiego miało miejsce. Kulturalnie z naszymi uroczymi paniami gra. Zresztą, jeżeli to pana uspokoi, to dodam, że wszystko dzieje się pod okiem i ze współudziałem naszego księdza proboszcza. A poza tym, panie Dionizy, w przyrodzie musi być równowaga. Jedni się biją i dają krajać szablami, inni muszą tych poćwiartowanych na powrót poskładać. A nasz doktor jest rewelacyjny w medycznej profesji. Cóż by to były za bitwy, gdyby żołnierzy nie miał kto potem na nogi postawić? – dodała i uśmiechnęła się swoim najbardziej uroczym uśmiechem.

– A z miejsca wiedziałem, że z pani to niezła szelmutka. – Pan Dionizy pogroził jej żartobliwie palcem. – Ale lubię takie niewiasty, co to i do tańca, i do różańca! I rację ma pani co do mego zięcia – dodał, pozwalając, żeby doktor z panem Dyrylkiewiczem ich wyprzedzili. – Tyle tylko że za skórę mi dzisiaj

zalażł i zły na niego jestem okrutnie!

– A cóż on takiego uczynił, że tak waćpana rozsierdził? – Konstancja nie wiedzieć kiedy i jak dostosowała się do archaicznego stylu wypowiedzi starca.

– A bo kazał mi tą kołyską jechać, uparł się niczym osioł! A co to ja, jakiś ułomny jestem, że bym na konia wsiąść nie mógł? Przecie wierzchowce mam takie, że nie można od nich oczu oderwać! A i rzędy w starym stylu. Pozłacane kulbaki, strzemiona, popręgi drogimi kamieniami wysadzane! Kiedyś to jeszcze miałem i świtę z Kozaków, ale dziś to prawdziwego Kozaka już nie uświadczysz. Dzicy to byli ludzie, ale naturę mieli taką, że jak pokochali, to na amen. No, ale wracając do zięcia mego, to straszenieśmy się pokłócili. Mojej w tym winy dużo, bo jakem już rzekł, z Kozakami przestawałem i naturę podobnie jak oni mam porywczą. Ale coś mi się wydaje, że jeszcze nie raz i nie dwa będę miał okazję ten dwór nawiedzić, to pokażę się pani w całej okazałości!

– Będę bardzo rada – zapewniła go Konstancja i ze zdumieniem poczuła, że to szczerą prawdą.

Teść doktora wzbudził w niej sympatię i szacunek. Widać było, że to niepospolita figura, a Konstancja nad wyraz lubiła ludzi z wyraźnie zarysowanymi osobowościami.

– Wspominała pani, że zięć mój grywa w karty z jakimiś paniami? A ładne one aby? – starzec rzucił niby od niechcienia, lecz z wyraźnym niepokojem, a Konstancja z trudem stłumiła uśmiech.

– Zaraz je waćpan poznasz. I gwarantuję, że będziecie się dobrze bawić w swoim towarzystwie – dodała i pomyślała, że co jak co, ale tego dnia przy stole na pewno nie będzie nudno.

Przybycie pana Dionizego nieoczekiwanie poskutkowało spokojem przy stole. Ku zdumieniu domowników, kuzynka Jadwiga i ciotka Marta po raz pierwszy od niepamiętnych czasów nie zaczęły posiłku od skakania sobie do oczu. Najzwyczajniej w świecie nie miały na to czasu, zajęte bawieniem gościa rozmową. Oczywiście nie znaczyło to wcale, że zaprzestały rywalizacji. Co to, to nie, ale tym razem skupiły się głównie na tym, aby odciągnąć uwagę przybyłego od rywalki. Obie robiły to w charakterystyczny dla siebie sposób: ciotka Marta uśmiechała się i szczebiotała, kuzynka Jadwiga natomiast usiłowała zjednać go sobie powagą i pilnym słuchaniem. A panu Dionizemu było w to graj. Damskie towarzystwo ewidentnie mu służyło, rozochocił się i prawił paniom komplementy tak zdatnie, że nawet na wychudłych policzkach kuzynki Jadwigi wykwitł blady rumieńczyk.

– Nie jesteś zazdrosny? – Konstancja szepnęła konspiracyjnie do Jana i sugestywnie spojrzała na ożywione matrony. – Rano to ty byłeś ich ulubieńcem...

– I chwała mojemu wybawicielowi – odszepnął rozbawiony. – Chętnie ustąpię mu pola w tym względzie.

– Dobrze, to skoro mowa o ustępowaniu pola, skorzystajmy z chwili spokoju i porozmawiajmy o pojedynku, bo...

– Czy ja dobrze słyszę? – pan Dionizy miał najwyraźniej niesamowitą podzielność uwagi. – Pojedynek? Jestem mistrzem pojedynków, w niejednym brałem udział i nie chwaląc się, swego czasu byłem postrachem okolicy! Wyobraźcie sobie, mości panowie i panie, że pewnego razu przybyli do mojego

dworu Francuzi. To było wtedy, gdy Napoleon jeszcze jawił nam się zbawicielem dla naszego biednego kraju. Jako człowiek szanujący tradycje i obyczaje, sami rozumiecie, gość w dom, Bóg w dom, otworzyłem szeroko drzwi przed cesarskimi żołnierzami, ugościłem czym chata bogata, nawet piwniczkę zostawiłem do ich dyspozycji. A miałem tam skarby nie lada! Panie może nie docenią, ale panowie na pewno poczują tęsknotę na samą myśl o tych miódach, winach i najprzedniejszych likierach!

– Och – wymknęło się ciotce Marcie. – Nie doceniasz pan niewiast, które też owe czasy pamiętają! Za taką naleweczkę z piwnicy mojego dziadunia to bym i dzień życia oddała!

– Zawsze byłaś rozrzutna ponad miarę. Ciekawe, co by było, gdyby się okazało, że oddałaś swoje ostatnie godziny? Wszak w twoim wieku to wielce prawdopodobne – wtrąciła kuzynka Jadwiga, robiąc złośliwą minę.

– Ach! Jak to dobrze wiedzieć, że się tak o mnie troszczysz – z uroczym uśmiechem odparła ciotka Marta, nachylając się jednocześnie w stronę starej panny i z całych sił szczypiąc ją w kościste biodro.

Konstancja nigdy by w to nie uwierzyła, gdyby nie widziała na własne oczy ataku i tego, jak kuzynka Jadwiga, purpurowa ze złości, odpłaca swojej sąsiadce pięknym za nadobne.

– Aua! – wyrwało się ciotce Marcie, ale wystarczyło jedno spojrzenie rzucone w stronę pana Dionizego, by na jej twarz natychmiast powrócił uroczy uśmiech.

– Ehem... – zamaskowała okrzyk kasznięciem. – Domyślam się, jakie to musiało być trudne tak zostawić te wszystkie dobra obcym ludziom. I dlatego powtórzę: aua! – dodała chytrze, a Konstancja uznała, że ciotka Marta ewidentnie dysponuje talentem aktorskim połączonym z błyskawicznym refleksem.

– E tam, wtedy to się o nich nie myślało jak o obcych, lecz jak o tych, którzy nieśli nadzieję na niepodległość i wolność. Dlatego też nie żał mi było i dobra. Aż do momentu gdy okazało się, że drwią ze mnie za moimi plecami, uważają za

pierwsze z brzegu byle co! Ale i wtedy nakazałem sobie spokój. Żołnierzem się jest przez całe życie, a wiadomo, że żołnierz musi i wobec siebie umieć stosować najsurowszą dyscyplinę. Tedy zęby zacisnąłem i nakazałem sobie, żeby uwagi na te zbytki i zaczepki nie zwracać. Aż do momentu gdy dla uciechy wyzwali mnie na strzelanie. Że pono pułkownikowi ich uchybiłem i stawić się muszę na jego wezwanie! Szczerze mówiąc, despektu żadnego nie było i od początku wiedziałem, że to tylko poigrać sobie chcieli. Nawet trochę rozumiałem, skąd to się brało, bo chłopcy unieruchomieni w głuchej wsi nudzili się okrutnie. Ale wyzwania nie sposób było zlekceważyć.

– I co, poszedł się pan strzelać? – Ciotka Marta złożyła pulchne ręce na stole i aż cała wychyliła się w stronę pana Dionizego.

– A pewnie, że poszedłem. Chciałem jeszcze sprawę załagodzić i powiedziałem pułkownikowi, że jeżeli sobie życzy, to żeby rozlewu krwi uniknąć, ja go pięknie za tę zniewagę przeproszę, czymkolwiek była. Zawsze to gość, a ja świętemu prawu gościnności za nic bym nie uchybił. A na to jego żołnierze w głos, że jeżeli już, to na kolanach mam prosić o wybaczenie. I muszę państwu powiedzieć, że chociaż do tego momentu traktowałem to wszystko z przymrużeniem oka, to gdy usłyszałem „na kolana”, krew we mnie zawrzała. O niedoczekanie wasze, myślę ja sobie, że mnie klęczącego przed kimkolwiek poza Bogiem zobaczycie – i wystąpiłem na plac. Wymierzyłem, strzeliłem. Pułkownik padł na ziemię zalany krwią...

– Zabił goś pan... – wyszeptała kuzynka Jadwiga, głośno przelękając ślinę.

– To samo zakrzyknęli przerażeni wojacy. Ale ani oni, ani pani nie mieliście racji. Odstrzeliłem mu tylko kawałek ucha. Lewego. To, co wszyscy brali za śmierć, było tylko skutkiem ogłuszenia. I od tamtego momentu z miejsca zyskałem ich szacunek, a z pułkownikiem przyjaźniłem się potem jeszcze długie lata. Niestety, odszedł już na drugą stronę i zapewne tam świętemu Piotrowi pomaga bitwy z czartami staczać... A teraz powiedz mi, pan, z jakiej to

przyczyny będziesz się strzelał – zwrócił się następnie do Jana.

I Jan opowiedział mu w skrócie o Sępińskim i zniewadze, jakiej doświadczył w jego domu.

– Ano tak, dobrze przynajmniej, że powód jest solidny. Bo jak się teraz słucha o tych dzisiejszych wyzwaniach to aż wstyd człowieka bierze – mruknął w zamyśleniu pan Dionizy. – Ot, wiem, że to zwyczaj starców mówić o tym, że kiedyś bywało lepiej, ale dawniej rzeczywiście inne bywały pojedynki, inaczej krew w żyłach grała. Nie przeczę, że od kielicha do szabli nie było daleko, ale nie miało to nic wspólnego ze słabymi nerwami. Może dlatego, że biło się tak, jak się żyło i piło. Na całego, z fantazją, z pełnym kielichem... Czasem i krew jak z przepelnionej winem czary się polała, ale to też miało głęboki, wyborny smak. A jak się otwierało dom przed gośćmi, to jednocześnie otwierało się też serce. I pojęcie honoru było we właściwym miejscu, i większe poszanowanie człowieka. Nie tak jak teraz... Hulaj dusza bez kontusza, szukaj pana bez żupana! Wszystkim wszystko wolno, wstydzić się za nic nie trzeba. Wystarczy spojrzeć na takiego Sępińskiego, o którym tu słyszałem...

– Oj tak, strasznie to wszystko przeżywamy, boimy się o naszego kochanego Sokołosa – wtrąciła ciotka Marta.

– Strach tu niewiele pomoże, lepiej zdać się na modlitwę – burknęła Jadwiga, zła, że to na pulchnej postaci konkurentki zatrzymał się wzrok pana Dionizego.

– Dobrze, moi drodzy, to sobie pogwarzyliśmy, powspominaliśmy, a teraz zajmijmy się przede wszystkim jedzeniem, żeby nie rozsierdzić Pelasi – zarządziła Konstancja.

– Skoro gospodyni nakazuje, sprzeciwić się nie wypada. – Skłonił się w jej stronę pan Dionizy i za jego przykładem wszyscy pochylili się nad talerzami.

„Nie mam pojęcia, jak to się stało, że nigdy wcześniej nie słyszałam o teściu naszego doktora – myślała Konstancja, wdychając przepiękny aromat zupy rakowej, parującej z odkrytej wazy, która była częścią starego miśnieńskiego

serwisu należącego wcześniej do jej praprababki. – Nie omieszkałam wypytać pana Gustawa o tego oryginała, którego nam dzisiaj przywiózł. Będę musiała jedynie poczekać na dogodną okazję”.

Jak się niebawem okazało, nie czekała zbyt długo. Ledwo towarzystwo podniosło się od stołu, a już rozochociona i zarumieniona ciotka Marta zaproponowała wszystkim małą przechadzkę po parku.

– Dla poprawienia krążenia, doktorze – powiedziała, przymilając się do medyka. – Choć przecie rzecz to wiadoma, że więcej problemów z krążeniem mają osoby suche i kwaśne, nie takiej zdrowej konstytucji jak ja. Jak doktor uważa, czy kwas wpływający z kwaśnej natury kisi też krew? Bo...

– A głupota ją rozrzedza i rozmiękcza mózg – weszła jej w słowo Jadwiga. – Stąd właśnie się biorą stare dzieciinniełe wdówki.

– Spokojnie, drogie panie – ciężko westchnął doktor, bardziej z przyzwyczajenia niż z przekonania, że zdoła jakkolwiek wpłynąć na sytuację między paniami. Zbyt długo już je znał. – Z tego co wiem, spacer jeszcze nikomu nie zaszkodził. Dobrze podziała i na krążenie, i na głowę – dodał jednak, dochodząc do wniosku, że warto chociaż spróbować odwlec nieuniknioną jatkę.

Tym sposobem całe towarzystwo ruszyło do parku. Konstancja, która zamierzała im towarzyszyć, w ostatniej chwili zobaczyła, że doktor wymyka się na boczną werandę.

– Idźcie, ja za momencik do was dołączę – powiedziała i zostawiwszy pana Dionizego, Jana i Dyrylkiewiczów na pastwę złośliwych języków rezydentek, poszła na ocieniony daszkiem i opleciony pędami dzikiego wina ganek.

– A pan nie dba o swoje krążenie? – zagadnęła, stając tuż za plecami doktora.

– Skoro cały dzień spędzony w towarzystwie mojego ukochanego teścia nie skończył się jeszcze apopleksją, istnieje duża szansa, że moje zdrowie jest dużo

lepsze, niż przypuszczałem – odrzekł, nabijając fajkę tytoniem. – Przepraszam, nie spytałem: nie będzie pani przeszkadzać, jeżeli zapalę?

– Proszę palić. Nie mówię tego wszystkim, ale prawda jest taka, że nawet sprawi mi pan tym przyjemność. Lubię zapach tytoniu. Mój ojciec twierdził, że palenie uspokaja i jeżeli jest w tym choć odrobina prawdy, to świetnie się składa, bo zamierzam pana podpytać w temacie, który wyraźnie jest panu niemiły.

– Niech zgadnę, chodzi pani o teścia.

– Otóż to... Jak to się stało, że do tej pory go nie poznałam? Zresztą co tu mówić o poznaniu, ja go dotąd nigdy w życiu nawet nie widziałam, bo gdyby kiedykolwiek mi gdzieś mignął, zapewne bym go zapamiętała. Takiej osobistości nie sposób przeoczyć. No i kolejna sprawa, która nie daje mi spokoju. Widzieliśmy się zaledwie wczoraj, spędził pan u nas całe popołudnie, a słowem się pan nie zająknął, że ma gościa albo że się kogoś spodziewa...

– Sytuacja jest adekwatna do tej, którą dziś zastałem w Wilczym Dworze – przerwał jej, wypuszczając w powietrze kłęb aromatycznego dymu. – Wczoraj nie miałem również pojęcia, że napotkam tu pana Jastrzębskiego i że wmiesza mnie pani w pojedynek. Życie jest nieprzewidywalne.

– Ma pan rację. Nie spodziewałam się Jana i innych rzeczy zresztą też...

– Sama pani widzi. Ja też nie spodziewałem się teścia. Ale najpierw odpowiem na pierwszą część pytania. Nie poznała go pani dotąd, bo zwykle to my z żoną go odwiedzaliśmy. A wczoraj wracam do domu, wjeżdżam na swoje podwórze i co widzę? Wszędzie jacyś obcy ludzie, konie, wozy... Aż się musiałem rozejrzeć, żeby się upewnić, czy na pewno dobrze trafiłem. Zacząłem się nawet zastanawiać, czy naleweczka, którą się raczyliśmy przy kartach, nie była czymś zaprawioną. Ale gdy w otwartych drzwiach domu pojawił się pan teść, wiedziałem, że o pomyłce nie mogło być mowy. Oświadczył, że przyjechał i zostaje, dopóki, cytując: „sprawa pomiędzy tobą, Gustawie, a twoją żoną, moją córką, się nie wyjaśni”. I jak zapowiedział, tak zrobił. Został i już.

– Niech pan poczeka, bo niewiele rozumiem. Co konkretnie miałyby się wyjaśniać? – Konstancja spojrzała na towarzysza z uwagą. Dopiero teraz dostrzegła, że doktor ma większe niż zwykle cienie pod oczami i wygląda na bardzo zmęczonego.– Doktorze kochany, no niechże pan coś powie! Może uda mi się jakoś pomóc – przynagliła go, widząc, że nie za bardzo kwapi się z odpowiedzią.

– Nie wiem, od czego zacząć – mruknął w końcu. – Wstyd przed sąsiadami, ujma na honorze! I jeszcze dodatkowo tłumaczenia przed przyjaciółmi.

– Nie zamierzam pana do niczego zmuszać, ale...

– I tak musiałbym w końcu powiedzieć, bo tylko patrzeć, jak to się między ludźmi rozejdzie, ale jeszcze odwlekąłem ten moment, bo łudziłem się, że żona moja się opamięta i rozum jej wróci – wyjaśnił doktor. – Do tej pory na co bardziej dociekliwe pytania o powód nieobecności odpowiadałem, że do ojca z wizytą pojechała i, jak się okazało, nawet prawda to była... Bo *summa summarum* u ojca właśnie się zatrzymała.

– Pomijając to, że nie wiedziałam nawet, iż pani Celina wyjechała, to wybaczy pan, ale nadal nie pojmuję, o co w tym wszystkim chodzi. Pojechała do ojca, a ten miał ugościć córkę z tą staropolską gościnnością, o której dzisiaj tyle rozprawiał, zdezerterował do zięcia?

– Bo nie mógł z nią wytrzymać, co mnie akurat nie dziwi. Dobrze, raz koźie śmierć, nie przedłużajmy. Pani Konstancjo, prawda jest taka, że Celina zakochała się na zabój w młodym ekonomie, który zajmował się od jakiegoś czasu naszymi majątkowymi sprawami, i zamierzała z nim sobie życie układać. Doszło do tego nawet, że zażądała rozwodu – wyrzucił z siebie jednym tchem. – Dla teścia to cios straszliwy, bo w głowie mu się nie mieści tak jawne zszarganie wszystkich wartości, które jej wpajał – zakończył już spokojniej i głęboko odetchnął.

– Ale jak to: amory z ekonomem? – zapytała Konstancja z niedowierzaniem.

– A bo to ważne z kim? Zamiast ekonoma równie dobrze mógłby być książe

albo parobek. – Doktor wzruszył ramionami i wbił wzrok w podłogę ganku.

– Przepraszam, głupio zabrzmiało. Tylko trudno mi w to uwierzyć! I nijak to nie pasuje do pani Celiny! Zawsze wydawała mi się taka rozsądna i przykładowa. Co jej się stało?

– Nie będę wchodził w szczegóły i wyjaśniał, co najczęściej kobietom i mężczyznom rozum odbiera. Gryzę się tym potwornie, a od wczoraj dodatkowo muszę radzić sobie nie tylko ze swoim cierpieniem, ale i z pełnym fantazji starcem.

– Nadal nie rozumiem... Przepraszam za dociekliwość i brak taktu, ale skoro pani Celina uciekła z ekonomem, to czy przypadkiem nie powinna być razem z nim? A nie siedzieć u ojca?

– A bo jeszcze tego nie dopowiedziałem. Otóż sprawa z ekonomem jest już nieaktualna. Gdy dotarło do niego, że Celina tak na poważnie, to pewnego ranka rozmył się jak sen złoty! Był i zniknął! Ot, takie czary! A ona cała we łzach pojechała poszukać schronienia u tatusia.

– I ten naprawdę czmychnął przed córką czy może ten przyjazd ma czemuś służyć? Bo widzi pan, nie znam go wprawdzie zbyt dobrze, ale nie wygląda mi na kogoś, kto salwuje się ucieczką przed babskimi fanaberiami.

– Widać, że nigdy nie musiała pani przebywać pod jednym dachem z moją żoną. Te fanaberie, jak je pani nazywa, potrafiłyby świętego doprowadzić do szału. Ale rzeczywiście jest jeszcze druga strona medalu. Teść mój umyślił sobie bowiem, że tym ostentacyjnym wyjazdem da jej wyraźnie do zrozumienia, po której stoi stronie, a jednocześnie całkowicie jej nie odtrąci. Może i on był twardym żołnierzem, ale Celina to jego ukochana jedynaczka. Nie miał serca, by przedsięwziąć bardziej stanowcze kroki. Zresztą rozumiem go i nie chciałbym, żeby było inaczej. Podsumowując, sytuacja wygląda tak, że Celina została u niego, a on chce mi całe swoje gospodarstwo przywieźć! A wie pani, jak ono wygląda?

– Zapewne po staropolsku – bąknęła Konstancja.

– Tak właśnie! Niech pani sobie wyobrazi, że jedną z pasji teścia, którą pielęgnuje od młodości, są konie. Ma ich... Sam nie wiem ile, ale dużo! I on mi się z całym tym dobytkiem chce na głowę zwalić!

– A rzeczywiście, coś wspominał o tym, że mu konno przyjechać pan nie pozwolił. Tą decyzją raczej nie zjednał pan sobie jego sympatii – mimowolnie parsknęła śmiechem.

– Jeszcze tego brakowało, żeby gdzieś w szczerym polu zleciał i się potłukł. I żeby mnie pani dobrze zrozumiała, nie wątpię w jego umiejętności, ale chodziło mi o zmęczenie, przecież on ponad tydzień był w podróży...

– I zapewne jechał wierzchem i przeżył – przerwała mu Konstancja. – Jeżeli mogę coś panu doradzić, to niech pan się nie stara go niańczyć i nie podkreśla jego wieku. Bo wydaje mi się, że ojciec i córka mają ze sobą coś wspólnego. Jeśli go pan zdenerwuje, tak zalezie panu za skórę, iż tym razem to pan będzie z domu uciekał.

– Niestety, może pani mieć rację. Nie sądzi pani, że ta cała sytuacja to niezły materiał na komedię?

– Sądzę. Zawsze uważałam, że najśmieszniejsze komedie rodzą się z dramatów. Tak się objawia przewrotność losu. Chwilowo dajmy jednak temu pokój, a wróćmy do pańskiego teścia. Mam pewien pomysł, jak rozwiązać kłopot z jego inwentarzem.

– To znaczy?

– Z końmi. Z tego, co zrozumiałam, to część już ze sobą sprowadził?

– Tak, zabrał ze sobą swoje najcenniejsze i najulubieńsze wierzchowce. Gdy usiłowałam delikatnie dać mu do zrozumienia, iż u mnie nie ma dla nich miejsca, to z miejsca zmył mi głowę, że koń jest najwierniejszym towarzyszem żołnierza, a towarzyszy się nie porzuca. A przecież wie pani, jak mieszkam, dom jest skromny i mały. Z teściem się pomieścimy, ale jego ludzie, konie... To zbyt

wiele. Przepraszam, nie dałem pani dokończyć. Co z tym pomysłem?

– Już mówię. Dawniej mieliśmy kilka stajen, bo ojciec zajmował się hodowlą koni. Ja z tego zrezygnowałam. Jedna nam w zupełności wystarcza, a reszta stała do tej pory pusta. Miałam je w przyszłym roku zagospodarować na inne cele, ale w tej sytuacji równie dobrze mogę ich użyczyć pańskiemu teściowi. Trzeba, rzecz jasna, przygotować miejsce, wysprzątać w środku, ale jeżeli panu to rozwiązanie odpowiada, to sprowadźcie te konie do mnie. Niech tylko pan Dionizy do opieki nad nimi ludzi swoich da, bo u mnie nie będzie miał się teraz kto tym zająć. Jest wiosna, idzie lato, sam pan wie, że ludzie w polu będą mieli robotę. Nie chcę im obowiązków przysparzać.

– Naprawdę zrobiłaby to pani dla mnie?

– Przecież mówię, że to żaden problem.

– A mogłaby mu to pani sama zaproponować? Bo coś mi się widzi, że on do pani poczuł jakąś dziwną sympatię. A jak ja mu o tym powiem, to boję się, że gotów pomyśleć, iż chcę się go pozbyć.

– Jeśli pan woli. Zresztą z największą przyjemnością mu to zakomunikuję, bo i on wyjątkowo przypadł mi do gustu. – Zamilkła na moment, a potem zajrzała doktorowi prosto w pocziwe oczy. – Niech pan posłucha. Powiem to tylko raz i nie będę więcej wracać do tego tematu, bo wyobrażam sobie, jak musi panu być w tym wszystkim niezręcznie. Bardzo mi przykro z powodu tego, co pana spotkało ze strony pani Celiney. Ale niech pan zawsze pamięta, że jeżeli będę mogła jakoś pomóc, to wie pan, gdzie mnie znaleźć...

– Dziękuję – doktor westchnął głęboko. – Ciężko mi jest, nawet nie zdawałem sobie sprawy, że zdrada może tak boleć. Ale twardy jestem i dam sobie z tym radę. Najbardziej boję się plotek i obgadywania za plecami.

– Plotki mają to do siebie, że jedne zostają błyskawicznie zastąpione innymi. – Obdarzyła go pocieszającym uśmiechem. – A poza tym pan pod tym względem jest wyjątkowo uprzywilejowany.

– A to dlaczego? – Doktor wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł zroszone potem czoło. Widać było, że ta szczerza rozmowa sporo go kosztuje.

– Bo ludzie błyskawicznie przestaną na pana temat gadać. Wystarczy kilka kichnięć i mały ból ucha albo brzucha, a wszystko pójdzie w zapomnienie – roześmiała się Konstancja.

– Coś w tym jest. – Lekki, prawie niewidoczny uśmiech przemknął po twarzy medyka.

– A co z panią Celiną? Co jeżeli będzie chciała wrócić?

– Nie wiem. Mam świadomość, że i ja trochę zawiniłem. Rzadko bywam w domu, ciągle jeżdżę do pacjentów, a ostatnio popołudnia spędzałem tutaj. Zaniedbałem ją, więc się pocieszyła w ramionach kogoś, kto był na miejscu. Nie usprawiedliwiam jej, żeby wszystko było jasne, ale dostrzegam też swoje błędy.

– W takim razie niech pan chwilowo podtrzyma wersję, że pani Celina jest u ojca. Nikt tego nie zakwestionuje, bo, po pierwsze, to szczerza prawda, a po drugie, w razie czego pan Dionizy to potwierdzi. Na użytek co bardziej ciekawskich można wymyślić jakąś bajeczkę, że teść załatwia tutaj jakieś interesy a córkę zostawił u siebie, żeby mu gospodarstwa doglądała...

– Widzę, że jest pani w takich rozgrywkach niezle zaprawiona. – Doktor popatrzył na Konstancję z mimowolnym podziwem.

– Czasem trzeba nagiąć rzeczywistość. I tak jest właśnie w tym przypadku. Jeżeli się pogodzicie, łatwiej wam będzie w cichości czterech ścian to wszystko poukładać. A teraz niech pan gasi fajkę i idzie poszukać spacerowiczów. Nie chcę panu robić wyrzutów, ale rzucił pan swojego biednego teścia na żer tym wampirzycom...

– Akurat tu to trafiła kosa na kamień. Zęby sobie na nim te piranie połamią. Ale skoro pani każe, to pójdę. Wybierze się pani ze mną?

– Zaraz do was dołączę, chciałam tylko kilka słów zamienić z jednym ze służących. Muszę go o coś pilnie zapytać – dodała, myśląc, że teraz nadarza się

idealna okazja, żeby porozmawiać z Waldkiem.

Ledwo zdążyła zejść z ganku na podwórze, a już od strony parku nadciągnęło całe towarzystwo i znów brakło czasu na indagowanie służby. Tym bardziej że trzeba było ustalić szczegóły dotyczące pojedynku, zasiąść ze zniecierpliwionymi paniami Jadwigą i Martą do mariasza, zjeść podwieczorek... Gdy pożegnała ostatnich gości, pomyślała, że już dawno nie przeżyła tak intensywnego dnia. Była bardziej zmęczona niż po objeździe pól. I to takim niedobrym zmęczeniem, zatruwającym głowę i niedającym oddechu, nawet gdy już nic nie trzeba było robić. A to dopiero był początek.

Żeby przewietrzyć myśli i dać sobie chwilę oddechu, wymknęła się na ganek. Z miejsca otulił ją zmrok wczesnego wieczoru. W oddali słychać było pohukiwanie puchacza. Poza tym ciszę przerywał jedynie szmer lekkiego wiatru, który baraszkował w koronach drzew.

„Za chwilę będę musiała tam wrócić i zmierzyć się z tym, co chowa w zanadrzu Jan – pomyślała, przymykając oczy.– I Bóg mi świadkiem, że nie mam bladego pojęcia, co to może być”.

Jego przyjazd niewątpliwie oznaczał zmiany. Widać rację miała Pelasia, która twierdziła, że w życiu nic nie dzieje się przypadkiem. W tym kontekście nawet ten nieszczęsny pojedynek nabierał innego znaczenia. Gdyby nie on, prawdopodobnie nazwisko Sepińskiego nie wysunęłoby się na pierwszy plan, służba nadal szeptałaby tylko po kątach i cierpiała w milczeniu, a ona sama, odpowiedzialna za to wszystko, o niczym by nie wiedziała. Kto wie, do ilu tragedii by jeszcze doszło? Teraz przynajmniej mogła zacząć działać.

Przede wszystkim należało podejść do sprawy metodycznie. „Po kolei, to, co najważniejsze – nakazała sobie w duchu. – Najpierw rozmowa z Waldkiem o Maćku, potem poczekać na pojedynek... Oby Bóg dał, żeby nikomu żadna znacząca krzywda się nie stała” – pomyślała, otwierając oczy i wpatrując się w usiane gwiazdami niebo. Choć w świetle tego, o czym się dzisiaj dowiedziała,

to gdyby Sępińskiemu się nie poszczęściło, można by było w tym upatrywać woli boskiej.

„Matko Jedyna, co się ze mną dzieje! Śmierci bliźniemu życzę! – Z niechęcią potrząsnęła głową. – Ba, nie tylko życzę, ale gdy słuchałam opowieści Pelagii, miałam ochotę sama sprawiedliwość wymierzyć! Trudno się dziwić Leonowi, że knuje i zemstę obmyśla. W końcu skrzywdzono mu dziecko...”

W tym samym momencie pomyślała o innym maluchu – tym, który miał się dopiero urodzić.

– Jak oni wszyscy sobie z tym poradzą? – mruknęła do siebie pod nosem.

„Gwałt pozostaje gwałtem, ale dziecko nie jest niczemu winne” – myślała, bębniąc palcami o balustradę ganku. Z drugiej jednak strony nie należało się dziwić, że i dla tej dziewczyny, i dla jej ojca każde spojrzenie na tego chłopca albo dziewczynkę będzie powrotem do koszmaru. I jedno zwichnięte życie pociągnie za sobą drugie. Na co dzień można się obejść bez wielu rzeczy, ale na pewno nie bez miłości. Największym nieszczęściem, jakie może człowieka spotkać, jest brak uczucia, a już być niekochanym przez najbliższych... tego Konstancja w ogóle nie mogła sobie wyobrazić. Nagle poczuła zaskakującą tkliwość dla tego dziecka, na którego narodziny nikt nie czekał i nikt ich sobie nie życzył.

„Zajmę się tym” – zdecydowała, choć nie bardzo wiedziała, jak by to miało wyglądać w praktyce. To mgliste postanowienie uspokoiło ją i pozwoliło skupić myśli na początkowych rozważaniach.

„Na czym to stanęłam? – zapytała samą siebie. – A tak, na pojedynku. A więc najpierw to, a następnie wymówienie dzierżawy Sępińskiemu. I wizyta na bagnach, u tej... jak jej tam? Margochy. Chciałabym osobiście zobaczyć, jak się ma Katarzyna, i ocenić, co mogłabym dla niej zrobić”.

Sporządziwszy sobie w głowie listę, poczuła się uspokojona. Dobry plan to połowa sukcesu.

„Jakoś się to wszystko ułoży” – pomyślała, głęboko wzdychając. Będzie dobrze. Jan zawsze miał szczęście. Zupełnie jak kot, o którym się mówi, że ma siedem żyć, tak i on z każdej opresji wychodził dotąd cało. Była więc nadzieja, że teraz stanie się podobnie. Z przegnaniem Sepińskiego też dadzą sobie radę. Łotr, bo łotr, ale nawet najgorszy zbójca, który ma głowę na karku, wie, kiedy należy ustąpić pola. A Kaśka... Cóż, zawsze można przynajmniej przygarnąć malucha i zadbać o to, żeby nie zabrakło mu ciepła i akceptacji. Wprawdzie to nie to samo co miłość matczyna, ale zawsze lepsze niż całkowita oziębłość. A gdy ludzie zobaczą, że dzieciak jest akceptowany we dworze, to też prędzej będą się liczyć ze słowami.

A może i tym nie będzie musiała się martwić? Może Kaśka pokocha maleństwo? W końcu to krew z jej krwi.

„Będzie dobrze” – pomyślała raz jeszcze i gdy już niemal gotowa była ulec temu przeświadczeniu, spojrzała w niebo i nagle wydało jej się, że wyglądający zza chmury księżyc jarzy się na czerwono. Natychmiast zamknęła oczy i poczuła, jak serce w jej piersi tłucze się niespokojnie. Wciąż żywe były w jej pamięci opowieści rodzinne, w których czerwony księżyc zawsze zwiastował nieszczęścia, zawieruchy i niepokoje. W świetle dnia można było z łatwością włożyć te historie pomiędzy bajki, jednak w ciemności nabierały już innego znaczenia.

– Przywidziało mi się, na pewno mi się przywidziało – dla dodania sobie otuchy przemówiła pełnym głosem, ale jego dźwięk w panującej wokół kompletnej ciszy tylko wzmógł jej strach.

Otworzyła oczy i jeszcze raz spojrzała w niebo. Księżyc jednak skryła już duża, ciężka chmura, zza której przebijała się tylko niewyraźna poświata.

I nagle ten sam zmrok, który jeszcze przed chwilą jawił się jako przyjazny, wydał jej się złowrogi i kryjący w sobie niebezpieczeństwo. Wzdrygnęła się i szybkim krokiem podeszła do drzwi wejściowych. Całą sobą marzyła, żeby na powrót znaleźć się w środku oświetlonego świecami domu i usłyszeć dobrze

znajomy, gderliwy głos Pelasi. Już przekraczała próg, gdy powietrze przecięło przeciągłe, przejmujące wilcze wycie, niosące się echem od lasu, poprzez pola, wreszcie zahaczające o uchylone podwoje dworu. Nagle Konstancja nabrała pewności, że otwierając drzwi w tym, a nie innym momencie, wpuściła do domu coś, co do tej pory trzymało się z dala od dającego poczucie bezpieczeństwa wnętrza. Niemal biegiem wpadła do środka i mocno zatrzęsnęła za sobą ciężkie wrota.

Niewiele to jednak pomogło. Przeszłość nabierała coraz większej pewności siebie i z coraz większą swobodą rozpychała się w życiu Konstancji.

Stojąc w ciemnej sieni, Konstancja usiłowała uspokoić walące z ogłuszającą siłą serce. Ale zanim w pełni doszła do siebie, zobaczyła migoczący w mroku płomień świecy i za chwilę w jego drżących podrygach ukazała się twarz Jana.

– Co ty tu robisz w zupełnych ciemnościach? Pelasia nakazała mi cię odnaleźć. Wyznała mi, że siły już do ciebie nie ma i że jak zna życie, to zapewne prosisz się o rychły koniec, stojąc na zimnie.

– I z tego jasno wynika, że moja ochmistrzyni zna życie jak nikt inny – mruknęła Konstancja, usiłując zamaskować drżenie głosu.

Ale widać nie bardzo jej to wyszło, bo Jan przybliżył lichtarz do jej twarzy i spojrzał na nią uważnie.

– Co się stało? – zapytał z niepokojem, którego nawet nie starał się ukryć.

– Nic, co byłoby warte uwagi – odpowiedziała, siłąc się na lekki, bagatelizujący ton.

– Na litość boską, Konstancjo, nie bądźmy dziećmi! Albo właśnie źle powiedziałem: stańmy się nimi na powrót, bo wtedy nie miałaś tego typu oporów i nie odgrywałaś bohaterki! Może i długo się nie widzieliśmy, ale zapominasz, że znam cię jak nikt inny i... – Tu urwał i zdusił słowa, które cisnęły mu się na usta. Zdawał sobie sprawę, że to nie czas na wyznania. Ten przeminął bezpowrotnie. – Nie oszukuj mnie po prostu – zakończył z mocą, a w jego oczach zapłonęło coś takiego, co sprawiło, że serce Konstancji znów zaczęło łomotać, tym razem bynajmniej nie ze strachu.

– Nie oszukuję cię, ale trudno to racjonalnie wytłumaczyć – powiedziała, szybko odwracając spojrzenie od jego twarzy. – Zresztą jak chcesz, najwyżej

wydam ci się śmieszna. Zdawało mi się, że widzę czerwony księżyc. Wiesz, co starsi zawsze mówili o takim zjawisku. I nie wiem dlaczego, może chodzi o dzisiejszy dzień... – Przerwała na moment, szukając odpowiednich słów. Nie chciała mówić wszystkiego, nie chciała podgrzewać i tak gorącej atmosfery przed pojedynkiem. – Bo widzisz, dowiedziałam się wielu złych, bardzo złych rzeczy i chyba też dlatego przeraziłam się tej czerwonej poświaty, tak jakbym zobaczyła upiора zapowiadającego wszystko co najgorsze – wyrzuciła z siebie na jednym wydechu. – Myślę, że mi się przywidziało... Nie wiem na pewno... Wprawdzie spojrzalam jeszcze raz, żeby sprawdzić, ale księżyc był już za chmurami. A potem jeszcze wilki zaczęły wyc. Niby nie ma w tym nic nadzwyczajnego, w lesie od dawna są dwie watahy i wycie słycać często... No i sama słyszę, jak to brzmi! – Roześmiała się z lekkim przymusem. – Jak bredzenie opętanej wariatki...

– Widzę to zupełnie inaczej – zripostował. – Starsi ludzie przyjmowali na wiarę nawet to, czego nie rozumieli. A nam tego brakuje. Tej prostej wiary właśnie – dopowiedział cicho i oparł się plecami o ścianę, żeby w niewielkim korytarzu stać jak najdalej od Konstancji.

Miał wielką ochotę wziąć ją w ramiona i przytulić, własną pierśią odgrodzić od tego, co zostało z przeszłości, a wciąż kaleczyło terażniejszość. Osłonić przed tym, co nadejdzie. Ale wiedział też, że gdyby teraz wykonał choć jeden ruch, skruszyłby cieką linię, która ich dzieliła, i stałoby się coś, czego już nie sposób by było odwrócić. Widział w jej oczach bezbronność i miękkość i mógłby to wykorzystać. Potem jednak chwila by minęła, pozostawiając po sobie zgliszczca. Tu nie było dobrego rozwiązania. Stałoby się jedno z dwojga: albo zniszczyłby przyjaźń między nimi, albo obróciłby w gruzy swoje małżeństwo.

„A gdybyś musiał wybierać? – zaszeptał mu w głowie prowokujący głos. – Gdybyś musiał?”

– Konstancjo, chodźmy stąd. W bawialni płonie ogień w kominku i czeka gorąca herbata – powiedział, odsuwając natrętnie pytanie jak najdalej od siebie. –

Musimy porozmawiać i niestety, obawiam się, że czerwony księżyc tym razem pojawił się w odpowiednim momencie.

– To znaczy? – Zmrużonymi oczami wpatrywała się w jego twarz, na której drżący płomień świecy co chwila kładł inne cienie.

– To znaczy, że nie przywożę dobrych wieści – westchnął Jan. – I nie ukrywam, że wolałbym o tym mówić gdzieś, gdzie jest więcej światła – dodał, ale nie ruszył się z miejsca.

Chciał przeciągnąć tę chwilę, bo na moment Konstancja stała się taka jak kiedyś. Miękka i łagodna. Zniknął gdzieś stanowczy, nieomal ostry błysk w oczach i wysoko zadarty podbródek. Znów przypominała mu dziewczynę z dawnych lat, z czasów, gdy należała bardziej do niego niż do kogokolwiek innego. To była epoka jeszcze sprzed Tadeusza.

I stali tak nieruchomo, patrząc na siebie, całkowicie świadomi tego, że w jednej sekundzie mogą całkowicie zmienić swoje życie. Pierwsza z tego dziwnego letargu ocknęła się Konstancja.

– Masz rację, idźmy do światła. – Podeszła do niego i wyjęła mu z rąk lichtarz.

Jej chłodne palce przesunęły się po wewnętrznej stronie jego dłoni. Trwało to ułamek sekundy. Zanim zdążył zareagować, ona już ruszyła w kierunku bawialni, nie oglądając się za siebie.

Chcąc nie chcąc, podążył za nią. Magiczna chwila minęła i wszystko wróciło na swoje miejsca. Poza jednym. Mimo ogromnego wysiłku za nic nie mógł się pozbyć z myśli dręczącego pytania: a gdybyś musiał wybierać?

Niestety, miał świadomość, jaka odpowiedź by padła. I czuł się z tym podle. A przeszłość wyraźnie sobie z niego drwiła.

W bawialni panowała cisza przerywana jedynie przez trzask płonących polan w kominku i tykanie ogromnego zegara w kącie pokoju. Konstancja patrzyła na przesuwające się powoli wskazówki i wsłuchując się w miarowo odmierzane sekundy, zastanawiała się, co też czas – zaklęty w misternym mechanizmie i odmierzany dźwięcznym gongiem – jeszcze zamierza jej przynieść.

Lubiła ten zegar. Z wielu wiekowych sprzętów, które panoszyły się w każdym zakątku dworu, ten wydawał się naprawdę żyć i posiadać duszę. Towarzyszył tylu pokoleniom, oznajmiał swoim donośnym głosem narodziny i zgony, śluby i pogrzeby. Tykał nad kołyskami, widział, jak sen tuli w swoich ramionach niemowlęta, i wysłuchiwał matek, które pochylając zmęczone głowy, szeptały odwieczne zaklęcia, słowa miłości, by ochronić swe dzieci przed wszelkim złem. Był zżyty z mieszkańcami dworu tak, że stał się nieomal członkiem rodziny. Żyjącym odmierzał skrupulatnie minuty i godziny, a tych, którzy odchodzili, zapewniał, że na zawsze pozostaną obecni w dźwięku gongu – w czasie, który być może już przeminął, ale jednak gdzieś tam, wśród skomplikowanych sprężyn i trybików, był skrzętnie przechowywany. Konstancja miała nieraz wrażenie, że w nocy zegar uwalnia ten zapomniany czas. I wtedy cały dwór mruczy dawne, przedwczorajsze już pieśni, w bawialni fortepian gra melodie do minionych tańców, a zegar, jak na dobrego gospodarza przystało, pilnuje, żeby o brzasku wybić odpowiednią godzinę, która odsyłała korowód zjaw tam, skąd przybyły, i na powrót dawała pierwszeństwo temu, co teraz, i temu, co nadejdzie.

I oto w tej chwili wysunęło się na prowadzenie to, co miało dopiero nadejść.

Konstancja zapatrzyła się w starą porysowaną tarczę, jakby czekając, aż zegar przemówi i zdradzi jej odwieczną tajemnicę czasu przyszłego.

„Jak to możliwe, że tyle okropnych rzeczy wydarzyło się jednocześnie?” – zapytała się w duchu. Przez tyle tygodni nie działo się nic, żyła w przeświadczeniu, że ma wszystko pod kontrolą, że wie, co się dzieje we dworze i poza nim, zna troski mieszkańców majątku i umie im zaradzić. A teraz wszystko zaczęło się sypać. W ciągu jednego dnia rozpętał się istny armagedon.

– Dlaczego dopiero teraz? – W końcu oderwała wzrok od zegara i spojrzała na siedzącego w fotelu Jana, który właśnie zdradził jej nowinę najgorszą ze wszystkich.

– Chyba do końca nie wierzyła, że to prawda. – Mężczyzna spuścił nisko głowę. – Albo czekała na cud. Ale ostatnie dni przed moim wyjazdem były decydujące. Widać było, jak choroba bierze ją we władanie. Doktor, który zna jej położenie, w końcu zdobył się na szczerść i...

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, iż rzucił jej prosto w twarz, że umiera?

– Konstancjo, wiem, jak to brzmi, ale po prostu nie było innego wyjścia! Czasem to, co wygląda na okrucieństwo, w rzeczywistości jest aktem miłosierdzia. Gdyby to tylko o nią chodziło, to inna sprawa, ale tam jest dziecko, któremu trzeba zapewnić opiekę. Mira nie ma nikogo poza tobą. Jesteś jej...

– Nie musisz mi przypominać o stopniach pokrewieństwa i wynikających z nich obowiązkach – wzburzona nie dała mu dokończyć. – Czy myślisz, że takie argumenty naprawdę są potrzebne? Gdybyś zapomniał, Mira zawsze była dla mnie jak siostra i więzy krwi niewiele tu znaczą! I bez nich zrobiłabym dla niej wszystko, co w mojej mocy. Chyba nie sądzisz, że pozwoliłabym, żeby jej jedyne dziecko poszło na poniewierkę? Dziecko, które sama trzymałam do chrztu?! Nie rozumiem, nadal nie rozumiem, dlaczego nikt wcześniej mnie nie zawiadomił!

Jan przez moment milczał, zastanawiając się, czy może pozwolić sobie na

szczerosc.

– Jakiś czas temu wycofałaś się z życia. – Na jego twarzy odbił się wyraz determinacji. Ktoś w tym towarzystwie musiał okazać się mężczyzną. – Nie przerywaj mi, proszę, bo nie wiem, czy później zdołam ci powiedzieć to, co zamierzam – dodał, widząc, że Konstancja już otwiera usta, żeby coś wtrącić. – Nie było cię, rozumiesz? Na salonach, na balach, na kwestach, na kolacjach. Nie zimowałaś dawnym zwyczajem w miastach. Wilno, Warszawa, Kraków... Wielki tłum, a bez ciebie było pusto – dodał trochę wbrew sobie, bo postanowił, że tym razem nie da się ponieść sentymentom. – Nie chodziłaś na kolacje ani nikogo nie zapraszałaś – kontynuował, na powrót przybierając zasadniczy ton. – I mniejsza o to. Wycofałaś się też z życia bliskich ci ludzi. To, że my się nie widywaliśmy, jestem w stanie zrozumieć. Ale reszta? Mirę widziałaś ostatni raz na pogrzebie Tadeusza. Nawet na jej ślub nie przyjechałaś! Czy naprawdę tak postępuje ktoś, kto kocha?

Konstancja patrzyła na niego oniemiała. Otwierała i zamykała usta, nie mogąc wydobyć głosu.

– Tak więc to oceniasz? – wydusiła w końcu.

– A mogę inaczej?

– Może nie przyjechałam na ślub dlatego, że nie chciałam patrzeć, jak Mira marnuje sobie życie? Ledwo uporała się z poprzednim romanssem i jego konsekwencjami! Trzeba było ogromnego zachodu, żeby zaakceptowano jej nieślubne dziecko! Zrobiłam wtedy wszystko, poruszyłam niebo i ziemię, wykorzystałam koneksje i znajomości. Zostałam nawet chrzestną tego maleństwa, żeby ludziom zamknąć usta! A potem przyszło zaproszenie na ten ślub. Przecież to byłaby jedna wielka maskarada: wieszować jej, życzyć szczęścia, a jednocześnie wiedzieć, w co tak naprawdę się pakuje!

– To trzeba było przyjechać i przynajmniej spróbować ją przekonać, że źle robi. Mnie nie słuchała, ale może twoje słowa przyjęłaby inaczej? To nie są

argumenty, tylko czcze wymówki! Które zresztą w tej chwili nie mają żadnego znaczenia – dodał już spokojniej. – Powiedziałem ci to wszystko tylko po to, żebyś zrozumiała, czemu dowiadujesz się ostatnia. I żebyś już, do diabła, przestała pytać: dlaczego, dlaczego, dlaczego?! Nie wiesz, ile mnie to kosztuje! Jak bardzo boleję nad tym, że to właśnie ja muszę być tym krukiem, posłańcem przynoszącym złe nowiny – zakończył i pomyślał, że teraz powinien przygotować się na głośną i gwałtowną obronę.

Mylił się jednak. Nie było krzyków ani złości. Konstancja wstała z fotela, podeszła do okna i zapatrzyła się w zaryglowane okiennice. Z miejsca, w którym siedział, widział tylko jej wyprostowane plecy.

– Masz rację – powiedziała ku jego zaskoczeniu. – Sama nie wiem, jak to się stało, że nie zauważyłam, ile czasu upłynęło. Najpierw do siebie pisałyśmy. Z listów wynikało, że jest szczęśliwa. Może to uspiło moją czujność, a może rzeczywiście szukałam pretekstu, by uciszyć sumienie i wątpliwości? Chyba wołałam myśleć, że jest zadowolona i nie musieć się martwić. A potem listy przychodziły coraz rzadziej, ja też pisałam sporadycznie. Aż wymiana korespondencji ustała zupełnie. Wysyłałam raz w roku prezent i powinszowania z okazji urodzin Antoniny, w końcu jestem jej matką chrzestną. I nawet brak odpowiedzi mnie nie dziwił ani nie niepokoił. Wiesz, że ja się nad tym w ogóle nie zastanawiałam? Tyle było bieżących zajęć, tyle spraw do załatwienia, tylu ludzi, którymi trzeba było się zająć. Sieroty, wdowy, służba... Wybudowałam nawet ochronkę i dodatkowe spichlerze, do których zsypujemy pierwsze plony.

– Spichlerze? – powtórzył, bo poczuł się trochę zagubiony w mnogości informacji i w nagłym przejściu od sierot do zbiorów.

– Żeby chłopcy nie cierpieli biedy na przednówku. Nawet nie wiesz, jak u nich bywa strasznie. Zdarzało się, że jedli chwasty wymieszane z jakąś papą. Nie mam pojęcia, co to było, to kleiste coś, ale wiem za to, że duża część dzieci i starców nie przetrzymała marca i kwietnia. To zboże niejedno życie uratowało.

I zobacz, umiałam zadbać o obcych, a o swoich zapomniałam... – W zamyśleniu przejechała palcem po parapecie i umilkła.

Miała ochotę dodać, że obcy nie zadawali pytań i nie chcieli wspominać starych czasów. Nie stwarzali zagrożenia. Ale jakie to miało teraz znaczenie?

– Dobrze – podjęła – czyli przyjechałeś żeby mi przekazać, że Mira umiera? – Poczula, jak oczy zachodzą jej łzami.

– Przyjechałem prosić cię w jej imieniu, żebyś jak najszybciej do niej pojechała. Lekarze nie dają jej dużo czasu.

– Czyli ta zdeptana biedronka, czerwony księżyc i wilcze wycie miały jednak znaczenie?

– Bez tego wszystkiego i tak wydarzyłoby się to samo – powiedział Jan i szybko wytarł policzki wierzchem dłoni.

Był wdzięczny Konstancji za to, że stoi doń tyłem i nie patrzy na jego łzy.

I tak dwoje ludzi, połączonych nicią wspomnień i dawnymi marzeniami, będąc w jednym i tym samym pokoju, wspólnie płakało w samotności. Żadne nie wydało ani jednego dźwięku.

Jan był pod ogromnym wrażeniem tego, w jakim tempie Konstancja się opanowała. Tylko nienaturalna bladość policzków wskazywała, że przed momentem wydarzyło się coś, co nią dogłębnie wstrząsnęło.

– Wybacz, ale muszę zadać ci jeszcze parę pytań – powiedziała, przyjmując rzeczowy ton. – Obiecuję, że będę się starała nie używać słowa „dlaczego” – dodała sarkastycznie.

– Pytaj. – Jan postanowił zignorować tę drobną złośliwość i potarł dłonią zaczerwienione powieki.

– Mówisz, że Mira została sama...? A on? Ten, pozal się Boże, Wiktor, hulaka o uwodzicielskim spojrzeniu? Co z nim?

– Sama sobie odpowiedziałaś: hula gdzieś w wielkim świecie. Tyle wiem. Mira niechętnie o tym opowiada.

– W takim razie muszę przygotować się do wyjazdu. Załatwić paszport. Dobrze, że mam więcej niż poprawne układy z urzędnikami...

– Niesamowite, że Tadeusz zadbał nawet o to – wymknęło mu się, zanim zdołał ugryźć się w język.

– Nie rozumiem. Co masz na myśli? – zapytała, gwałtownie odwracając się w jego stronę.

Blask bijący z kominka na moment wplótł ogniste pasma w jej włosy i zamaskował bladość twarzy. W jasnych oczach odbijały się płomienie. Była piękna. I niedostępna. W niczym nie przypominała siebie sprzed lat ani nawet z tych paru chwil, gdy stali naprzeciwko siebie w ciemnej sieni.

– Tylko tyle że los zatroszczył się o ciebie w każdy możliwy sposób –

powiedział, biorąc głęboki oddech. – Ale nie będę rozwijał tego tematu. Po prostu głośno pomyślałem, nie zdając sobie sprawy, jak to zabrzmiało.

– Nie musisz mówić. I tak wiem, co miałeś na myśli. Skoro Tadeusz i tak musiał umrzeć, to odszedł w najlepszym momencie z możliwych. Szaruga jesienna, listopad, powstanie... A on nie mógł wstać i iść. Ci, którzy mieli wiedzieć, wiedzieli, że gdyby był zdrow, działałby razem z nimi. A Moskale po dziś dzień trwają w nieświadomości. Masz rację, zostawił mnie w położeniu godnym pozazdroszczenia. Ubezpieczoną z jednej i drugiej strony. Dlatego teraz nie będę miała problemu z uzyskaniem zezwolenia na opuszczenie granic Kongresówki*. Podeprę się koniecznością zobaczenia majątku w Galicji... A swoją drogą, nawet nie skłamię, bo rzeczywiście już dawno powinnam sprawdzić, co się tam dzieje.

– Nie byłem ostatnio w tamtych stronach, ale jakiś czas temu zajechał do nas z wizytą mój szwagier. Podpytałem go o te dobra, bo mieszka tuż obok. Mówił, że dom podupał, ale pola są dobrze utrzymane. A to najważniejsze.

– Niczego innego się nie spodziewam. Ziemia jest dzierżawiona, a dom... Tyle lat już upłynęło, odkąd ktoś w nim mieszkał. Nic dziwnego, że jest zaniedbany. Domom, podobnie jak i ludziom, nie służy samotność. Nie wiem, czy nie powinnam rozważyć sprzedaży, ale cały czas mam nadzieję, że może Adam się ożeni i zechce tam osiedlić. Wolałabym widzieć go w Galicji niż tutaj. Tam jednak trochę wam lżej, a u nas wciąż surowiej i oschlej. Tak jakby rosyjscy panowie, tęskniąc do swoich ostrych zim, usiłowali choć trochę tego klimatu przenieść do nas, mroząc ludzi oddechem zakazów, nakazów i grózb.

– Właśnie, cały czas miałem w planach zapytać o twojego syna. Gdy widziałem Adasia ostatni raz, był ledwo od ziemi odrośniętym basałkiem, a teraz... Co z nim? Trochę się zdziwiłem, nie widząc go przy tobie. Myślałem, że będzie ci pomagał gospodarzyć.

– Jest już z niego panicz pełną gębą. Wyjechał, za moją zgodą zresztą,

w podróż po Europie. Niech zobaczy trochę świata, dotknie innej kultury, żeby potem móc docenić to, co swojskie i dobrze znajome. Taki był mój pierwotny zamysł, ale patrząc na niego, nie wiem, co to będzie... Jakimś cudem, Janku, wychowałam marzyciela. Mam takie przeczucie, że z tej podróży to on szybko nie wróci. I między nami mówiąc, nie widzę go w roli gospodarza.

– To czemu zezwoliłaś mu jechać? Może gdyby posiedział tu razem z tobą, zadbał o dom, zajął się rachunkami i ziemią, toby się wciągnął i był ci wyręką. A tak sama pchnęłaś go ku pokusom i beztroskiemu życiu.

– Ależ on by został, gdybym sobie tego zażyczyła. – Na wspomnienie syna uśmiechnęła się czule. – Ale widzisz, jestem zdania, że rodzimy dzieci nie po to, aby brać je w niewolę i zmuszać, by szły wytyczonymi przez nas drogami, ale po to, żeby szukały własnych ścieżek i spełniały własne marzenia, niekiedy zupełnie inne niż te, które my mamy. Zresztą i ty już niedługo zrozumiesz, o czym mówię. W końcu twoje dziewczynki też robią się coraz starsze. Ile one właściwie mają lat?

– Klara osiem, Wanda sześć, a najmłodsza, Ania, cztery. Jak tak dalej pójdzie, zbankrutuję, szykując posagi.

– Zrobił ci się niezły babiniec – roześmiała się, wyciągając ręce do ognia. – A Stefania, twoja żona, jaka ona jest? Widziałyśmy się wprawdzie raz czy dwa na jakichś prozonych kolacjach w Krakowie, ale to było tak dawno temu, że ona mnie pewnie nie pamięta, zresztą ja też kojarzę ją jak przez mgłę.

„I tutaj się mylisz – pomyślał Jan, spoglądając spod oka na Konstancję. – Stefcia pamięta cię doskonale. Widziała, jak wodzę za tobą oczami, a już wtedy skrycie się we mnie kochała”.

– Jaka jest? – powtórzył po Konstancji. „Przede wszystkim zazdrosna”, przemknęło mu przez myśl, ale oczywiście głośno tego nie powiedział. – Skromna, ciepła, gospodarna... – skrzywił się, słysząc, jak to brzmi.

Równie dobrze mógłby powiedzieć: nudna. A przecież wcale tak nie było.

Stefcia była wesoła, dobra i zaradna. Problem polegał tylko na tym, że przy Konstancji wypadła blado. I ta świadomość sprawiała, że Jan czuł się jeszcze bardziej podle. Bo przecież kochał tę kobietę, była matką jego dzieci. Co więcej, choć na samą myśl o Konstancji cała sztywniała, gdy dowiedziała się o prośbie Miry, popatrzyła na Jana uważnie, a potem pogłaskała go po policzku i pokiwała w zamyśleniu głową.

– Jedź – powiedziała, jakby to było coś najzwyczajszego na świecie. Jak gdyby wysyłała go do miasta po sprawunki, a nie w ramiona dawnej, niespełnionej miłości.

To jasno pokazywało, że poza wymienionymi zaletami była też szlachetna. A jednak... „Gdybyś musiał wybierać...?” – dręczące go od jakiegoś czasu pytanie znów pozostawiło w jego ustach posmak goryczy. Nie chciał o tym myśleć, nie chciał tego rozważać. Jednocześnie wcale nie pragnął wracać do domu. Przeszłość odżyła i odsunęła w cień terażniejszość.

Cóż, trzeba zacisnąć zęby i pamiętać o tym, że człowiek honorowy nie łamie raz danej przysięgi. Szczególnie jeżeli przysięga przed Bogiem wierność i lojalność aż do śmierci.

– Pozwól, że nie będę ci opowiadał o Stefanii, bo pewnie sama wkrótce ją poznasz – zwrócił się do Konstancji, odpędzając od siebie wszystkie czarne myśli. – Nie raz i nie dwa zobaczymy się u Miry, bo jesteśmy tam częstymi gośćmi. I w związku z tą zażyłością Stefcia nawet zaczęła przebąkiwać, że w razie najgorszego możemy się zająć Antosią, ale Mira jasno dała jej do zrozumienia, że w roli opiekunki chce widzieć ciebie.

– W takim razie będę szykować się do drogi – powiedziała, wstając. – Nie wiem, jak Mira chce rozwiązać sprawy domu... Ale to już ustalimy na miejscu. Mam nadzieję, że zdążymy na czas.

– Zauważyłaś, że mówimy o tym jak o jakichś urzędowych sprawach? „Co zrobić z domem”, „ustalimy”... Jakbyśmy nie chcieli spojrzeć w oczy prawdzie.

Jakby wcale nie chodziło o życie kogoś, kto przecież tyle dla nas znaczył, z kim się wychowaliśmy, kto z nami się bawił i cierpiał...

– Przestań – przerwała mu zduszonym głosem Konstancja. – Po prostu przestań! To jedyny sposób, żeby jakoś przetrwać ten czas, a jednocześnie być dla niej wsparciem i pomocą. Na żal i rozpacz będziemy mogli sobie pozwolić potem, teraz lepiej podchodzić do tego zadaniowo. Uczucia trzeba odesłać na dalszy plan – dodała i popatrzyła na niego tak, że od razu zrozumiał, iż mówi nie tylko o Mirze, lecz także o nich. – A teraz wybacz, ale pójdę już na górę. To był bardzo długi dzień. Zresztą ty też powinieneś wypocząć przed jutrem. Biorąc pod uwagę to, co nas czeka, w najbliższym czasie nie będzie wielu okazji do wypoczynku.

– Teraz mam lekkie wyrzuty sumienia, że przez ten pojedynek opóźniam nasz wyjazd – mruknął, również podnosząc się z fotela.

– Niepotrzebnie. W końcu załatwienie zgody na podróż też chwilę zajmie, a do tego i tak nie mogłabym się stąd ruszyć, zanim nie wyjaśnię sobie z panem Sępińskim paru naglących spraw – powiedziała, podając Janowi lichtarz z zapaloną świecą.

– Odprowadzić cię, żebyś nie musiała chodzić po ciemku?

– Janku, świec ci u nas dostatek – uśmiechnęła się, kręcąc odmownie głową.
– Dam sobie radę. – Na potwierdzenie swoich słów sięgnęła po stojący na parapecie trzyramienny świecznik. – Pelasia zawsze mi go przygotowuje. Wie, że nie lubię ciemności.

– Nigdy nie lubiłaś... – Przepuścił ją przodem. – Posłuchaj, muszę zadać ci jeszcze jedno pytanie – powiedział szybko, jakby bojąc się, że za chwilę zabraknie mu odwagi, by wypowiedzieć cisnące się na usta słowa. – Dlaczego? Dlaczego wtedy, gdy zaproponowałem ci małżeństwo, i to, że zaopiekuję się tobą i Adamem, powiedziałaś „nie”? I dlaczego kazałaś mi zapomnieć i przestać się łudzić?

– Bo nie robi się takich rzeczy przyjacielowi – powiedziała cicho, wstępując na pierwszy stopień schodów prowadzących na piętro. – Nie wychodzi się za niego za mąż ze strachu przed przyszłością. Nie wtedy gdy kocha się go jak przyjaciela i nie ma się pojęcia, czy kiedykolwiek będzie inaczej. Janku, wtedy jeszcze nie pożegnałam się z Tadeuszem. I nie wiedziałam, czy to w ogóle kiedyś nastąpi. Dlatego moja odpowiedź brzmiała właśnie tak. Poniekąd zrobiłam to więc z miłości. Tylko nie takiej, jakiej oczekiwałeś.

– A teraz? Gdybym zadał to pytanie jeszcze raz?

– A teraz możesz je zadać powtórnie swojej żonie – powiedziała, opierając dłoń na drewnianej poręczy okalającej schody. – A ona na pewno odpowie ci tak jak w dniu ślubu – dokończyła i nie oglądając się za siebie, bezszelestnie wbiegła na piętro.

Jan jeszcze przez moment stał u podnóża schodów, nie mogąc odzyskać równowagi. A potem, gdy już dotarł do swojego pokoju i położył się do łóżka, długo przewracał się na nim, nie mogąc zasnąć i głowiąc się, co tak naprawdę oznaczała odpowiedź Konstancji. Możliwości były dwie: albo posłała go do diabła, albo w zawołany sposób wyznała, że wprawdzie go kocha, ale zważywszy na okoliczności, i tak nic z tego nie będzie.

Właściwie wychodziło na to samo. I sam już nie wiedział, którą z ewentualności by wolał.

* Potoczna nazwa Królestwa Polskiego.

Kolejne dni miały w szalonym tempie. Sekundanci wrócili od Sępińskiego, przywożąc konkretne wiadomości, gdzie i kiedy mają się stawić uczestnicy pojedynku. Jan nie wiedział, że została im powierzona tajna misja: mieli doprowadzić do tego, aby panowie strzelali się jak najbliżej Wilczego Dworu. Sępiński nie był jednak w ciemę bity i bardzo nieufnie podszedł do tej propozycji.

– Już myśleliśmy, że w ogóle nie uda nam się go przekonać. W końcu osiągnęliśmy kompromis i ustaliliśmy miejsce w połowie drogi – opowiadał Michał, starszy z braci Dyrylkiewiczów. – Na całe szczęście Sępiński sam uznał, że dwory dzieli spora odległość i nie chce mu się jechać taki kawał. Zatem skoro jemu nie w smak było marnotrawienie całego dnia na podróż, to skrzętnie wykorzystaliśmy jego własny argument i udało nam się dogadać tak, żeby wilk był syty i owca cała. Nawiasem mówiąc, to on użył tego powiedzenia. Nie prostowaliśmy, ale miałem ogromną ochotę odpowiedzieć mu w tym samym tonie, żeby uważał, bo mówi się również, że nosił wilk razy kilka, a ponieśli i wilka.

– Dobrze, żeś zmilczał. Trzeba przede wszystkim uspić jego czujność. A poza tym to się jeszcze zobaczy, co z tego wszystkiego wyniknie. – Konstancja wolała zachować umiarkowany optymizm. – Nie należy dzielić skóry na żywym niedźwiedziu. Cieszyć się będziemy, gdy plan się powiedzie. Połowa drogi to jeszcze nie najgorzej.

„Ale też nie najlepiej” – dodała w duchu. Po rozmowie z Waldkiem tylko się utwierdziła w przekonaniu, że Sępińskiego trzeba się jak najszybciej pozbyć.

Teraz już była pewna, że jest nieobliczalny i niebezpieczny. Chłopak opowiedział jej, jak to ludzie dzierżawcy wjechali do lasu z przerzuconym przez koński grzbiet czymś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak worek. A potem wyjechali z pustymi rękami.

– Sam worek jeszcze o niczym nie świadczy – zauważyła trzeźwo Konstancja.

– Sam worek nie, ale gdy wystają z niego nogi, to już insza sprawa – przytomnie odpowiedział Waldek. – Widziałem na własne oczy, bo akurat wtedy w lesie sidła pozostawiane tropiłem i zdejmowałem. Ale łaskawa pani wie, jak to jest. W nie swoje sprawy lepiej się nie mieszać. Przez myśl mi wtedy nie przeszło, że to może być ktoś od nas w tym worku. A następnego dnia Maćka powieszzonego znaleźli. Gdy przecież każdy wie, że on nie był z takich, co sami sobie życie odbierają! Poza tym jest jeszcze coś – dodał po chwili milczenia.

– Co takiego? Mów, bo każdy szczegół tutaj jest istotny – łagodnie zachęciła go Konstancja.

– Tam gdzie szły konie ludzi Sepińskiego, znalazłem czapkę. Była jak wiele innych, co drugi chłopak tu we dworze taką nosi, ale ta w środku, na podszewce, miała wyhaftowaną głowę orła. A taką miał u nas tylko Maciek.

– To czemu od razu nie przyszedłeś i mi o tym nie powiedziałeś? Gdy znalazłeś czapkę z orłem, to przecież już wiedziałeś, do kogo należy!

„Może jeszcze wtedy dałoby się Maćka uratować” – pomyślała, ale nie powiedziała tego głośno. I dobrze się stało, że te słowa nie padły, bo chłopaka i tak gryzły wyrzuty sumienia.

– Strasznie się obwiniam – wykrztusił i w oczach stanęły mu łzy. – Traktowałem Maćka jak młodszego brata, w robotę go tu wprowadzałem, czasem broniłem przed zaczepkami starszych chłopaków! A tego orła, przysięgam, zobaczyłem dopiero potem! Gdy Maćka znaleźli, to takie straszne przypuszczenie, a właściwie pewność mi się na piersi położyła, że to on w tym

worku... Wtedy wyciągnąłem tę nieszczęsną czapkę, sprawdziłem i się potwierdziło!

– Rozumiem. – Konstancja wzięła głęboki oddech, po czym ujęła rękę Waldka w swoją małą, delikatną dłoń i mocno uścisnęła. W miarę możliwości trzeba było dochodzić sprawiedliwości dla zmarłych, ale oni mogli poczekać. Tymczasem tu i teraz należało zająć się żywymi. – Popatrz na mnie – nakazała mu, bo głowę miał odwróconą tak, że twarzy praktycznie nie było widać. – Proszę – dodała i wreszcie chłopak obrócił się i spojrzał jej prosto w oczy zaszklonym od łez wzrokiem. – Posłuchaj mnie uważnie. To nie twoja wina, rozumiesz? O niczym nie wiedziałeś, a nawet gdybyś wiedział, to i tak nie dałbyś rady tym zbirom. Teraz za to zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy, żeby taka sytuacja już nigdy się nie powtórzyła. Już moja w tym głowa, żeby nikogo więcej to nie spotkało!

– Ale pani dobrodziejko, ja wtedy stchórzyłem! – wyrwało mu się prosto z serca.

– Czasem strach jest dobrym doradcą – powiedziała łagodnie. – Drapieżnikom, które na co dzień nie wahają się używać kłów i pazurów, instynkt przetrwania też niekiedy podpowiada, żeby uciekać. Dlatego masz się nie obwiniać, obiecujesz?

– Spróbuję – powiedział schrypniętym od wzruszenia głosem.

– Jesteś dobrym, uczciwym człowiekiem, Waldku – powiedziała na koniec i jeszcze raz mocno uścisnęła jego rękę.

Potem patrzyła, jak odchodził w stronę zabudowań, nie mając pojęcia o tym, że podczas tej rozmowy, która trwała zaledwie kilka minut, zaskarbiła sobie na zawsze jego stuprocentowe oddanie i lojalność.

– To nawet nie będzie tak całkiem połowa, tylko trochę bliżej Wilczego Dworu – wyrwał ją z zamyślenia głos młodego Dyrylkiewicza. – Bo przecież nie będą się strzelać na środku wsi. Zaproponowaliśmy Polanę Wichrzyciela. Od

momentu gdy rozgromiono tam zbójcką bandę, każdy w okolicy wie, gdzie to jest, więc i trafić będzie łatwo.

– I zważywszy na okoliczności, pasuje jak ulał – mruknęła Konstancja. – Z Sepińskiego też jest niezły rzezimieszek. Oby się tylko nie pozabijali... A przede wszystkim, żeby Jan wyszedł z tego cało...

– Niech się już dobrodziejka na zapas nie frasuje – wtrąciła swoje trzy grosze Pelagia, która do tej pory udawała, że skrupulatnie sprawdza coś w kredensie, a tak naprawdę strzygła uszami.

Konstancja popatrzyła na nią uważnie. Zgodnie z obietnicą daną Pelasi nakazała przyszykowanie zestawu pistoletów zapakowanego w skrzyneczkę, którą opisała ochmistrzyni. Aż do teraz jednak nie przywiązywała do tego większej wagi. Przypuszczała, że zapewne z tym konkretnym kompletem wiąże się jakiś przesąd albo opowieść, która zabobonnej kobiecie pozwoli wierzyć, iż będą one szczęśliwe dla jej ukochanego panicza Janusia. Nagle dotarło do niej jednak, że coś jest nie w porządku. Pelagia była za spokojna, nie chodziła, nie biadoliła, nie załamywała rąk. Zupełnie jakby ktoś ją podmienił.

– Coś mało się Pelasia frasuje, że miły Januś życie będzie narażał – powiedziała zaczepnie i zmarszczyła brwi. – Podejrzenie mi to wygląda!

– Od razu podejrzenie! – zaprotestowała ochmistrzyni. – Jak się człowiek denerwuje i martwi, to źle, jak postanawia przyjąć, co Bóg da, też niedobrze. To niech się dobrodziejka w końcu zdecyduje, co woli! – prychnęła rozeźlona. – A teraz proszę wybaczyć, idę kuchni przypilnować, bo obiad sam się nie zrobi. A kucharki zostawione bez nadzoru przypominają, wypisz, wymaluj, zbłąkane owce! – I wymaszerowała obrażona.

– A Pelasi co się stało? – zdumiał się Jan, który cudem uniknął w korytarzu zderzenia z pędzącą ochmistrzynią.

– Mniejsza o to, przejdzie jej. – Machnęła ręką Konstancja. – Dobrze, że jesteś, bo nasi sekundanci właśnie przyjechali z nowinami.

– Strzelacie się jutro w samo południe na Polanie Wichrzyciela – powtórzył wiadomość Michał. – Wyruszymy bardzo wcześnie, bo to jednak kawałek drogi.

– Trzeba zawiadomić doktora, zaraz kogoś poślę. – Konstancja z trudem ukrywała narastające z minuty na minutę zdenerwowanie.

– Nie trzeba, wracając od Sępińskiego, zajechaliśmy do pana Gustawa – oznajmił Piotr, młodszy z braci. – Już wszystko wie. I wcale go ta nowina nie ucieszyła, bo on takich zabaw nie lubi. Strasznie zmarkotniał na samą myśl o jutrzejszym dniu. Za to pan Dionizy, jego teść, aż ręce zatarł z uciechy i zapowiedział, że przyjedzie, żeby sobie popatrzeć i krew do szybszego krążenia pobudzić.

– W takim razie chyba wszystko załatwione. – Jan wziął głęboki oddech. – Miejsce i godzina ustalone, broń przyszykowana, doktor powiadomiony, sekundanci gotowi...

– Właśnie, przydałoby się tylko ojca zawiadomić – wtrącił rezolutnie Piotr. – Bo nam się już nie opłaca do domu wracać, razem z panem Janem byśmy prosto stąd wyjechali.

– To dobry pomysł. – Konstancja z namysłem pokiwała głową. – Miejsca jest dosyć, a i snu zawsze o tę godzinę więcej będziecie mieli. O ojca się nie martwicie. Poślę do niego z wiadomością. A teraz rozgośćcie się, proszę, za chwilę Jagna przyniesie wam coś do picia. Janie, zajmij się, proszę, chłopcami, bo ja muszę coś pilnie załatwić – dodała i szybkim krokiem podążyła na podwórze. – Józek! – zawołała na kręcącego się pomiędzy zabudowaniami furmana. – Nie widziałeś Hieronima?

– To takie wielkie jak dąb chłopisko, które wszystkim tutaj trzęsie?

– Tak, to on. – Konstancja uśmiechnęła się na tak precyzyjny opis swojego rządcy.

– Jest w stajniach. Chłopaków ruga za... A zresztą nie będę rozpuszczając języka, bo wyjdzie, że jestem łachmaniarz i donosiciel.

– Chyba nie ma takiej potrzeby, bo wrzaski słysząc aż tu – mruknęła Konstancja, ruszając w stronę stajni.

– Nogi wam z tyłka powyrywam i dam psom do zabawy – krzyczał Hieronim, nie zauważywszy, że Konstancja stoi tuż za nim.

– A możesz to chwilowo odłożyć? Psy były już dziś karmione, może lepiej jutro? – zaproponowała uprzejmie, wykorzystując moment, gdy rządcą nabierał oddechu.

– No pięknie! Akurat musiała pani trafić w takim momencie!

– A czy to dla mnie jakaś nowość? – zapytała retorycznie. – Musimy porozmawiać – powiedziała, ignorując jego zakłopotaną minę.

Poszli w głąb parku i zatrzymali się na środku mostku przerzuconego przez głęboki parów, na którego dnie ciurkała woda.

– Tutaj nikt nie powinien nas usłyszeć – powiedziała, lecz i tak odruchowo zniżyła głos. – To już jutro Sępiński będzie się pojedynkował z Janem. Zgromadź ludzi i bądźcie w gotowości. Tak jak ustaliliśmy, to najdogodniejszy moment, żeby załatwić to, co trzeba.

– Też tak uważam – Hieronim z powagą pokiwał głową. – Lepiej tak, na neutralnym terenie.

– Trzeba wyruszyć nad ranem. A właściwie nocą.

– Gdzie dokładnie mamy dotrzeć?

– A widzisz, najważniejszego nie powiedziałam. Na Polanę Wichrzyciela.

– No to szczęście nam sprzyja. – Na twarzy Hieronima pojawił się drapieżny uśmiech, który stał z niej dopiero co widoczną dobroduszość. – Dobre miejsce na taką zabawę – dodał i od niechcienia zwinął ogromną dłoń w pięść.

A Konstancja, patrząc na jego potężną sylwetkę i dziki błysk w oczach, pomyślała, że za nic w świecie nie chciałaby mieć w nim wroga.

Tej nocy Wilczy Dwór spał wyjątkowo krótko. Do świtu brakowało jeszcze wielu godzin, a na podwórzu już zaroilo się od ludzi, zapłonęły pochodnie i rżały niecierpliwie konie, przeczuwające, że za chwilę będą mogły puścić się z wiatrem w zawody.

Najpierw ruszyło kilku jeźdźców. Dziedziniec znów zatopił się w mroku i ciszy. Był to jednak spokój tylko pozorny, a do tego krótkotrwały, bo oto na nowo zamigotały ognie i kolejne konie wyprowadzono ze stajni. Drzwi dworu otworzyły się na oścież i stanęła w nich postać z kagankiem w ręku. Po chwili dołączyła do niej druga – potężny niczym dąb mężczyzna.

– Jedźcie z Bogiem – powiedziała Konstancja do Hieronima i zrobiła na jego czole znak krzyża.

– Niech pani będzie spokojna, nie z takich wypraw wracałem zdrów i cały – mruknął uspokajająco i błysnął w ciemności uśmiechem.

– Pamiętaj, Hieronimie, żeby po wszystkim puścić przodem jednego z ludzi. Będę robiła, co w mojej mocy, żeby zachować spokój, ale sam rozumiesz, że nie będzie mi łatwo.

– Puszczę, nie zapomnę. Wiem, że nawet najgorsza nowina jest lepsza od niewiedzy – pokiwał głową i ruszył do swoich ludzi.

Po chwili ostatni jeździec opuszczał dziedziniec Wilczego Dworu. Jeszcze przez moment słycać było tętent koni, ale i on niebawem ucichł zupełnie. Dom znów pogrążył się w ciemności.

Konstancja nie wróciła już do łóżka. Otuliła się grubą, podszytą futrem peleryną i usiadła w fotelu przy oknie. Tak doczekała świtu, który objawił się kłębowiskiem dryfujących nad polami mgieł. Gdzieś tam, rozrywając tę siwą zasłonę, pędzili na koniach bliscy jej sercu ludzie. Jan, który mógł już nigdy nie wrócić, i Hieronim, który z kolei mógł powrócić bez tego, po co wyjechał.

Postanowiła, że nie będzie się bać, bo gdy nic nie można zrobić, strach nie ma najmniejszego sensu. Pomimo to czuła rozlewającą się po całym ciele trwogę.

Nie opuszczał jej lęk, że być może widziała dziś Jana po raz ostatni, że podczas pojedynku dojdzie do tragedii. Nie mogła okiełznać wyobraźni, która nieustannie podsuwała jej przerażoną twarz Maćka wiezionego na śmierć. Scena opisana przez Waldka wryła się w jej serce tak głęboko, że nijak nie mogła się pozbyć obrazów, które co rusz stawały jej przed oczami. Maciek pakowany do worka, Maciek szamoczący się w ostatnich drgnieniach na gałęzi.

„Czy gdybym uważniej patrzyła i pilniej słuchała, zdołałabym ocalić mu życie?” – to pytanie dręczyło ją nieustannie.

We śnie jawiła jej się twarz Maćka, która płynnie przechodziła w jasną i uśmiechniętą buzię Kaśki, a następnie potworniała w wykrzywione oblicze Sępińskiego. Mężczyzna wyciągał przed siebie dłonie zakończone szponami i usiłował coś niewiadomego nimi zagarnąć. Obudziła się zrana zlaną potem, z przeświadczeniem, że to ją chciał pochwycić. Rano opowiedziała o wszystkim Pelasi.

– Skąd takie sny? – zapytała z niezwykłą dla siebie bezradnością. – Maciek nie żyje, to jeszcze mogłabym tym tłumaczyć, że przypomina mi o sobie i prosi

o zadośćuczynienie, ale co może znaczyć twarz Kaśki i przerażająca sylwetka Sępińskiego? I uprzedzając twoje pytanie, nadal nie wierzę w te wszystkie znaki i zabobony.

– Ale? – zapytała Pelasia. – Bo jakieś „ale” musi być.

– Ale nie na żarty mnie przeraził ten koszmar – dopowiedziała uczciwie. – Może to jakiś znak z zaświatów?

– No tak, w zaświaty pani wierzy. Na mój gust to dręczą dobrodziejkę demony.

– Demony? – Konstancja zrobiła wielkie oczy.

– O tak, i to takie najgorszego autoramentu – przytaknęła poważnie Pelasia. – Niełatwo się ich pozbyć. Potocznie nazywają się wyrzutami sumienia. Co dobrodziejka powiedziała Waldkowi, gdy wyznał, że cały czas się zadrecza?

– Żeby przestał, bo to nie jego wina...

– Właśnie. Czasem warto samemu posłuchać rad dawanych innym. Niech dobrodziejka już o tym nie myśli! Trudno było coś przeciwdziałać, jeżeli nie miało się pojęcia o tym, co się dzieje. Mojej winy w tym sporo, bo powinnam od razu przyjść i powiedzieć, że coś jest na rzeczy. Teraz to już jednak nieistotne. Życia nikomu nie wrócimy, za to możemy zadbać, aby już innym się krzywda nie działa. Ale do tego trzeba mieć umysł trzeźwy i nieskażony makabrycznymi obrazami. Bo to prosta droga do szaleństwa!

Trudno było nie przyznać jej racji i Konstancja postanowiła wziąć się w garść. Mimo to świadomość, że już nie można niczego odwlec, że za moment wszystko się rozstrzygnie, sprawiała, iż nerwy znów nią zawładnęły.

Gwałtownym ruchem odrzuciła pelerynę i poderwała się z fotela. Mgły już dawno zniknęły, niebo kapało się w złotoczerwonych promieniach wschodzącego słońca. Wstawał piękny, pogodny dzień.

Aż trudno było uwierzyć, że niedaleko stąd za parę godzin ktoś zginie lub zostanie poważnie ranny.

Dwóch doskonałych strzelców mierzących tak, żeby zabić. To nie daje wielkiej szansy na ocalenie. „Trzeba by było cudu, żeby obaj przeżyli” – pomyślała strwożona.

– Jeżeli to ma być jeden z dwojga, Sepiński albo Janek, to Panie Boże, przebacz, ale wolę, żeby wrócił ten drugi – szepnęła, splatając dłonie tak mocno, że aż zbieleły jej palce.

Przez chwilę jeszcze stała przy oknie, wpatrując się w błękitne strzępki nieba wyglądające spod białych pierzastych obłoków.

– Koniec tego bezsensownego zamartwiania – mruknęła do siebie, potrząsając głową i pociągnęła za szarfę z dzwonkiem. – Skoro tam sprawy i tak potoczą się własną koleją, to moje załamywanie rąk jest zupełnie bez sensu. Jak na jeden dzień wyczerpałam już limit lęków. Pora wziąć się do działania. – Tymi słowami zwróciła się do stojącej w drzwiach sypialni Jagny. – Kto podaje dzisiaj do stołu? – zapytała.

– Marta, jaśnie pani.

– Doskonale. W takim razie zejdz i powiedz jej, że dziś zjem w pokoju. A potem wrócisz i pomożesz mi się ubrać – dodała, sięgając po leżącą na toalecie szczotkę do włosów. Jej srebrna, rzeźbiona w misterne róże rączka przyjemnie chłodziła wnętrze dłoni.

Przez moment przyglądała się leżącym na kanapie sukniom, które wczoraj kazała przygotować. Pierwsza była błękitna, atłasowa, z podwójnymi falbanami rozciętymi z przodu. Stanik^{*} miała gładki, z falbaną w tym samym kolorze. Niby skromna, ale odsłaniająca ramiona w taki sposób, że nie dało się nie myśleć o alabastrowej skórze i innych wdziękach, przykrytych błękitną, pozbawioną ozdób tkaniną.

Konstancja z lubością przejechała dłonią po gładkim materiale i spojrzała na misterne przeszute zakładki na górze rękawów, które zwięzały się znacznie ku dołowi. Specjalnie poprosiła krawcową, żeby materiał przy nadgarstkach

przylegał jak najściślej, dzięki czemu jej dłonie wydawały się jeszcze smuklejsze i bardziej drobne. Mały trik, a w niektórych sytuacjach znaczył bardzo wiele.

Obok leżał jedwabny kapelusz przybrany piórkami, a pod obwodem ozdobiony koronkami i wstążką.

Druga suknia, morowa^{**}, była strojniejsza. Kremowa, obszyta koronkami spódnica sprawiała wrażenie lekkiego, puchatego obłoku. Konstancja wiedziała, że gdy ją założy, materiał miękko opadnie wokół jej stóp i będzie falował przy każdym najmniejszym ruchu, intrygując patrzących i kusząc nigdy niemającą się spełnić obietnicą. Tak samo zresztą rękawy. Te ze skromnością nie miały nic wspólnego. Pyszniły się koronkowymi rzędami bufek i delikatnie rozszerzały ku dołowi. Były idealnym dopełnieniem całości.

– Jagna, przynieś mi gorset – zwróciła się do wchodzącej do pokoju dziewczyny.

– A po co dobrodziejka chce się pakować w to draństwo? – W uchylonych drzwiach pojawiła się głowa Pelasi. – Przecie to tylko zdrowie niszczy i kości deformuje!

– Dlatego po domu go nie noszę. Ale moda jest okrutną władczynią i nie wybacza nawet najmniejszych potknięć. Pozwoli więc Pelasia, że jadąc na urzędową rozmowę, ubiorę się jak należy.

– A gdzie to dobrodziejka się wybiera? – Ochmistrzyni weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

– Do miasta. Mam tam sprawy do załatwienia. A potem w domu też wypada wyglądać elegancko. Nie wiadomo, czym ta cała pojedynkowa awantura się zakończy, i trzeba być przygotowanym na wszelkie ewentualności.

– A jak się ma zakończyć? Dobrze będzie. – Pelasia lekceważąco machnęła ręką i bezceremonialnie odsunęła na bok Jagnę, która właśnie pojawiła się z gorsetem w garści. – Zostaw, ja dobrodziejkę zasznurowę, a ty już łap się za suknię...

– Niech Pelasia poczeka, bo ja sama jeszcze nie wiem, którą założę... I niech Pelasia ściska, siły nie żałuje – mruknęła, wciągając powietrze. – Muszę mieć talię jak osa. Komisarz Nikołaj Nikołajewicz Gołykow lubi szczupłe kobiety... – dodała, zanim zdążyła ugryźć się w język.

– Co takiego? – Pelasia zastygła z naciągniętymi gorsetowymi troczkami. – Jagna, wyjdź stąd natychmiast i żeby ci do głowy nie przyszło pisnąć choć słówko o tym, co tu usłyszałaś – nakazała dziewczynie.

– Nigdzie nie musisz wychodzić. – Konstancja westchnęła z rezygnacją. – Choć druga część polecenia Pelasi pozostaje aktualna. Ani słowa o tym, o czym tu mówimy. I przygotuj błękitną suknię. Jest skromniejsza, ale bardziej uwypukla to, co powinno zostać podkreślone. A to mi dzisiaj będzie bardzo potrzebne.

– Czyli dobrodziejka jedzie uwodzić tego psubrata? Tfu, na psa urok!

– Poniekąd, choć nie użyłabym określenia „uwodzić”. Chcę tylko lekko pobudzić jego zmysły, żeby przychylnie podszedł do mojej prośby. I dlatego muszę wyglądać nie tylko pięknie, ale też krucho, a ta błękitna suknia mi to zapewni. Są takie sytuacje, w których należy użyć każdego dostępnego oręża, a naszą kobiecą bronią jest urok – ostatnie słowa skierowała do Jagny, która odpowiedziała jej pełnym zrozumienia uśmiechem.

– Ale kokietować Moskala? To się nie godzi! – burknęła Pelagia, zawiązując tasiemki gorsetu. – Jak się w tym dobrodziejka nie udusi, to będzie prawdziwy cud – dodała z dezaprobatą, przyglądając się ściśniętej talii. – I nadal nie rozumiem po co to wszystko. Bo przecież nie o paszport chodzi, skoro z jego załatwieniem nie było żadnego problemu.

– Rzeczywiście, moja dzisiejsza wizyta u komisarza dotyczy zupełnie czego innego. Ale może sobie Pelasia darować ciągnięcie mnie za język, bo i tak niczego Pelasi nie powiem. – Odwróciła się w stronę czekającej w pogotowiu dziewczyny. – No dobrze, Jagna, wkładamy suknię – zadysponowała. – A potem zejdź na dół i każ zaprzęgać konie do powozu.

– Tego miejskiego, najładniejszego? – upewniła się dziewczyna.

– Oczywiście. I chcę, żeby pojechał ze mną Józek, woźnica pana Jana. I tak nie ma niczego innego do roboty, to sobie przynajmniej głowę przewietrzy.

– Nudzić to on się nie nudzi – roześmiała się Jagna. – Odkąd pojawiły się tu doktorowe konie, nie można go od nich oderwać. A łaskawa pani wie, że z niego to jest czarodziej?

– Jagna, a co ty znowu za głupoty gadasz! – fuknęła na nią Pelasia. – Józek i czary, to dopiero wymyśliłaś. Chyba że teraz za nim latasz i chcesz mu się przypodobać...

– Też pani Pelagia ma kosmate myśli! – oburzyła się dziewczyna. – Tylko dlatego, że młoda jestem, to od razu muszę się za każdym chłopakiem uganiać?! To ja teraz przy pani Konstancji powiem, żeby mieć świadka, że ja nie z takich! I wolę, żeby to za mną oczami strzelali, a nie na odwrót!

– No proszę, proszę, jakie to się wyszczekane zrobiło! – Pelagia pogroziła jej palcem, ale w jej głosie nie słychać było gniewu. – Tylko się na pokoje do pani dobrodziejki dostała, a już taka wygadana!

– Dobrze mówi – uśmiechnęła się Konstancja. – Nie dokończyłaś o Józku – zwróciła się do dziewczyny skupionej na zapinaniu haftek przy staniku sukni. – Dlaczego czarodziej?

– Bo wystarczy, że do konia podejdziesz, za łeb przytuli, do ucha mu poszeptasz i jakby w jego języku przemawiał! Jak zwierzak zdenerwowany, to po takiej Józkowej gadce z miejsca się uspokaja. Gdy trzeba, żeby gdzie poszedł, a nie chce, to wystarczy, że Józek popatrzy, poprosi i już idzie. A psy jak go słuchają! Uszami strzygą na każde jego słowo!

– Rzeczywiście, Jan też mi wspominał, że chłopak ma rękę do zwierząt – uśmiechnęła się Konstancja. – Widać dostał taki dar. – Obróciła się do lustra i z zadowoleniem popatrzyła na swoje odbicie.

O tak, bez fałszywej skromności stwierdziła, że w tej sukni wyglądała

przepięknie. Nikołaj Nikołajewicz Gołykow będzie zachwycony. Jego słabość do urodziwych kobiet była powszechnie znana.

„Cóż, rację miała moja mama, mówiąc, że słabości trzeba trzymać w głębokim ukryciu, bo w innym wypadku stają się bronią, której przeciwko nam mogą użyć inni. Widać biedny Nikołaj Nikołajewicz nie miał nikogo, kto by mu tę prawdę objawił” – pomyślała z lekkim rozbawieniem i usiadła przy toalecie.

– Uczesze mnie Pelasia? Mogłabym poprosić Jagnę albo Manię, bo obie mają zręczne palce, ale nikt tak jak Pelasia nie umie upiąć włosów – poprosiła z przymilnym uśmiechem.

– Uczeszę, a co mam nie uczesać. Choć nie rozumiem, po co tyle zachodu dla tego całego Gołykowa! Mam tylko nadzieję, że sprawa, z którą dobrodziejka do niego jedzie, jest warta takich zabiegów i gorsetowych męczarni! A jaki to właściwie interes? – zapytała niewinnie ochmistrzyni, jednocześnie rozgrzanymi szczypcami skręcając nad czołem Konstancji figlarne loczki.

– Oj, Pelasiu, Pelasiu! – roześmiała się Konstancja. – Trochę musi Pelasia poczekać. Przyjdzie czas, to się wszystkiego dowie.

– Nie lubię być niedoinformowana – mruknęła ochmistrzyni, robiąc nieszczęśliwą minę. – Ech, trudno, nie pozostaje mi nic innego, jak ćwiczyć cnotę cierpliwości. Niech dobrodziejka jeszcze przez moment nie rusza głową, bo jeszcze, nie daj Boże, skórę pani poparzę. O już, ostatni lok gotowy – dodała, podpinając skręcony kosmyk i podając Konstancji kapelusz.

– No i pięknie – kobieta uśmiechnęła się do swojego odbicia.

– Powóz już czeka – zawiadomiła ją Jagna i z podziwem popatrzyła na swoją panią, która właśnie zarzucała na ramiona haftowaną pelerynę obszytą szeroką, strojną falbaną.

– No to w drogę – rzuciła lekko Konstancja i nie oglądając się za siebie, wyszła z pokoju.

„Przynajmniej to zapewni mi zajęcie – pomyślała, siadając na miękkiej kanapie powozu. – To, co mam do załatwienia, wymaga maksymalnej uwagi. I dobrze, bo przynajmniej pozwoli mi nie myśleć o tym, co dzieje się teraz na Polanie Wichrzyciela”.

* Góra sukni.

** Mora – tkanina, najczęściej jedwabna, w której odpowiednie sploty wątku i osnowy dają deseń prążków mory podobny do słoju drzewa.

Nikołaj Nikołajewicz Gołykow nie mógł oderwać od Konstancji zachwyconego spojrzenia.

– I mówi pani, że rabują? – powtórzył, usiłując dyskretnie zajrzeć w głęboko wycięty dekolt swojej rozmówczynie.

– Coraz częściej słyhać skargi. Nie tylko rabują, ale ponoć i niejedno życie mają na sumieniu. – Konstancja udała, że nie czuje, jak pelerynka zsuwa jej się na bok, odsłaniając kawałek ramienia. – A pan, panie komisarzu, z całą pewnością rozumie, że w mojej sytuacji takie wiadomości niepokoją. W końcu sama jestem na gospodarstwie, a samotna wdowa może być łatwym łupem.

– O tak, łatwym łupem – powtórzył Rosjanin, ruszając wąsem. Widać było, że ten zwrot nasuwa mu całkiem inne skojarzenia, które sprawiły, że obrzucił Konstancję gorącym spojrzeniem.

– No właśnie. A tego byśmy przecież chcieli uniknąć. Niedobrze, że rabusie zaczęli się czuć bezkarnie na terenie, który jest pod pana opieką... Wiem oczywiście, że to tylko dlatego, że pan, panie komisarzu, nie miał o tym bladego pojęcia...

– Rzecz jasna! Przecież gdybym wiedział, już dawno by po nich nie został nawet najmniejszy ślad! – zapewnił ją z powagą. – Ale widzi pani Drucka-Horska, co ja tu muszę znosić. Pani rodacy raczej nie ułatwiają mi życia, a z kolei moi współpracownicy... – wymownie westchnął. – A przecież sam nie jestem w stanie wszystkiego dopilnować. Szczególnie gdy nikt mnie nie powiadomi, że coś złego się dzieje.

– Oczywiście, dlatego z miejsca z moim kłopotem i niepokojem udałam się

do pana. Wiem, że pozostawiając tę sprawę w pana rękach, mogę czuć się bezpiecznie.

– Rzecz jasna, taka jest moja rola. Umiem też docenić pani lojalność – dodał, przykrywając swoimi grubymi palcami obleczoną w koronkową rękawiczkę dłoń Konstancji. – A może... Skoro jest pani rdzenną mieszkanką tych terenów, może domyśla się pani, kto stoi za tymi rozbojami?

– Niestety, nie mam pojęcia – bezradnie pokręciła głową. – Na pewno nikt z moich ludzi, ich mam cały czas na oku. Pan wie najlepiej, panie komisarzu, że podwładnych trzeba trzymać krótko – dodała, przypominając sobie krążące o Nikołaju Nikołajewiczu Gołykowie opowieści.

Rosjanin był ponoć niesamowitym tyranem i miał skrzywienie na punkcie dyscypliny. Kolejna słabość, której wykorzystanie idealnie nadawało się do tego, żeby wkupić się w jego łaski.

– Jak na kobietę ma pani wyjątkowo zdrowe podejście – powiedział z uznaniem i z wyraźnym ociąganiem puścił jej dłoń. – Cóż, gdyby dowiedziała się pani czegokolwiek na temat tych rabusiów łobuzów, proszę niezwłocznie dać mi znać. Mogłaby też pani przesłuchać... Przepraszam, nie tak to miało zabrzmieć... Jak to mówią, przyzwyczajenie staje się drugą naturą człowieka. Jakby to ładniej ująć? Powiedzmy: przepytać swoich ludzi. Być może coś wiedzą.

– Nie omieszkać ich wy badać. I dziękuję, komisarzu, za zrozumienie dla kobiety, która znalazła się w trudnym położeniu. – Wstała i zmysłowym ruchem poprawiła pelerynę. – Jestem niezwykle wdzięczna...

– Wie pani, kto jeśli nie przedstawiciel władz miałby się zająć damą w potrzebie. Szczególnie jeżeli sprawa związana jest z bezpieczeństwem. – Gołykow dumnie wyprężył pierś i odprowadził swojego gościa do drzwi.

Patrzył jeszcze przez moment za znikającą za zakrętem szerokiego korytarza postacią.

„Co za kobieta – mruknął do siebie. – Sam miód! A jaka skóra, jaka talia, i ta błękitna sukienka, którą z przyjemnością by się z niej zdało... Albo, w mniej sprzyjających okolicznościach, wystarczyłoby jedynie zdrzeć” – rozmarzył się.

„Ale ona nie z takich – pomyślał, przywołując się szybko do porządku. – To nie pierwsza lepsza Józia czy Fruzia, którą można w ten sposób potraktować. Podobno ma rozległe znajomości. Ktoś kiedyś wspomniał nawet, że sam cesarz ma do niej sentyment. Wprawdzie w to trudno mi uwierzyć, bo niby skąd cesarz miałby znać zwykłą wdowę z tego zapyziałego kraiku... Ale ryzykować nie warto. Ach, życie! Nie ma sprawiedliwości na tym świecie” – westchnął i postanowił, że po powrocie do domu każe swojej pokojówce założyć coś niebieskiego. Wprawdzie dziewczucha nie mogła się równać z tą polską arystokratką, ale właściwie wystarczy zamknąć oczy i użyć wyobraźni.

„W końcu w tamtych partiach to one wszystkie są takie same” – pomyślał i na koniec zarechotał obleśnie.

Nad Polaną Wichrzyciela rozległy się jednocześnie dwa wystrzały, których odgłosy zlały się w jeden huk. Mężczyźni stojący z wyciągniętymi przed siebie pistoletami rozejrzeli się wokół z niedowierzaniem. Ani jeden, ani drugi nie został nawet draśnięty.

– A to ci historia – mruknął pan Dionizy, patrząc to na jednego, to na drugiego. – I to mają być ci najlepsi strzelcy? Kraj umiera!

– Nie pojmuję. – Jan spojrzał na całego i zdrowego Sępińskiego, który również nie odrywał od zdumionego spojrzenia od przeciwnika. – Po raz pierwszy mi się coś takiego zdarza...

– Nie jesteś pan jedyny – burknął wściekły Sępiński. – Taka hańba! Zwykle moje kule nie chybiają. Mierzę i zabijam nieomal z zamkniętymi oczami, więc...
– Nie zdołał dokończyć, bo z gęstych zarośli nagle wysypali się rośli mężczyźni i obstąpili go tak, że nie mógł się ruszyć.

Jan patrzył na nich zdumiony, a pan Dionizy w pierwszym odruchu złapał za rękojeść nieodłącznej szabli.

– Spokojnie! – rozległ się tuż za nimi tubalny głos i na polanę, niespiesznym krokiem wkroczył Hieronim.

– A wy co tu robicie? – zwrócił się do niego Jan. – Co to za pomysły?

– Wypełniamy tylko polecenia. – Hieronim spojrzał na przyczajonego i błyskającego wściekle oczami Sępińskiego. – A rozkaz mam taki, żeby tego oto pana dostarczyć całego i zdrowego do Wilczego Dworu – powiedział spokojnie.

– Ale jak to tak? Konstancja mi nic nie mówiła. – Jan zmarszczył brwi i spojrzał na dworskich ludzi z niepokojem.

– Wystarczy, że ja wiem, co robić – uciął krótko Hieronim. – Panie Sępiński, zapraszam pana łaskawie na koń. Opór nie ma sensu, bo widzisz pan, że przewagę mamy znaczną, a wolelibyśmy uniknąć rozlewu krwi.

– To zasadzka, to hańba! – wydyszał wściekle mężczyzna. – To się nie godzi i ja wam tego nie zapomnę. – Spojrzał na swoich sekundantów i lekko skinął w ich kierunku głową, jednocześnie wskazując oczami stojące nieopodal konie.

Mężczyźni w lot złapali, co im chce przekazać, ale nie zdążyli zrobić nawet kroku, bo natychmiast zostali ujęci za ramiona i przytrzymani w miejscu.

– Panów też zapraszam – uśmiechnął się kpiąco Hieronim. – Oj, panie Sępiński, panie Sępiński, nisko nas pan oceniasz, jeżeli myślałeś, że tego nie przewidzimy. Jak widać, nie tylko pan jest cwany lisem. No dalej, chłopcy, zbieramy się – zwrócił się do swoich ludzi. – Do Wilczego Dworu zajedziemy późną nocą, a wiem, że tam z niecierpliwością na nas czekają. Panie Sępiński, tylko bez numerów proszę – dodał, widząc, że dzierżawca rozgląda się i ewidentnie ocenia sytuację. – My u nas we dworze święte prawo gościnności szanujemy i na pewno nie zaproponujemy panu noclegu w piwnicy. A im rychlej sobie z panią dobrodziejką wyjaśnicie pewne sprawy, tym szybciej się pan pozbędziesz naszej troskliwej opieki. – Powiódł zadowolonym wzrokiem po swoich ludziach.

– Ustępuję przed przemocą – burknął w końcu Sępiński, przybierając kamienny wyraz twarzy. – Ale takich rzeczy się nie zapomina i od teraz miejcie się na baczności, mości panowie – dodał, patrząc po kolei na otaczające go twarze.

Na każdej z nich zatrzymywał wzrok na kilka sekund i było jasne, że daje tym do zrozumienia, że każdego zapamięta i nikt z obecnych nie może już czuć się bezpiecznie. A wzrok miał posępny i złowrogi. Ale Hieronim nie raz i nie dwa załatwiał już podobne sprawy i wiedział, jakich ludzi dobrać do kompanii. Niełatwo ich było wystraszyć, bo z niejednego pieca chleb jedli i niejedną bitwę

w swoim życiu stoczyli. Umieeli na nieme groźby niemą groźbą odpowiedzieć.

Sępiński chyba zrozumiał, że próby zastraszenia nic nie dadzą, i w wyniosłym milczeniu pozwolił posadzić się na konia, po czym otoczony ludźmi Hieronima, odjechał w kierunku Wilczego Dworu.

Jan odprowadził znikających za drzewami jeźdźców zamyślonym spojrzeniem.

– Wiedzieliście, co tu się wydarzy? – po chwili milczenia zwrócił się z wyrzutem do braci Dyrylkiewiczów.

– Tak – przyznał uczciwie Piotr. – To my zaproponowaliśmy to miejsce na pojedynek. Jest doskonale i do strzelania, i do zrobienia zasadzki.

– A co tam pojedynek – wtrącił się pan Dionizy, poprawiając zsuwającą się na bok czapę. – Teraz, moi panowie, trzeba siadać na koń i gnać do dworu. Tam się dopiero będzie działo! A tego nie zamierzam przegapić. Gdzie jest mój nieszczęsny zięć? – Rozejrzał się uważnie dookoła.

– Pojechał razem z Hieronimem – powiedział Jan. – Chyba uznał, że może być potrzebny po drodze.

– A to fakt, tam rzeczywiście może dojść do szarpaniny, bo ten cały Sępiński nie wyglądał na pogodzonego z losem – zgodził się pan Dionizy. – Swoją drogą, to od tej strony Gustawa nie znałem. Zawsze wydawał mi się ślamazarny i zajęczym futrem podszyty, a tu proszę! Jednak umie podjąć błyskawiczne decyzje i rach-ciach zadziałać jak trzeba. Jedziemy za nimi, panowie. Potem któryś z was opowie mi, o co chodzi z tą zasadzką i czemu aż podstępem trzeba było tego ptaszka brać.

– Ja też chętnie się dowiem, o co w tym wszystkim chodzi – wtrącił ponuro Jan. – Bo na razie to wszystko dzieje się za szybko jak na mój gust. Ledwo zdążyłem otrząsnąć się ze zdumienia po tym, jak żadna kula nie dosięgła celu, a tu kolejna niespodzianka!

– A tu masz, mój drogi chłopcze, rację – przytaknął pan Dionizy,

podkręcając węża. – Żeby nawet nie drasnąć przeciwnika, to prawie że niepojęte. Z drugiej strony nie takie cuda i dziwy się wydarzają – dodał, wdrapując się na swojego wierzchowca. – Hajda, panowie! – zakrzyknął dziarsko i wszyscy ruszyli z kopyta w kierunku dworu.

Konstancja z niecierpliwością oczekiwała Hieronima. Już zdążono jej donieść, że w pojedynku nikt nie ucierpiał.

– A widzi dobrodziejka, przecie tłumaczyłam, żeby się nie martwić – skwitowała tę nowinę Pelasia. – Skoro dała pani te pistolety, o których mówiłam, nie mogło się to skończyć inaczej.

– Oj, dość już tego kręcenia! Niech mi tutaj Pelasia gada jak na spowiedzi, o co chodzi z tą bronią. – Konstancja zamknęła drzwi od pokoju i biorąc się pod boki, zagroziła ochmistrzyni drogę do wyjścia.

– Teraz to dobrodziejka wygląda jak ta przekupka na targu – skwitowała jej pozę w ogóle nieprzejęta Pelagia. – A ja nic powiedzieć nie mogę, bo nic nie wiem. Chyba tylko tyle, że ojciec dobrodziejki strasznie strzelania nie lubił, ale czasem nie było innego wyjścia. A że wiadomo, iż pistolety w takim wypadku to najważniejsza rzecz, to i kazał ten komplet specjalnie zrobić. Żeby się czuć bezpiecznie – dodała. – Robił je mistrz w swoim fachu, przyjaciel pani ojca. I dlatego warto wybierać właśnie ten zestaw – dodała.

– Zawsze ten zestaw, powiada Pelasia. – Konstancja z namysłem pokiwała głową. – Nie inny, tylko ten bezpieczny, tak?

– Otóż to. Dobra broń użyta w odpowiednim momencie to gwarancja bezpieczeństwa – niewinnie przytaknęła ochmistrzyni.

– A więc to tak się sprawy mają... Specjalne pistolety – Konstancja uśmiechnęła się nieznacznie. – Już rozumiem, dlaczego nie kazałaś nic o nich wspominać.

– I tego radzę się trzymać – mruknęła Pelasia. – A teraz niech mnie

dobrodziejka, na litość boską, stąd wypuści, bo już dawno powinnam sprawdzić, co się dzieje na dole i co robią te leniwe dziewczuchy, które dobrodziejka tak haniebnie rozpuszcza! Kto to widział, żeby służące nosiły kolorowe czepki!

– Myślę, że dostrzegli to wszyscy, którzy u nas bywają – roześmiała się Konstancja. – Lubię widzieć, że są szczęśliwe, a te szmatki sprawiają im sporo radości – dodała i otworzyła przed Pelasią drzwi.

Jeden kamień spadł jej z serca. Jan był cały i zdrowy. Teraz trzeba było jeszcze raz a dobrze zakończyć sprawę z Sępińskim. A z tego, co przekazał jej chłopiec wysłany przez Hieronima, ten łotr właśnie do niej zmierzał – a co za tym idzie, rozwiązanie problemów z nim związanych też było blisko. Na myśl o czekającej ją rozmowie Konstancja odruchowo wyprostowała plecy i wysoko uniosła głowę. Sępiński miał zobaczyć w niej kogoś zupełnie przeciwnego niż komisarz Nikołaj Nikołajewicz Gołykow. Tamten widział piękną, bezbronną niewiastę, Sępiński miał poznać nieustępliwą właścicielkę Wilczego Dworu. Kobietę, której hartu ducha mógł pozazdrościć niejeden mężczyzna.

Kompania Hieronima dojechała do Wilczego Dworu późną nocą. Konstancja czekała na nich w salonie. Sepiński wszedł do środka w asyście dwóch ludzi, ale owa ostrożność wydawała się zbędna. Widać było, że mężczyzna ani myśli uciekać. Obrażony śmiertelnie podstępym pojmaniem, przez całą drogę zachował pełne wzgardy milczenie. Gdy stanął przed Konstancją, również nie wypowiedział ani słowa, tylko z uniesioną dumnie głową patrzył jej prosto w oczy.

– Zostawcie nas proszę samych, Hiero... – zaczęła, ale nie zdołała skończyć, bo do salonu wpadli zdyszany pan Dionizy i zaniepokojony Jan.

– Na całe szczęście zdążyliśmy. – Teść doktora głośno wypuścił powietrze. – Mości pani, jakby co, to ja i moja szabla jesteśmy na pani usługi – zwrócił się do Konstancji.

Słyszając to, Sepiński parsknął wzgardliwie i widać było, że w ostatnim momencie powstrzymał się, żeby nie plunąć starszemu mężczyźnie pod nogi.

– Doceniam pańską troskę, ale teraz wszyscy wyjdźcie! – przemówiła kobieta nieznoszącym sprzeciwu głosem. – Gdy będę potrzebowała pomocy, dam znać. Tymczasem musimy sobie z panem Sepińskim wyjaśnić parę spraw w cztery oczy – dodała i obrzuciła zebranych lodowatym spojrzeniem. – Hieronimie, wiesz, co masz robić – zwróciła się do rządcy, który skinął głową i gestem nakazał pozostałym opuszczenie pomieszczenia.

Jedynie Jan, Dionizy i Pelagia nie posłuchali i uparcie tkwili na swoich miejscach.

– Powiedziałam: wszyscy – powtórzyła Konstancja. – Wy również.

– Ale przecież... – usiłował zaproponować Jan.

– Do diabła, nie utrudniajcie! – przerwała mu ze złością. – Cztery oczy to cztery oczy! W razie potrzeby zawołam, będziecie przecież po drugiej stronie – dodała i z ulgą stwierdziła, że posłuchali.

Gdy zamknęły się za nimi drzwi, Konstancja na powrót odwróciła się do Sępińskiego. Przez moment mierzyli się wzrokiem w kompletnej ciszy.

– No i po cóż ta cała komedia z porwaniem? – w końcu pierwszy przemówił Sępiński. – Czy ja wyglądam na byle jaką branke? A może panią dziedziczkę tak chuć sparła, że musi się uciekać do podstępnego sprowadzania kochanków?

– Niech pan sobie daruje te prostackie próby wyprowadzenia mnie z równowagi – powiedziała spokojnym i opanowanym głosem. – A sposób doprowadzenia pana tutaj to tylko taki drobny żartobliwy rewanż za to, jak przyjął pan w swoje progi mego przyjaciela Jana – uśmiechnęła się niewinnie.

– Żartobliwy? Widać mamy odmienne poczucie humoru! Ja tego rewanżu, jak go pani nazywa, na pewno nie zapomnę. Nie daruję tej zniewagi! Na oczach moich ludzi! Po honorowym pojedynku!

– Z tego, co wiem, to pojedynkowi nie można nic zarzucić. Odbył się z poszanowaniem wszelkich reguł. A żeby jeszcze rozwiązać ewentualne wątpliwości, dodam, że Jan nic o moich zamiarach nie wiedział.

– Rzeczywiście, wyglądał na zaskoczonego – niechętnie przytaknął Sępiński.
– Ale sama pani przyznała, że to pani sprawka, a Jastrzębski jest pani gościem, więc niejako również odpowiada za moją zniewagę i wstyd, na który mnie pani naraziła wspólnie ze swoimi ludźmi. Wina jest wspólna i wspólnie za to odpowiecie!

– Chwilowo radziłabym wstrzymać się z groźbami. – Konstancja powoli uniosła srebrny lichtarz z płonąca świecą i z namysłem przyjrzała się twarzy rozmówcy. – Ale cieszę się, że wspomniał pan o współodpowiedzialności, bo to ułatwi nam dojście do porozumienia w tej przykłej sytuacji. Ma pan dwa

tygodnie na opuszczenie mojego majątku i mojego domu, które użyczyłam panu w dzierżawę. Wymawiam ją panu, panie Sepiński, i żądam, żeby już nigdy nie pojawił się pan w tych stronach! – Wypowiedziane głośno i wyraźnie słowa odbiły się echem od ścian.

– I ja niby tego posłucham? – Przybliżył się do niej tak, że nieomal zetknęli się czołami.

Widać było, że zamierza zmusić ją do cofnięcia się w kierunku ściany, ale Konstancja stała niewzruszona.

– Radzę ustąpić. – Zmierzyła rozmówcę wyzywającym spojrzeniem. – Nalegając na rozmowę w cztery oczy, chciałam oszczędzić panu większego upokorzenia, ale jeżeli mnie pan zmusi, zawołam tu wszystkich i nasza rozmowa będzie się toczyła przy świadkach. Albo się pan cofnie, albo reszty tego, co mam do powiedzenia, wysłuchają i moi, i pana ludzie – dodała i z zadowoleniem stwierdziła, że Sepiński zrobił krok do tyłu. – Wracając do tego, czy mnie pan posłucha... – zawiesiła na moment głos – otóż tak, myślę, że tak. Wiem o występkach pańskich ludzi, o gwałtach, rozbojach i napadach z ich udziałem. O tym, co pan wyprawia ze służbą, o mordach, których się pan osobiście dopuścił. Dobrze się przygotowałam na to spotkanie – powiedziała twardo.

– I to mnie ma przestraszyć? – Sepiński zaśmiał się szyderczo, całkowicie zarzucając pozory grzeczności. – To tylko słowa rozhisteryzowanej paniusi!

– Skoro tak pan uważa. – Wzruszyła ramionami. – Obawiam się jednak, że jest pan w tym zdaniu odosobniony. Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę, mości Sepiński, że nasz komisarz Nikołaj Nikołajewicz Gołykow jest na równi ze mną zaniepokojony zbójceckimi napaściami, których coraz więcej zdarza się w okolicy. Nie dalej niż dziś rano zapewnił mnie, że od tej chwili ta sprawa stanie się dlań priorytetem. Poza tym pytał o nazwiska, o podejrzenia. Lada moment zaczną się przesłuchania w tej sprawie. Póki co nic mu nie powiedziałam. Jakoś niczego konkretnego nie mogłam sobie przypomnieć. – Rozłożyła bezradnie

ręce. – Natomiast gdy z nim rozmawiałam, przed oczami stanęła mi pewna scena, której byłam świadkiem. Jakiś czas temu spędzałam lato w Kielcach, u rodziny mojego stryjeczego wuja. Wieczorem udałam się z innymi paniami na przechadzkę. Wuj mieszkał na odludziu, a my skierowałyśmy nasze kroki ku miasteczku. Nagle z daleka zobaczyłyśmy unoszące się złowrogo tumany kurzu. Zmrok był już gęsty i wszystko wyglądało nieco inaczej, bardziej upiornie niż w świetle dnia. Nagle z tego pyłu i mroku niczym z zaświatów zaczęły się powoli wyłaniać zarysy końskich i ludzkich sylwetek. Przypominało to orszak zjaw potępionych – przerwała na chwilę i z zadowoleniem odnotowała, że Sępiński słucha jej uważnie, najwyraźniej kompletnie nie mając pojęcia, do czego zmierza. – Dopiero po chwili wiedziałyśmy dokładniej, na co patrzymy – wróciła do opowieści. – Otóż drogą ciągnęło około trzydziestu powózek, a w każdej z nich siedział człowiek o ponurym wejrzeniu, zarośnięty jak nieboskie stworzenie, skuty łańcuchami. Każdego pilnowało dwóch kozaków z wydobytymi z pochew pałaszami. Kierowane dość zrozumiałą ciekawością i mimowolnym współczuciem pomieszanim z trwogą, podążyłyśmy za sznurem pojazdów, które wjechały w bramę kieleckiego Gmachu Leonarda. I teraz niech pan, panie Sępiński, wyobrazi sobie duży dziedziniec cały zapchany powózkami i zbrojnymi, którzy zatrzymali się tam na noc i kolejny dzień i tych ludzi: brudnych, głodnych, zarośniętych. Dniem i nocą przykutych do swych koczujących więzień.

– Nie rozumiem, po co mi pani o tym opowiada? – Po raz pierwszy podczas rozmowy mężczyzna zdradził lekkie oznaki zaniepokojenia.

– Wie pan, kim byli ci w kajdanach? – Konstancja pozornie zignorowała jego pytanie.

– A skąd niby mam wiedzieć?

– Racja – pokiwała głową. – Dobre pytanie. W takim razie już wyjaśniam: byli to rabusie ujęci z bandy ukrywającej się w sandomierskich lasach –

zakończyła, patrząc na niego uważnie. – Obcy zupełnie, a i tak ich widok przejmował grozą. Straszne by było zobaczyć w takich okolicznościach jakąś znajomą twarz... Nawet kogoś, kogo postęпки są haniebne. A komisarz Nikołaj Nikołajewicz Gołykow nie będzie miał litości. Wiem z pewnych źródeł, że jego przełożeni niecierpliwie czekają na rozwiązanie jakiejś spektakularnej sprawy. W papierach trzeba pisać o sukcesach, wyniki są ważne. Byłby pan łakomym kąskiem. Co więcej, sam pan przed momentem powiedział, że odpowiadamy nie tylko za siebie, ale też za tych, którym wydajemy polecenia – dodała, prostując ramiona.

Sępiński w końcu w pełni zrozumiał, do czego zmierzała, racząc go tą nieco przydługą opowieścią. Jego oddech stał się głośny, ręce zacisnęły się w pięści.

– Suka! – wydyszał wściekle.

– Dwa tygodnie, panie Sępiński. – Na twarzy Konstancji nie drgnął nawet jeden mięsień. – Dwa tygodnie i ani dnia dłużej! Potem przejdzie mi roztargnienie, a wróci pamięć i komisarz usłyszy wszystkie szczegóły. Teraz zaś może pan zabrać swoich ludzi i wracać do siebie. A, i jeszcze jedno. – Zatrzymała Sępińskiego tuż przed zamkniętymi drzwiami. – Radzę zapamiętać, gdzie jesteście. Tu jest Wilczy Dwór i tutaj prym wiodą właśnie, jak to pan ujął, suki – powiedziała i nacisnęła kłamkę. – Puścić ich – nakazała stojącemu po drugiej stronie Hieronimowi i jego ludziom. – Zdaje mi się, że nasza gościna nie w smak panu Sępińskiemu, więc oddajcie mu konie i niech wraca z ludźmi do siebie. Chyba już wszystko sobie wyjaśniliśmy i ustaliliśmy – dodała, patrząc, jak mężczyzna wściekle toruje sobie drogę do wyjścia.

Zatknięte w lichtarzach świece zamigotały złowrogo. W drzwiach prowadzących na dziedziniec mężczyzna odwrócił się jeszcze i zmierzył Konstancję nienawistnym spojrzeniem, które jasno dawało do zrozumienia, że tego upokorzenia nie zapomni do końca życia i będzie chciał je pomścić. Kobieta jednak nie wydawała się poruszona. Nawet jeżeli ta niema groźba zrobiła na niej

wrażenie, nie dała tego po sobie poznać.

– No to sprawa załatwiona – powiedziała, gdy za Sępińskim i jego ludźmi zatrzasnęły się drzwi. – Prawdopodobnie nigdy już nie zobaczymy ani jego, ani nikogo z jego świty.

– A ja mam na ten temat zupełnie inne zdanie – mruknął Hieronim do Jana. – Mnie się widzi, że to zaledwie początek...

– Też tak uważam. Człowiek pokroju Sępińskiego tak łatwo nie odpuszcza – zgodził się tamten. – A ty co innego mi obiecałeś! – młodszy mężczyzna zwrócił się z wyrzutem do Konstancji. – Zapewniałeś mnie, że to Hieronim będzie z nim załatwiał majątkowe sprawy.

– Zmieniłam zdanie – ucięła krótko. – To mój majątek, moja ziemia i moi ludzie. To ja decyduję o tym, jak i kto załatwia tu sprawy. I każdy, podkreślam: każdy, ma o tym pamiętać – dodała i potoczyła po zebranych twardym spojrzeniem. – A teraz, choć pora jest kontrowersyjna, chodźcie coś zjeść – dodała łagodniej. – Pelasia dopilnowała, żeby stół był bogato zastawiony i czekał na wasz powrót. Spać pójdziemy, gdy emocje trochę opadną, bo w tej chwili zapewne i tak nikt nie zmrużyłby oka – dokończyła i ruszyła przodem w kierunku jadalni.

W pewnym momencie grupa się rozdzieliła. Wszyscy domownicy i goście Wilczego Dworu podążyli za Konstancją, a Hieronim zabrał swoich ludzi do pomieszczenia przy dworskiej kuchni. Czekala tam na nich wystawna uczta. Gdy większość zajęła się jedzeniem, Hieronim przysiadł się do potężnego mężczyzny.

– Taaa? – zapytał tamten, obcierając wąsy z piwnej piany.

– Co myślisz, Wasyl? – zapytał, zniżając głos.

– To samo co ty – mruknął zapytany. – Teraz dopiero musimy mieć się na baczności, bo na moje oko to zaledwie początek zabawy z tym padlinożercą.

– Tak myślałem. Zwykle mamy podobne przecucia.

– Należy jeszcze dodać, że zawsze się sprawdzają. – Wasyl sięgnął po pełny

dzban piwa i dolał Hieronimowi do kufła. – Za naszą przenikliwość i niezawodny węch – wzniosł toast i wypił do dna.

To samo uczynił Hieronim. A potem jednocześnie odstawili kufle na stół i powiedli spojrzeniem po ucztujących mężczyznach.

– Dzisiaj im pofolguj, bo nic się jeszcze nie wydarzy. Sępiński ma za mało czasu, żeby cokolwiek przedsięwziąć. Niech korzystają ze spokoju, najedzą się i wypiją tyle, ile dadzą radę...

– Nie znasz ich możliwości, puszczą dwór z torbami – przerwał mu ze śmiechem Wasyl. – Sam wiesz, że kto do bitki, ten i do wypitki.

– Jedna noc szaleństwa nas nie zabije ani nie wyczerpie dworskich zapasów. Pilnuj ich tylko, żeby dziewczuch nie zaczepiali, bo dziedziczka tego nie toleruje i o ile na różne sprawy oko przymknie, za takie ekscesy głowy polecą na pewno.

– Jak się spiją do szczętu, to nie będą mieli siły na takie wyzwania. Zresztą co ci będę tłumaczył. Wiesz lepiej niż ja, jak to działa. Zobacz, już co niektórzy walą się pod ławy. – Wasyl sugestywnie spojrzał na dwóch śpiących na podłodze osiłków. – Dużo się wydarzyło, trzeba było działać, to i zmęczenie szybciej łapie. Szczególnie jak się je podleje dobrą wódeczką. Ja, jak widzisz, rozsądnie wybrałem piwo.

– I dobrze. Miej na nich oko. A od jutra żadnych pijatyk – Hieronim zniżył głos. – Ludzi trzeba trzymać w kupie i blisko dworu. Bo mój niezawodny węch mówi mi, że w niedługim czasie będziemy mieli co robić. – Rządca klepnął przyjacielsko Wasyla po plecach, po czym obaj jak gdyby nigdy nic zajęli się jedzeniem.

W jadalni pan Dionizy z nieskrywanym podziwem patrzył na siedzącą naprzeciwko niego Konstancję.

– Co za kobieta! Co za stalowy charakter! Jaka klasa! – z rozczuleniem powtarzał zięciowi, obgryzając pieczone kacze udko. – A ja myślałem, że wraz z odejściem pokolenia naszych matek cały gatunek takich niewiast poszedł na zatracenie! I ona, mój Gustawie, ma tylko jedno dziecko?

– Tak, syna – mruknął w odpowiedzi doktor.

– I ani jednej córki? Co za marnotrawstwo! Taki temperament i charakter powinien być w krwi przekazywany! Więcej takich kobiet nam potrzeba!

– Ojcie, więcej takich niewiast doprowadziłoby cię do szaleństwa – zauważył trzeźwo Gustaw. – Jedna to miłe urozmaicenie, ale ciekawe, co by robili na świecie mężczyźni, gdyby każdym domem trzęsła taka Konstancja.

– Jak to co? Ze spokojną głową i sercem biliby się za Polskę – burknął pan Dionizy.

– A o czym panowie tak dyskutują? – zaciekawiła się Konstancja, nachylając się w ich kierunku. – Panie Dionizy, próbował pan zupy żółwiowej?

– Taka ona żółwiowa jak ze mnie księżniczka – mruknęła Pelasia, patrząc uważnie, czy na stole niczego nie brakuje.

– Czy Pelasia zawsze musi zdradzać nasze największe kuchenne sekrety? – roześmiała się Konstancja.

– Ale co to za tajemnica? Pan Dionizy nie rodził się wczoraj i doskonale wie, że w kuchni, w której ja zarządzam, żaden żółw by się nie śmiał pojawić! A co, czy nie mamy prawdziwego polskiego jedzenia, żeby musieć się obcymi

skorupami zadowalać? Gdyby mnie chęć na takowe naszła, to raków w rzekach pod dostatkiem, a w czym ich pancerz gorszy od żółwiego? Zwać to ja to mogę zupą żółwiową, bo tak w przepisie stoi, ale już w środku żadnego pomarszczonego żółwiska nie uświadczysz! Za to cielęcinka, jarzabki, kuropatwy i bażanty, to i owszem.

– A to prawda, że przepyszna jest, i maderę i koniak czuć w znacznej ilości. Widać, że kucharz zna się na rzeczy. – Pan Dionizy z ukontentowaniem poklepał się po brzuchu. – Nie ma to jak po pełnym wrażeń dniu zasiąść do wspólnego stołu z ludźmi bliskimi sercu – dodał z rozrzewnieniem.

– Ano właśnie, wracając do wrażeń, to może by ktoś opowiedział o pojedynku? – zaproponowała kuzynka Jadwiga. – Bo jakoś nikt się nie kwapi, żeby zdać szczegółową relację.

– Ech, bo to nie ma o czym mówić. – Pan Dionizy machnął ręką. – Kule poszybowały gdzieś w krzaki, żadnego bólu, żadnej krwi... Co to za pojedynek bez najmniejszej chociażby ranki!

– A bo to pierwszy? Tu przynajmniej broń została użyta, a ja znam taki, w którym nawet i do tego nie doszło – wtrąciła ciotka Marta, rumieniąc się wdzięcznie.

– Co też pani opowiada? Pojedynek bez broni? – zdumiał się pan Dionizy. – Jak to być może?

– Nie było mnie wprawdzie przy tym, ale jeden z moich wujów odbywał rejs statkiem parowym. Nie pamiętam dokładnie, skąd i dokąd płynęli, ale działo się to gdzieś we Francji. Wśród pasażerów były też damy, a wuj, który nader cenił sobie kobiece towarzystwo, dość dużo czasu spędzał w ich gronie...

– Czemuż mnie to nie dziwi – burknęła kuzynka Jadwiga. – Wujowie tej pani słyną z niestałości...

– Każdy sądzi według swoich wujów – odparowała ciotka Marta.

– Moje drogie panie, dajcie choć raz spokój. A przynajmniej dopóki nie

dowiem się, co się stało na pokładzie – westchnął Dionizy. – Co więc z tym wujem?

– Pewnego razu był świadkiem takiego oto zdarzenia – ciotka Marta gładko wróciła do opowieści. – Jakiś nieznajomy, wcale nie bacząc na resztę kompanii, wyciągnął fajkę i nie pytając nikogo, skrzesał ogień i zapalił tytoń. Paniom to przeszkadzało, zaczęły więc grzecznie prosić, by kopcenia zaprzestał, ale jegomość jakby ogłuchł i tylko jeszcze mocniej pociągał z cybucha, dymiąc na cały statek. Za paniami ujęli się też panowie, ale ów za nic miał ich uwagi i w końcu...

– Któryś z tych dżentelmenów wyzwiał owego drapichrusta na pojedynek – wtrącił domyślnie pan Dionizy.

– A gdzie tam! – Zarumieniona ciotka Marta machnęła pulchną dłonią. – Ów nieznośnik podobno miał budzącą grozę posturę, która skutecznie zniechęcała wszystkich do wszczynania zatargów.

– Widać nie było na pokładzie prawdziwych mężczyzn z fantazją – skwitował pan Dionizy z pełnym ubolewania westchnieniem.

– Być może, ale też i miejsce nie sprzyjało takiemu rozwiązywaniu spraw. W każdym razie poproszono o interwencję kapitana. Rzecz jasna, ten ujął się za paniami i zwrócił się do palacza z grzeczną, acz stanowczą prośbą o schowanie fajki. A ten nawet nie raczył się doń odezwać, tylko ręką wskazał na stojący w kącie kajuty pałasz. Rozsierdził tym kapitana niesamowicie. Rejs chwilowo wstrzymano i statek przybił do jednej z pobliskich wysepek. Kapitan kazał przerzucić deskę, ujął pałasz i przepuścił nieznajomego przodem. Tamten zszedł przekonany, że idą się bić. Ale ledwo znalazł się na lądzie, kapitan polecił deskę wciągnąć, dobytek palacza wyrzucił na ląd, a następnie wydał rozkaz odbicia od brzegu. Ponoć jego decyzję skwitowano głośnymi owacjami.

– A to szelma z tego kapitana – ubawił się pan Dionizy. – Ale, jak to mówią, każdemu według zasług, a tamten ancymon ewidentnie zasłużył na to, by utarto

mu nosa. Właściwie to ten pojedynek był taki jak nasza zupa żółwiowa. Nieco fałszywy.

– A cóż się stało z podstępnie porzuconym? – zainteresowała się Konstancja.

– Tego już wuj nie mówił, jednak przypuszczam, że nikt nie wiedział, bo też i nie bardzo się jego losem przejęto, zanadto załazł wszystkim za skórę. – Ciotka Marta sięgnęła po kromkę chleba i położyła na niej plasterek gęziej wątróbki. – Nie wiem, jak to możliwe, ale ta wątróbka jest jeszcze lepsza niż poprzednia – westchnęła w kierunku Pelasi. – A już wtedy wydawało mi się, że smakowała po mistrzowsku.

– Kucharz twierdzi, że całym sekretem jest dodanie odpowiedniej ilości masła – powiedziała Pelagia, z troską patrząc na swoją dobrodziejkę.

Emocje powoli opadały, a zebranych coraz bardziej dawały o sobie znać potworne zmęczenie i przeżyty stres. Policzki Konstancji, do tej pory zarumienione od nadmiaru wrażeń, powoli bladły, a pod oczami coraz wyraźniej było widać ciemniejące z sekundy na sekundę sińce.

– No, moi drodzy, nie wiem jak wy, ale ja pojadłem, popiłem i teraz nadszedł czas, żeby się trochę przespać. – Pan Dionizy podążył wzrokiem za spojrzeniem Pelagii i w lot pojął powód jej zatroskania. – Nowy dzień wstanie bez względu na to, czy będziemy na niego gotowi czy też nie, a nauczony doświadczeniem wiem, że lepiej jednak witać go z jasnym umysłem. Pani Konstancjo, nie sądzi pani, że mam rację?

– Tak, stuprocentową – przytaknęła i wstała od stołu, tym samym dając innym sygnał do rozejścia się do łóżek.

– Niech dobrodziejka idzie do sypialni, zaraz przyjdzie Jagna i pomoże dobrodziejce wyplątać się z tego gorsetu – szepnęła dziedziczce do ucha Pelasia, posyłając panu Dionizemu pełen wdzięczności uśmiech. – Trzeba go było zdjąć do kolacji, widziałam, że praktycznie niczego pani nie tknęła. Ale cóż się dziwić! Jak można cokolwiek zjeść z zasznurowanym żołądkiem? – zagderała dla

porządku.

– Gorset tu nie ma nic do rzeczy. Po prostu po takim nerwowym dniu trudno o apetyt – mruknęła Konstancja, upewniwszy się, że jej słowa nie doleczą do uszu mężczyzn.

– Tak czy inaczej, trzeba to draństwo jak najszybciej ściągnąć. I proszę się o nic nie martwić. Już ja dopilnuję, żeby towarzystwo trafiło prosto do łóżek – dodała uspokajająco i z ulgą stwierdziła, że Konstancja nie ma zamiaru oponować.

Rzeczywiście, protesty nawet nie przeszły jej przez myśl. Była na to zbyt zmęczona. Zresztą już najwyższy był czas na spoczynek. Dla wszystkich to był bardzo długi i emocjonujący dzień. Opuszczając jadalnię, kobieta pilnowała, żeby iść lekkim krokiem, prostować plecy i wysoko unosić głowę. Dopiero gdy znalazła się na schodach, odetchnęła i pozwoliła sobie na przygarbienie ramion. Powoli wspinała się stopień po stopniu. Zwykle wbiegała na nie lekko i zwinnie, lecz teraz wydawały się wyjątkowo wysokie, nogi jej ciążyły, a przed oczami latały mroczki. I choć za nic w świecie nie przyznałaby się do tego głośno, to gorset cisnął ją niemiłosiernie.

„Gdyby Pelasia się dowiedziała, miałyby używanie – pomyślała lekko rozbawiona. – A mnie głowa by spuchła od słuchania jej utyskiwań i dobrych rad. Nie mówiąc już o tym, że musiałabym za każdym razem staczać z nią walkę, żeby się porządnie ubrać. Bo jak coś szkodzi, trzeba dać sobie z tym spokój. Kochana, dobra Pelasia! Czasem chciałabym żyć tak zwyczajnie i prosto jak ona – pomyślała tęsknie. – Bez krępujących gorsetów, i to nie tylko tych materiałowych, ale też tych wynikających z konwenansów i sztywnej etykiety. Tak czy inaczej, z największą przyjemnością za moment go zdejmę i...” – Nagle drgnęła przestraszona.

Z ciemności wychynęła ciemna postać i zagroziła jej drogę. Przeciąg zgasił świecę, którą Konstancja właśnie miała unieść, by oświetlić twarz stojącej przed

nią osoby.

– Pani dziedziczko, chciałem tylko powiedzieć, że rozesłałem ludzi po okolicy i dwór Sepińskiego kazałem obserwować – rozległ się w ciemności głos rządcy.

– Matko Boska, Hieronimie, rzeczywiście prawdę o tobie mówią, że skradasz się niczym kot, cicho i niepostrzeżenie – powiedziała zduszonym głosem, przyciskając drżącą rękę do piersi.

– Patrząc na mnie, to chyba nie kot, ale przynajmniej ryś i to dobrze wyrosnięty – cicho zaśmiał się rządcą. – Specjalnie się tu na panią dziedziczkę zacząłem, bo nie chcę, żeby sprawa dotarła do niepowołanych uszu.

– Myślisz, że Sepiński ma wśród nas kogoś od siebie? – Konstancja usiłowała przebić spojrzeniem nieprzeniknioną ciemność i wyczytać cokolwiek z twarzy stojącego przed nią mężczyzny.

Chociaż jej wzrok przyzwyczał się już do panującej czerni i wyławiał z niej pojedyncze kształty, szczegóły nadal otulał mrok.

– Dowodów na to nie mam, ale ostrożności nigdy za wiele.

– W takim razie nie powinniśmy tu stać. Ciemność jest zarówno naszym sprzymierzeńcem, jak i wrogiem. Nas ukryje przed oczami innych, ale i tamtych osłoni. Chodź do mnie, tam nikt nas nie usłyszy – powiedziała i nie czekając na odpowiedź, podążyła w kierunku sypialni.

Ta, w przeciwieństwie do korytarza, cała tonęła w łagodnym blasku świateł. Nad łóżkiem wisiały lichtarze, duże świeczniki stały na parapetach i małym stoliczku.

– Mów. – Konstancja starannie zamknęła za Hieronimem drzwi.

– Po prawdzie, to nie ma o czym. Na razie wysłałem czujki. Musimy wiedzieć, co się dzieje w okolicy.

– Czyli, krótko mówiąc, to jeszcze nie koniec? – zapytała, patrząc mu w oczy.

– Na mój gust nie pójdzie tak łatwo. Sępiński zechce się mścić – powiedział szczerze. – Nie będę kłamał i uspokajał, bo to się mija z celem. Lepiej być przygotowanym na wszelkie niespodzianki.

– Zgadzam się. Tylko widzisz, nie rozumiem... Postawiłam mu ultimatum. Wie, że nie żartowałam i że nie były to czcze pogrożki. Nie zaryzykuje, tym bardziej że sumienie ma nieczyste. Co w takiej sytuacji może zrobić?

– A żebym to ja wiedział. – Rządca wzruszył ramionami. – Ale niech mi pani zaufa, to dopiero początek... Wyczytałem to w jego oczach... – Tu przerwał, bo drzwi sypialni się otworzyły i stanęła w nich Jagna, a tuż za nią Jan.

Oboje popatrzyli na Hieronima i Konstancję w osłupieniu.

Przez moment w pomieszczeniu panowała pełna niezręczności cisza. W końcu pierwsza opanowała się Konstancja.

– Jagna, wyjdź proszę, za chwilę cię zawołam – nakazała, jak gdyby nigdy nic. – A ty, Janku, wejdź do nas...

– Nie, dziękuję – odparł lodowatym tonem. – Chciałem ci tylko życzyć dobrej nocy, co niniejszym czynię. – Ukłonił się sztywno i odszedł w głąb ciemnego korytarza.

– Cudownie, teraz się rozniesie, że mi się na amory z dziedziczką zebrało – mruknął Hieronim. – Moja w domu zgotuje mi niezłe piekło, bo zazdrosna jest jak sto diabłów!

– Nic się nie rozniesie. Umiem dopilnować, żeby służba nie trzepała bez potrzeby językami – zapewniła go stanowczo Konstancja. – Że też wyleciało mi z głowy, że Jagna miała tu zaraz przyjść...

– Jagna to jedno, jak jej pani nakaze, to będzie milczeć, to dyskretna i mądra dziewczyna, ale pan Jan nie wydawał się zachwycony moim widokiem – zauważył rządca trzeźwo.

– Pan Jan jest moim gościem, i tylko gościem – słowo „tylko” wymówiła z naciskiem. – Chciałabym, żeby to było jasne. I nic mu do tego, z kim i gdzie

rozmawiam – dodała stanowczym tonem, choć w duchu przeklinała swoją lekkomyślność.

„Jeszcze tylko mi tego brakowało, żeby sypnęły się plotki o mojej rzekomej miłostce” – myślała, ponuro patrząc na zamykające się za Hieronimem drzwi. Jagny i Jana się nie obawiała, ale może ktoś jeszcze ich widział, gdy wchodzili do sypialni?

„Jak mogłam być tak nieroztropna?” – zgañała się w duchu. Usiadła na fotelu i ukryła twarz w dłoniach. Po chwili jednak wyprostowała przygarbione plecy, uniosła głowę i zawołała Jagnę.

– Wiesz, co ci chcę powiedzieć? – zapytała, patrząc dziewczynie prosto w oczy. – Nic z tego, co tu widziałas i słyszałas...

– Nie wiem, o czym pani dziedziczka mówi – przerwała jej dziewczyna.

– Słucham? – Konstancja zmarszczyła brwi.

– Po prostu: nie wiem, o czym pani mówi. Nic nie widziałam i nic nie słyszałam. Weszłam tu dopiero w tej chwili, żeby pomóc dobrodziejce zdjąć suknię...

– Ano tak. To brzmi rozsądnie. – Pokiwała głową Konstancja i spojrzała na służącą ze wzmożonym zainteresowaniem. „To mądra i dyskretna dziewczyna”, zabrzmiały jej w uszach słowa Hieronima.

– Wiesz, Jagna, chyba cię zwolnię z obowiązków na dole – oznajmiła. – W kuchni i na pokojach sobie bez ciebie poradzą, natomiast tu przyda się ktoś, kto będzie tylko i wyłącznie przy mnie – powiedziała z namysłem, nie spuszczając z niej wzroku.

– O matulu! Pani dziedziczka tak na poważnie? – Służąca pokraśniała i przycisnęła dłonie do zarumienionych policzków.

– Najzupełniej. W takich sprawach nie żartuję. A teraz pomóż mi zdjąć ubranie i przygotuj łóżko. Obudzisz mnie, jak tylko się dowiesz, że pan Jan już wstał. Muszę z nim porozmawiać, zanim zejdzie na dół – dodała i przymknęła

oczy.

Była skonana, a kolejny dzień zapowiadał się na równie męczący. Słowa Hieronima zaniepokoiły ją bardziej, niż chciała dać po sobie poznać. Wielokrotnie już przekonała się, że rządca ma niesamowity, nieomal zwierzęcy instykt, który zawodził go niezwykle rzadko. Jeżeli przeczuwał, że Sepiński nie powiedział jeszcze ostatniego słowa, prawdopodobnie miał rację. Jeśli zaś przypuszczał, że wśród służby znajduje się donosiciel, najpewniej tak było. Trzeba będzie się mieć nieustannie na baczności.

„I jak ja mam w tej sytuacji wyjechać? – pomyślała zgnębiona, wsuwając się do chłodnej pościeli i przytykając zziębnięte stopy do gorącej cegły owiniętej w grubą warstwę płótna. – Jak mam zostawić Wilczy Dwór bez nadzoru i opieki? A jechać przecież muszę. Tam gdzieś daleko w samotności umiera Mira. Muszę zdążyć się z nią pożegnać. Muszę ją zapewnić, że jej dziecko będzie ze mną bezpieczne, i usłyszeć, że nie ma do mnie żalu. Muszę...” – niedokończona myśl zatrzepotała pod przymkniętymi powiekami i znikła. Zmęczenie wzięło górę nad niepokojem i Konstancja zasnęła. Spała mocno, nie niepokojona przez żadne sny ani nocne widzenia. Tak jakby coś, co nad nią czuwało, chciało dać jej jak najwięcej siły, aby mogła stanąć do walki z tym, co niebawem nadejdzie.

Konstancja nawet nie chciała myśleć, jakim cudem Jagnie udało się wypełnić jej polecenie. Przypuszczała, że dziewczyna w ogóle się nie kładła, zresztą świadczyły o tym jej podpuchnięte, okrażone cieniami oczy. Tak czy inaczej, obudziła Konstancję, gdy tylko Jan poprosił o przyniesienie miski z wodą do porannej toalety.

– Dopiero co wstał – zaszepotała konspiracyjnie. – Będzie się teraz ubierał.

– Czyli nie mamy zbyt wiele czasu – skwitowała Konstancja, ochlapując twarz zimną wodą. – Posłuchaj, ja sama sobie tutaj poradzę, zresztą zamierzam tylko narzucić na siebie poranny peniuar, a ty idź i pilnuj, a kiedy chłopak pomagający Janowi wyjdzie, daj mi znać. Potem pójdziesz do siebie i odpoczniesz. Dzisiaj masz wolne. Musisz odespać – powiedziała z troską, popatrując na półprzytomną dziewczynę.

Ledwo zdążyła zawiązać ostatnie tasiemki przy peniuarze, a już Jagna dała jej znak, że Jan został sam.

Wychodząc z sypialni, Konstancja omiotła jeszcze swoje lustrzane odbicie krytycznym spojrzeniem. Włosy miała w nieładzie, a na policzku odcisnęło się zagniecenie poduszki. „Komisarz Nikołaj Nikołajewicz Gołykow nie byłby zachwycony, widząc mnie w takim stanie – pomyślała z ironią. – Nic bym z nim nie ugrała taka sauté*, niedopracowana... Na całe szczęście wczoraj był mną zachwycony. Ale mniejsza z nim, teraz muszę skupić się na Janie” – nakazała sobie w duchu i zapukała do gościnnego pokoju. Weszła natychmiast po usłyszeniu krótkiego „otwarte”.

– A, to ty. – Jan obrzucił ją mało przychylnym spojrzeniem.

– Tak, to ja. W nocy, a właściwie nad ranem, nie wypadło cię nachodzić...

– Co za skrupuły, proszę, proszę! – przerwał jej bezpardonowo. – Jakoś nie widziałem, żebyś je miała w innych okolicznościach!

– Nie bądź żaloszny! Zachowujesz się jak zazdrosny mąż, gdy tymczasem... – Przerwała, rozkładając bezradnie ręce. – Nawet nie wiem, jak to ująć! Przypominam, że jesteś żonaty! A do mnie nie masz żadnych praw.

– Nie ma to jak wiadro zimnej wody wylane na głowę z samego rana! Ciekaw jestem, jakim prawem, skoro o prawach mowa, prawisz mi morały?

– Bo boli mnie, że mój przyjaciel, który twierdzi, iż dobrze mnie zna, tak łatwo mnie osądził – powiedziała, opierając się plecami o drzwi i patrząc mu w oczy. – W gruncie rzeczy powinnam się teraz odwrócić na pięcie, wyjść stąd i nigdy już się do ciebie nie odezwać. Ale to by znaczyło, że zachowuję się tak jak ty i obrażam jak byle jaka panienska. Nie lubię niedopowiedzeń i domysłów. Gdybyś rozumował trzeźwo, to wszedłbyś do środka wczoraj, gdy cię wołałam, i wysłuchał tego, co Hieronim miał nam do powiedzenia. Nie zrobiłbyś też z siebie takiego błazna. Ale skoro już stało się, jak się stało, to chciałam cię ostrzec, żebyś uważał. Mój rządca przypuszcza, że Sępiński ma kogoś ze swoich ludzi tu, we dworze. Trzeba się więc mieć na baczności, ostrożnie mówić o tym, co się zamierza, i mieć oczy dookoła głowy. Hieronim twierdzi też, że ten łotr będzie się mścić. Nie mam pojęcia, w jaki sposób, ale doświadczenie nauczyło mnie żeby w takich kwestiach mu ufać. To tyle – zakończyła i odwróciła się z zamiarem wyjścia.

– I nawet nie skomentujesz tego, że zastałem was w twojej sypialni? – Jan nie ukrywał zdumienia.

– Teraz jestem w twojej i czy to coś znaczy? – odpowiedziała pytaniem na pytanie. – Tylko winni się tłumaczyć. I tylko głupcy rzucają bezpodstawne oskarżenia. Naprawdę masz mnie za taką idiotkę? Obrażasz mnie, jeżeli uważasz, że gdyby rzeczywiście coś mnie z nim łączyło, to dałabym się w tak banalny

sposób nakryć – dodała z szelmowskim uśmiechem, którego nie udało jej się powstrzymać.

– Ciebie to bawi – skonstatował ze zdumieniem jej towarzysz.

– Gdy udaje mi się nie myśleć o tym, jak bardzo jestem na ciebie wściekła, to przyznaję, rozbawienie wygrywa – przytaknęła.

– Czyli zrobiłem z siebie głupka – mruknął po chwili, spuszczać głowę.

– Cóż, przez grzeczność nie zaprzeczę. Ale cieszę się, że rozum ci wrócił. Hieronim jest szlachcicem, doskonałym rządcą i wiernym przyjacielem. I bardzo mądrym człowiekiem. Nie istnieją żadne powody, dla których trzeba by było traktować go z góry. Przez te wszystkie lata zajmowania się dworem zbliżyłam się z niektórymi ludźmi. On, Wasyl, Pelagia i kilkoro innych to praktycznie domownicy. Przyzwyczaj się, że tak to wygląda, a wszystkim będzie łatwiej.

– Nie wracajmy już do tego – odchrząknął Jan. – Przepraszam.

– Już nie pamiętam, o czym mówisz – uśmiechnęła się, puściła do niego oczko i nie czekając na jego reakcję, wymknęła się na korytarz.

Gdy tylko wróciła do swojej sypialni, energicznie pociągnęła za szarfę dzwonka. Czekając, aż ktoś się zjawi, układała w głowie plan dzisiejszego dnia. Ewidentnie trzeba było zacząć przygotowywać się do podróży. Pojedynek, który do tej pory opóźniał wszystkie działania, już się odbył. Teraz trzeba było przyspieszyć.

„Dwór zostawię pod opieką Hieronima i Pelagii. – W zamyśleniu zabębniła palcami o parapet. – Dadzą sobie radę. Hieronim ma świadomość zagrożenia i pod moją nieobecność tylko wzmoże czujność. Ale jeszcze zanim gdziekolwiek wyruszę, sprawdzę, co z Kaśką. Już dawno powinnam się była tym zająć...”

– O jak dobrze, że Pelasię widzę – uśmiechnęła się na widok ochmistrzyni. – Niech no Pelasia mi powie, Kaśka już urodziła?

– Nie, jeszcze nie, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Zresztą przecież obiecałam, że jak się czegoś nowego dowiem, to z miejsca dobrodziejce dam

znać.

– Całkiem dobrze się składa – mruknęła Konstancja.

– Że nie urodziła czy że nie wiem co u niej? – Pelasia spojrzała na nią nieufnie.

– To pierwsze. Jeszcze dzisiaj muszę się rozmówić z jej ojcem. A potem... Potem wszystko ci przekażę – stwierdziła, podając ochmistrzyni szcztokę.

Pelasia już otwierała usta, by zasypać swoją dobrodziejkę mnóstwem pytań, ale w ostatnim momencie ugryzła się w język. „A po co mi to wszystko wiedzieć? – pomyślała z westchnieniem, szcztokując grube lśniące pukle. – I tak zrobi, co będzie chciała, a kto wie, czy jak ja jej tak gadam i gadam, żeby dała sobie spokój, to tylko bardziej jej w zamiarach nie utwierdzam? Niech rozmawia z Leonem, oby tylko podróż na bagna odpuściła. To nie miejsce dla takich jak ona. Panie Boże, niechże ona już jedzie do tej biduli Miry. Tam jest bardziej potrzebna. A tymczasem tutaj sprawy potoczą się własnym torem” – poprosiła w duchu.

Jej palce machinalnie zwijały misterne loki i układały je w modną fryzurę, a usta bezgłośnie szeptały prośby. Każda z nich tyczyła tego samego: szczęścia i bezpieczeństwa Konstancji, którą Pelagia kochała tak samo jak własne córki.

* W tym wypadku: naturalna.

Przez kolejne dni Wilczy Dwór żył przygotowaniami do wyjazdu Konstancji i Jana. Ze strychu ściągnięto dawno nieużywane kufry i wielką torbę uszytą z grubego gobelinowego materiału.

– Tę torbę jeszcze babka dobrodziejki zabierała ze sobą w podróż jako bagaż podręczny, w którym trzymała najpotrzebniejsze rzeczy – mówiła Pelasia, trzepiąc energicznie zakurzony materiał.

– W takim razie musiała mieć strasznie dużo pod ręką. – Konstancja sceptycznie patrzyła na siwą chmurę unoszącą się nad głową Pelasi.

– A co dobrodziejka myśli, trzeba przecież zabrać i pierzynę, i miski, i sztucce... A rzeczy do toalety, a wachlarz, a odpowiednie stroje?

– No, chyba nie chce mi Pelasia powiedzieć, że w tym oto worku woziła pierzynę...

– E tam, bo z dobrodziejką to taka rozmowa! Żarty sobie z człowieka tylko stroi i tyle! – zachnęła się ochmistrzyni.

– Dobrze, już dobrze, przepraszam. – Konstancja zamachała rękami, jakby odganiając się od Pelasinych zarzutów. – Tyle tylko że ja zabiorę jedynie to, co naprawdę niezbędne. To nie podróż poślubna ani krajoznawcza. Wie Pelasia przecież, po co jadę.

– Wiem, wiem, ale tym bardziej trzeba wyglądać godnie. Nadal nie mogę uwierzyć w to, co usłyszałam. A może tym razem lekarze się mylą? Może da się jeszcze ją uratować?

– Cuda się zdarzają, ale Jan twierdzi, że lekarze są zgodni, a badało ją kilku. Nie dają jej żadnych szans.

– Póki życia, póty nadziei – skwitowała kobiecina, po czym pociągnęła nosem i z jeszcze większą mocą zaczęła tłuc zakurzoną torbę. – I tego się będę trzymała. W głowie mi się nie mieści, że ona, taka śmiała, roześmiana, nieustępliwa... – Umilkła, ukradkiem wycierając oczy. – Tyle musiała wycierpieć, żeby tę jej kruszynę córeczkę zaakceptowano i teraz, gdy już jako tako jej się poukładało, miałyby odejść? To by była czysta niesprawiedliwość. Ksiądz wprawdzie cały czas mi powtarza, że nie można podawać w wątpliwość wyroków boskich, ale muszę dobrodziejce się przyznać, że tym razem w ogóle nie obchodzi mnie to, czy bluźnię!

– Pelasiu! To do Pelasi niepodobne – wykrztusiła zdumiona Konstancja.

– Wiem, wiem, nie powinnam! Wypowiadam się przed naszym proboszczem, ale dopiero gdy poczuję skruchę, bo jak na razie nijak jej nie mogę w sobie odnaleźć... To kiedy dokładnie wyruszać? – ochmistrzyni zmieniła temat.

– Pojutrze. Wszystko zdążymy zapakować, formalności mam załatwione, paszport wydany. A jutro niech sobie Pelasia tak rozplanuje zajęcia, żeby popołudnie mieć wolne – powiedziała Konstancja, siląc się na lekki ton.

– A pewnie, przecież wiem, że muszę być przy pakowaniu – zgodziła się ochmistrzyni. – Z samego rana rozporządzę służbą. Przede wszystkim o pokojówki i podkuchenne chodzi. Kucharza mamy świetnego, ale nie umie sobie radzić z babami, więc te wchodzą mu na głowę. Trzeba twardą ręką trzymać to towarzystwo, bo inaczej tylko amory im w głowie. Jutro wyjątkowo będą sobie musieli poradzić sami. Ostatecznie w ciągu jednego dnia nie zrujnują przecie całego gospodarstwa...

– Taką im dała Pelasia szkołę, że z całą pewnością nawet podczas dłuższej Pelasi nieobecności wszystko będzie funkcjonowało jak w zegarku – uśmiechnęła się Konstancja i pomyślała, że nie będzie kobieciny wtajemniczać w to, co miało się wydarzyć nazajutrz.

„Przyjdzie czas, to się wszystkiego dowie. Po co ma się niepotrzebnie zadreć” – stwierdziła w duchu.

Jak się okazało, podjęła bardzo dobrą decyzję, bo wszystko potoczyło się zupełnie nie tak, jak planowała.

Wieczór był ciepły. W powietrzu czuć było nadchodzący maj, który miał w zwyczaju zalewać ziemię potokiem zieleni, przesycać ogrody zapachami kwitnących kwiatów, drzeć w powietrzu słowiczymi trelami. Był to ulubiony miesiąc Konstancji. Niósł ze sobą obietnicę spełnienia i przekonanie, że świat jest jeszcze młody. A wraz z nim młodniały również ludzkie serca.

Konstancja wymknęła się z dworu i głęboko wciągnęła powietrze. O tak – czuć w nim było zapowiedź zapachu bzu, jaśminu i pierwszych miłości.

„Ewidentnie w maju jest coś specyficznego, co sprawia, że z większą wiarą spogląda się w przyszłość” – myślała, przemykając się chyłkiem w kierunku parku.

Nie miała ochoty na towarzystwo i odetchnęła z ulgą, gdy upewniła się, że nikt za nią nie biegnie i nikt jej nie woła. Potrzebowała chwili samotności. Tym bardziej że nie wiedziała, kiedy kolejny raz będzie miała okazję побыć sam na sam ze sobą. Wspólna podróż z Janem raczej to wykluczała.

Powoli szła ciemną aleją w stronę stawu. W pewnym momencie drzewa i krzewy rozstały się i w świetle księżyca ukazała się lśniąca czarna powierzchnia. Lekki wietrzyk tworzył na tafli małe fale, które przetaczały się z cichym pluskiem ku brzegowi i miękko rozbijały o piasek. Co chwila słychać było trzepotanie kaczych skrzydeł i tajemnicze chlupoty. Konstancja ruszyła w kierunku stojącej na brzegu drewnianej altanki, porośniętej dzikim winem. Przysiadła na szerokiej ławie i przymknęła oczy. Wiedziała, że nie może zbyt długo tu zostać. Wystarczy, że Pelagia zauważy jej nieobecność, i z miejsca postawi na nogi cały dom. Ostatnimi czasy wszyscy chodzili jak na szpilkach

i wyraźnie jej pilnowali. Czuwali też nad domem, ale widać było, że boją się, iż Sępiński uderzy bezpośrednio w nią. Nie pomagało tłumaczenie, że każdy, nawet najgorszy drań, ma swój rozum i na pewno nie zrobi niczego, co mogłoby go pogrozić. Hieronim wiedział swoje i ewidentnie podzielił się tymi przypuszczeniami i z Janem, i z Pelagią. Zresztą nie tylko z nimi, bo Konstancja już kilka razy zauważyła, że obserwuje ją Wasyl, prawa ręka Hieronima. Podążał za nią, gdy wychodziła na swoją poranną przechadzkę, przypatrywał się, jak rozmawia z ludźmi czy dogląda ochronki. Powoli zaczynało ją to denerwować i w tym kontekście cieszyła się na nadchodzącą podróż. Może podczas jej nieobecności minie wszystkim ta paranoja.

To był jednak jedyny aspekt, który ją cieszył. Wszystkie inne napawały ją przerażeniem. Bała się zobaczyć Mirę zmienioną, zniszczoną i złamaną. Bała się jej żalu i swoich wyrzutów sumienia. Bała się spotkania z jej córką, którą widziała zaledwie kilka razy, i to w niemowlęctwie.

„Czy będę potrafiła zaopiekować się obcym dzieckiem? – pytała się z trwogą. – Przecież Mirę kochałam, a i tak ją opuściłam. Zapomniałam o niej. Ba, przecież sama siebie nie muszę okłamywać, ja po prostu nie chciałam o niej pamiętać. Nie chciałam mieć do czynienia z nikim, kto miał związek z przeszłością. Kto ocierał się o moje dawne życie. Czy to możliwe, że w ten oto okrutny sposób los się mści? Wszystko, co kojarzyło mi się z Tadeuszem, wraca – tyle tylko że zniekształcone, nie takie jak kiedyś. Zupełnie jakbym patrzyła w krzywe zwierciadło...”

Nagle nieopodal altanki usłyszała wyraźne kroki. Ktoś przystanął przy drewnianej ścianie, tak aby pozostać niewidocznym.

„Cudownie, to tyle z mojej samotności” – skrzywiła się mimowolnie.

– Hieronimie, nie musisz się tam czaić – powiedziała z westchnieniem. – Wchodzi ci w zwyczaj zaskakiwanie mnie w ciemności. Jak tak dalej pójdzie, żona rzeczywiście złozi ci skórę, bo dojdzie do wniosku, że zbyt często cię ze mną

widuje. – Uśmiechnęła się i podniosła z ławki.

– Usiądź i się nie ruszaj. – Głos, który przeciął powietrze, sprawił, że stanęła w pół kroku.

Był dziwny, schrypnięty, ni to męski, ni kobiecy. I z całą pewnością nie należał ani do Hieronima, ani do nikogo, kogo znała.

– Słucham? – Konstancja ledwo zdołała wykrztusić odpowiedź. Gardło miała ściśnięte, głos jej drżał. – Kto to?

– Nie mam czasu się przedstawiać. Skoro mówię, żebyś usiadła, to siadaj – nakazał głos niecierpliwie. – Dobrze – pochwalił, gdy z powrotem zajęła miejsce na ławie. – Wiem, że wybierasz się w podróż. – Mówiący musiał przybliżyć twarz do desek, bo Konstancja miała wrażenie, że szepcze jej wprost do ucha. – Nie możesz jechać, aż... – Głos się zawahał i na chwilę umilkł.

– Aż? – odszepnęła Konstancja pobielającymi wargami, mocno zaciskając ręce na podolku.

Jej serce tłukło się tak, że miała wrażenie, że zagłuszy słowa, które za chwilę padną. Przytuliła twarz do ściany, żeby słyszeć jak najlepiej i nic nie uronić. Udało jej się już opanować pierwszą, obezwładniającą falę strachu i teraz, choć nadal się bała, usiłowała wyłowić jak najwięcej. Wsłuchiwała się w każdy szmer i odgłos. Notowała w pamięci każdy głębszy oddech, trzaśnięcie gałęzi.

– Nie możesz się stąd ruszyć, aż coś się nie wydarzy. Nie przeoczysz tego z całą pewnością. Nie opóźnisz też zbyt swojej podróży, ale wprzód musisz ogłosić wśród ludzi, że nie jedziesz. Że plany uległy zmianie. Rozumiesz? – Głos zasyczał jej wprost do ucha.

– Tak, chyba tak – przytaknęła Konstancja, marszcząc brwi.

Coś w brzmieniu tego głosu nie dawało jej spokoju. Z czymś się jej kojarzyło, ale nie mogła sobie uświadomić, z czym konkretnie.

– I jeszcze jedno. Nie wierz od razu wszystkiemu, co usłyszysz. Nie zawsze to, co wybija się na pierwszy plan, jest tym, na co powinniśmy patrzeć.

– Co to znaczy? – zapytała, potrząsając głową, ale odpowiedziała jej cisza. – Słyszysz? Kimkolwiek jesteś, podpowiedz mi, jak mam to rozumieć! – zawołała, ale nadal nie uzyskała odpowiedzi.

Zerwała się z ławy i niewiele myśląc, wybiegła z altanki, by spojrzeć na ścianę, przy której powinna stać tajemnicza postać. Nikogo jednak nie zobaczyła. Tylko szuwary porastające brzeg stawu kołysały się łagodnie i srebrzyły w świetle księżyca. Konstancja raz jeszcze rozejrzała się wokół, lecz nie zobaczyła nic niepokojącego. W końcu jej spojrzenie podążyło w głąb ciemnej czeluści parku. Rosnące gęsto drzewa, gdzieniegdzie tworzące wręcz nieprzebyte gąszcz, skutecznie blokowały dostęp księżycowej poświaty. Jeżeli ktoś chciał się wśród nich ukryć, bez trudu mógł to zrobić.

„Mogę pobiec do dworu i wypuścić psy – myślała gorączkowo, cały czas czujnie rozglądając się dookoła. – Z miejsca wytropią intruza i tajemnica zostanie rozwiązana”. Uchwyciła się tego pomysłu i szybkim krokiem ruszyła w kierunku domu. Raz po raz oglądała się za siebie, popatrując na ciemną wodę stawu. Nagle przystanęła. Wydawało jej się, że w ciemnych zaroślach na brzegu błysnęły żółte ślepie. Księżyc, który na moment skrył się za chmurami, pojawił się w całej okazałości i wydobył z czerni nocy potężny kudłaty kształt.

Konstancja po raz kolejny tego wieczoru znieruchomiała i po raz kolejny poczuła, że serce tłucze się jej w piersi.

„Albo ogromny pies, albo wilk – pomyślała, starając się nawet nie mrugnąć. – Legenda mówi, że wilki nie ruszają ludzi z Wilczego Dworu, a ludzie stąd nie polują na wilki” – usiłowała się pocieszyć. Ale legenda to tylko legenda. Choć rzeczywiście odkąd pamiętała, to niepisane prawo było przez ludzi przestrzegane. Ku wielkiemu utrapieniu Tadeusza, zapalonego myśliwego, który zupełnie nie rozumiał, dlaczego mając las pod nosem, musi na wilcze polowania jeździć szmat drogi. Dostosował się jednak, rozumiejąc, że każdy dom ma swoje tradycje i obyczaje. Kochał Konstancję i szanował jej rodzinę, a to do czegoś

zobowiązywało. Te wszystkie myśli przelatywały jej przez głowę z szybkością błyskawicy. Zwierzęca sylwetka trwała bez ruchu, ale Konstancja miała nieodparte wrażenie, że wilk nie spuszcza jej z oczu.

Nagle za jej plecami rozległ się szmer, a zaraz potem odgłos kroków. Zabłyły pochodnie. Kobieta odwróciła się i z ulgą dostrzegła kilkoro ludzi, na czele których szedł Hieronim.

– Ale nam dziedziczka napędziła strachu – powiedział, podchodząc do niej szybko. – Tyle razy prosiłem, żeby w tych wyjątkowych okolicznościach nie włóczyć się samotnie! Szczególnie po nocy! Cały dwór przetrząsnęliśmy...

– Hieronimie, poczekaj – weszła mu w słowo. – Spójrz przed siebie, za staw. Co widzisz?

Rządca zaskoczony zamilkł i posłusznie popatrzył na ciemną tafłę połyskującą w blasku księżyca.

– Nic, a co powinienem widzieć?

– Nie ma tam psa? Albo... – Zawahała się przez moment, zastanawiając się, czy powinna kończyć.

– Albo? – Hieronim zmarszczył brwi.

– Wilka – dokończyła cicho.

Rządca wyteżył wzrok.

– Nic nie widzę. Wilki nigdy nie podchodziły tak blisko. Ale mogę wysłać ludzi, żeby sprawdzili, czy nie zostawił śladów – powiedział w końcu.

– Nie ma takiej potrzeby. Pewnie to tylko jakiś zabłąkany kundel. – Konstancja obejrzała się za siebie i stwierdziła, że rzeczywiście kudłaty kształt zniknął. W głębi serca nie wierzyła w żadnego psa. Zwierzę miało wilczą sylwetkę i charakterystyczną postawę. – Widać przestraszył się ludzi i uciekł – dodała jakby nigdy nic.

– Pewnie tak. Ale swoją drogą, trzeba coś z tym zrobić. Ostatnio ludzie ze wsi skarżą się na zdziczałe psie stada, które błąkają się po okolicy. Dobrze, że

tutaj zjawił się pojedynczy osobnik, bo przy całej watasze mogłoby się to źle dla jaśnie pani skończyć. Zajmę się tym problemem.

– A skoro już o problemach mowa... – mruknęła i spojrzała na rządcę znacząco.

– Co się dzieje? – zapytał i z miejsca jego potężna postać wyprostowała się jeszcze bardziej, a oczy potoczyły wokół czujnym spojrzeniem. – Dobrze rozumiem, że nie tylko o psy chodzi?

– Tak, ale to nie jest najlepsze miejsce na rozmowę. Gdy dojdziemy do dworu, odeślesz wszystkich ludzi poza Wasylem. Jemu ufasz, prawda?

– Bezwzględnie.

– Tak mi się właśnie wydawało. Niech więc zostanie. A teraz chodźmy.

– Skoro zguba się znalazła cała i zdrowa, to wracamy – Hieronim krzyknął do stojących w pewnej odległości mężczyzn. – Wasyl, podejdź no, odprowadzimy dziedziczkę do domu. Reszta niech wraca do chałup albo do swoich zajęć – zadysponował.

Konstancja przez całą drogę milczała. Zastanawiała się nad tym, co usłyszała od tajemniczego nieznajomego, i nad tym, co należało w tej sytuacji zrobić. Ktoś ją ostrzegł. Dość specyficznie, ale jednak. Ryzykował, a ona w pierwszym momencie chciała go zdemaskować. Puścić za nim psy. Gdyby nie pojawienie się wilka, kto wie, czy nie wprowadziłaby tego planu w życie. W pewnym sensie nadal miała na to ochotę. Dość miała zagadek i tajemnic. Dotarło jednak do niej, że nie demaskuje się w ten sposób sojuszników. Wilk pojawił się jak na zawołanie. Ostudził emocje. Cóż, w zimowe wieczory przy kominku jej babka często snuła historie o tym, jak to wilki opiekują się Wilczym Dworem i jego mieszkańcami. Być może ten zjawił się właśnie po to, by ją powstrzymać, uchronić przed błędem. Uśmiechnęła się, sama nie wierząc w to, co jej przyszło do głowy. W końcu to była tylko legenda. „Ale w każdej legendzie tkwi ziarno prawdy” – przemknęły jej przez głowę słowa Pelasi.

– Dojdzie do tego, że na stare lata zacznę wierzyć w znaki i te wszystkie bajdy, których słucham od dzieciństwa – mruknęła pod nosem.

– Coś dziedziczka mówiła? – Hieronim nachylił głowę w jej kierunku.

– Tak, że na całe szczęście już docieramy do domu. Z miejsca pójdziemy na górę. Do błękitnego saloniku.

Słyszając to, Hieronim gwizdnął przeciągle. Pracował w dworze od lat i wiedział, że za tymi drzwiami omawia się sprawy najwyższej wagi. Czegokolwiek dotyczyło to, o czym chciała im opowiedzieć Konstancja, zapowiadało się poważnie.

– To może zanim pójdziemy, zawiadomię panią Pelcię – wtrącił Wasyl. – To ona podniosła raban, że pani dziedziczka zniknęła... – urwał nagle. – Nie rozumiem, co was tak rozbawiło? To, że chcę uspokoić chorą z niepokoju kobiecinę? – zapytał ze zdumieniem, patrząc na ubawione miny Hieronima i Konstancji.

– Kobiecinę, dobre sobie! Chłopie, Pelagii się nie zawiadamia – uświadomił mu ze śmiechem rządcą. – Między nami mówiąc, to ona mogłaby jeszcze dorzucić parę faktów, o których nie masz pojęcia, choć to ty, a nie ona, byłeś na miejscu. Mogę się założyć, że już czatuje pod drzwiami, żeby nas przechwycić. Co więcej, wie już wszystko. Ludzie, którzy byli z nami, ruszyli przecie przodem i biada temu, którego pierwszego dorwała w swoje ręce nasza ukochana Pelasia. Zapewniam cię, że gdyby została śledczym, przestępcy sami by prosili o wyrok za kratkami, byleby tylko znaleźć się jak najdalej od jej ostrego języka.

Jakby na potwierdzenie słów rządcy drzwi prowadzące do dworu otworzyły się szeroko i stanęła w nich Pelagia.

– Ja do dobrodziejki słów nie mam. Nad staw w zupełnej ciemności chodzić, po nocach się... – Zamilkła i zdezorientowana, spojrzała najpierw na Konstancję, a potem na Hieronima i Wasyla, którzy z całych sił usiłowali zachować powagę. – A co ja takiego powiedziałam? – zapytała urażonym tonem.

– Nic, zupełnie nic – zapewniła ją Konstancja.

– A nie mówiłem? – zwrócił się w tym samym momencie Hieronim do Wasyla.

– Widzi, Pelasia, że jestem cała i zdrowa. A teraz idziemy z panami do błękitnego saloniku. Po drodze zawołam Jana. Niech Pelasia dopilnuje, żeby nikt się nie kręcił pod drzwiami. Naprawdę nie ma czasu na rozmowy ani na tłumaczenia – dodała szybko, widząc, że ochmistrzyni otwiera usta, by zarzucić ją gradem pytań. – Mogę na Pelasię liczyć?

– Oczywiście. – Kobieta pokiwała głową przykrytą czarnym sztywnym czepkiem.

Podobnie jak Hieronim wiedziała, co oznacza spotkanie w błękitnym saloniku. Coś się działo, to było pewne. Jedyne, czego Pelagia nie mogła zrozumieć, to jakim cudem to ważne tajemnicze coś umknęło jej uwadze.

Następnego dnia zdumienie Pelagii jeszcze się wzmogło.

– Jak to, podróż odwołana? – zapytała zaskoczona, gdy Konstancja, wstając od śniadania, powiadomiła wszystkich o zmianie planów.

– Po prostu, jednak nie jedziemy – powiedziała dziedziczka lekkim tonem i wzruszyła ramionami.

Przy okazji kątem oka obserwowowała dwie dziewczyny zbierające naczynia ze stołu. Nie umknęło jej uwadze, że jedna z nich, Teresa, wyraźnie się ociąga i specjalnie przedłuża swoją pracę. Konstancja uśmiechnęła się w duchu. O to właśnie jej chodziło. Teresa była znana z zamiłowania do wszelkich plotek. Było stuprocentowo pewne, że cokolwiek usłyszy, z miejsca rozniesie się po całym obejściu.

– A Mira? A choroba? A to dziewczątko, które samo z umierającą matką zostało? – Pelagia aż się zakrztusiła z przejęcia. Z jej oczu wyzierało niedowierzanie.

– Cóż zrobić, czasem trzeba wybrać pomiędzy tym, co ważne i ważniejsze – wtrącił się Jan, zerkając na Konstancję.

Dostrzegł na jej twarzy niepokój i cierpienie. Słowa Pelagii trafiły w sedno. O tym wszystkim do późna w nocy dyskutowali wczoraj w błękitnym saloniku.

– Jak mam odwołać podróż, skoro czas nagli! A co będzie, jeżeli nie zdążę? – zapytała, gdy już zdała relację z tajemniczego spotkania. – Ze śmiercią nie można wejść w układ, nie da się jej poprosić, by się wstrzymała! Ale jednocześnie było coś takiego w tym ostrzeżeniu, że nie sposób go zignorować... – Bezradnie popatrzyła po twarzach siedzących w półkolu mężczyzn.

– Niedobrze, że nie wiemy, kto za tym stoi – mruknął Hieronim. – Można by go było przycisnąć i dowiedzieć się czegoś konkretniejszego – dodał, a Konstancja podziękowała w duchu wilkowi za to, że się pojawił. Po tonie i minie Hieronima wnioskuje, że gdyby miał możliwość wyduszenia z informatora czegoś więcej, zrobiłby to wszelkimi sposobami. A nie tak chciała odpłacać się komuś za przysługę.

– Tak czy inaczej, coś musi za tym stać. Lepiej dmuchać na zimne i zrobić tak, jak ci ten ktoś sugerował – odezwał się Jan. – Z tego co mówiłaś, padło tam stwierdzenie, że wyjazd nie opóźni się znacznie. Myślę, że warto powiedzieć głośno, że odwołujesz podróż, i rozpakować to, co już zostało zapakowane. Można przełożyć rzeczy do osobnych skrzyń, żeby potem nie gromadzić wszystkiego od początku, tylko przetrząsnąć z powrotem do kufrów, gdy zdecydujemy się na wyjazd. I zobaczymy, co się wydarzy.

– Może pani powtórzyć jeszcze raz, co ta osoba powiedziała na końcu? – poprosił Wasyl.

– To było jakoś tak, żeby nie wierzyć we wszystko, co się najpierw usłyszy. Że nie zawsze to, co wybija się na pierwszy plan, jest prawdą – powiedziała powoli. – I jeszcze coś... Że trzeba wszystkich powiadomić o tym, iż podróż się nie odbędzie. Jakby to miało jakieś specjalne znaczenie.

– Mnie to jedynie utwierdza w przekonaniu, że mamy wśród ludzi kogoś, kto donosi – ponuro stwierdził Hieronim.

– Myślisz, że to ostrzeżenie ma coś wspólnego z Sępińskim? – Konstancja wstała i powiodła wzrokiem po wiszących na ścianie portretach przodków, jakby szukała u nich odpowiedzi na dręczące ją pytania.

– Nic innego nie przychodzi mi do głowy. A wam, panowie? – Rządca zwrócił się do Jana i Wasyla.

– Też stawiam na taką ewentualność. Cały czas wydawało mi się dziwne, że Sępiński nie usiłuje pomścić zniewagi. Bo nie ukrywajmy: upokorzyliśmy go na

oczach jego ludzi. Pojmaliśmy i pod eskortą dostarczyliśmy do dworu. Zresztą odgrażał się i pani dziedziczce, i nam – stwierdził Wasyl, przygryzając wąsa. – Moim zdaniem chodzi o to, żeby wiadomość o rezygnacji z wyjazdu dotarła właśnie do Sepińskiego. Naprawdę nikogo nie przypominał pani dziedziczce ten głos?

– Nikogo. – Konstancja bezradnie pokręciła głową. – Co więcej, nie wiem nawet, czy należał do kobiety czy mężczyzny. Dziwny był jakiś. Taki przytłumiony, zniekształcony. Tak jakby... Już wiem – uderzyła się ręką w czoło. – Że też wcześniej nie skojarzyłam. Mówiący musiał mieć osłoniętą twarz. Może bał się, że go ktoś zobaczy. To tłumaczy głośny, świszczący oddech.

– Zamaskowany dobroczyńca. Brzmi coraz lepiej! Cóż za romantyzm – parsknął Jan. – Ale dość o tym, kto to był, bo do tego i tak nie dojdziemy. Lepiej podejmijmy decyzję, co robimy. Lekceważymy ostrzeżenie czy traktujemy je poważnie?

Właściwie pytanie było zbędne. Wiadomo było, że nie zignorują przestrogi. Tym bardziej że zdaniem tajemniczego gościa zwłoka nie miała być duża.

Niebawem zabrali się zatem za realizację ułożonego naprędce planu. Za radą zagadkowego głosu wprzód należało wszystkim oznajmić, że podróż zostaje odłożona. Realizacją kolejnego punktu zajęła się Konstancja wspólnie z Hieronimem. Opędzając się od złąknionej wyjaśnień Pelagii, wsiedli na konie i pojechali wierzchem do dworu Dyrylkiewców.

– Może jednak weźmiemy powóz? – zaproponował Hieronim, zanim wyruszyli.

– Nie, tylko by nas spowolnił, a czas ma tu ogromne znaczenie. Zresztą chętnie się przejadę, przewietrzę głowę – odparła.

Rzeczywiście tego jej było potrzeba. Ledwo znaleźli się poza dworskim zabudowaniami, spięła konia i puściła się galopem przed siebie. Wiatr smagał jej policzki, zsunął z głowy kapelusz i targał włosy, ale w niczym jej to nie przeszkadzało. Wręcz przeciwnie. Nareszcie po raz pierwszy od bardzo dawna poczuła się naprawdę wolna. Dopiero gdy za plecami usłyszała pokrzykiwania Hieronima, zwolniła i niechętnie obejrzała się za siebie.

– Co znowu? – zapytała z niezadowoleniem.

– Nic, chciałem tylko panią dziedziczkę dopędzić – roześmiał się rządcą. – Mogę o coś zapytać?

– Pytaj – uśmiechnęła się i ściągnęła nieznacznie lejce.

Klacz bezbłędnie odczytała sygnał i zwolniła kroku. Teraz jechali powoli wręcz spacerowym tempem. Wokół nich zieleniły się łąki, pachniało świeżą, wilgotną ziemią. Wysoko pod chmurami kołował bocian i słychać było śpiew skowronków.

– Raj, prawda? – uśmiechnął się Hieronim, bezbłędnie odczytując jej rozmarzone spojrzenie.

– Albo coś bardzo mu bliskiego – mruknęła. – Ale o coś chciałeś zapytać?

– Tak, ale to będzie dosyć śmiałe.

– Zaryzykuj. – Zerknęła na niego zaintrygowana.

– Jak dziedziczka to robi? W jednej minucie jest damą, w drugiej pędzi na łeb na szyję na koniu, a jakby tego było mało, umie trzymać całe gospodarstwo twardą ręką. Nie widać w dziedziczce strachu. Nawet teraz, gdy coś się czai i nadchodzi...

– Jak? – przerwała mu i przez chwilę w zamyśleniu bawiła się lejcami. – Jestem sobą. Strachu może i nie widać, ale jak każdy człowiek czasami się boję. Wiem jednak, że to ja muszę panować nad lękiem, a nie na odwrót. Wilczy Dwór to moja wielka miłość i zarazem wielka odpowiedzialność. Tyle zostało z mojego dawnego życia. I dlatego że kocham, umiem walczyć. Chyba nie muszę więcej tłumaczyć. Wyglądasz mi na mężczyznę, który wie, z czym wiąże się prawdziwa miłość. To żarliwość, łagodność, śmiałość i bunt. Wszystko w jednym.

Hieronim nic na to nie odpowiedział. Pokiwał jedynie głową.

„Jestem sobą” – zabrzmiały mu w uszach dopiero co wypowiedziane słowa. W tym chyba kryła się pełna odpowiedź na jego pytanie. Konstancja nikogo nie udawała. Choć z drugiej strony, gdy trzeba było, umiała grać i kłamać bez mrugnięcia okiem. Ale to też zawierało się w stwierdzeniu „jestem sobą”.

„Zastanawiam się, czy znalazłby się mężczyzna, który umiałby ją właśnie taką pokochać – pomyślał i spojrzał na jadącą obok kobietę. – I ciekawe, co ona o tym sądzi?” – nasunęło się mu kolejne pytanie, ale oczywiście tych dwóch już nie zadał. Sam nie wiedział, czy dlatego, że nie ma śmiałości, czy po prostu bał się wkraczać na zakazany teren. Na całe szczęście nie musiał roztrząsać tego dylematu, bo właśnie w oddali zamajaczył dwór Dyrylkiewiczów. Zgodnie spięli konie i ruszyli kłusem przed siebie.

Po dotarciu na miejsce Konstancja zamknęła się z gospodarzem w gabinecie i długo coś mu półgłosem wyjaśniała. Hieronim tymczasem czuwał pod drzwiami i pilnował, żeby nikt nie podsłuchiwał. Gdy rozmowa dobiegła końca i wyszli z gabinetu, Dyrylkiewicz wyglądał na zmartwionego.

– Zostaniecie na obiedzie? – zapytał, patrząc zasepionym wzrokiem na Konstancję.

– Nie, dziękujemy. Musimy wracać. Sam pan rozumie, że w tej sytuacji gnamy do domu.

– Rozumiem. – Obciągnął poły surduta i poluzował kołnierzyk. – Niechże pani chwilę jednak poczeka, bo muszę wpierw coś powiedzieć. Jestem pani najbliższym sąsiadem. Po śmierci pana Tadeusza wiedziałem, że moją powinnością jest pomóc pani w gospodarstwie i we wszystkim, w czym tylko zdołam. Robiłem to z radością. Dzięki temu razem z żoną spaliśmy spokojnie. Dlatego jeszcze raz zapytam: jest pani pewna? Zanim pani odpowie, proszę pamiętać, że od dawna jesteśmy nie tylko sąsiadami, ale i przyjaciółmi – dodał, wychodząc z nią na schody prowadzące na dziedziniec, na którym już stały przygotowane do odjazdu konie.

– Ależ ja to wszystko wiem i...

– Może jednak przyjadę z chłopcami. Dla nas to żaden problem – przerwał jej. – Byłbym spokojniejszy.

– Skorzystać z propozycji nie mogę, ale dziękuję panu z całego serca. – Podała mężczyźnie rękę. – Mówiłam przecież, że to nic pewnego. Być może nic się nie wydarzy. A poza tym nie może pan zostawić swojego domu bez opieki.

Kto wie, co się w głowie Sępińskiego kluje. A przecież młodzi panicze też tam byli, ba, pomogli mi zastawić zasadzkę, a to w oczach Sępińskiego czyni z nich śmiertelnych nieprzyjaciół. Miejcie się na baczności. I dziękuję, że się pan zgodził – dodała i skinęła na Hieronima.

Zanim wsiadła na konia, pomachała Dyrylkiewiczowi dłonią ukrytą w pięknej granatowej rękawiczce. Mężczyzna długo patrzył za oddalającymi się jeźdźcami.

– Wygląda na to, że czas błogiego spokoju się skończył – mruknął do siebie. – Ale cóż, mój ojciec mawiał, że nic, co dobre, nie trwa wiecznie, a jak niewiele się dzieje, to człowieka zaczyna z gnuśności w kościach łamać. To by tłumaczyło, czemu ostatnio tak mnie w krzyżu łupie. A jednocześnie, skoro właśnie spokój się kończy, to jest nadzieja, że i boleć przestanie, nieprawdaż? – zwrócił się do łąszącego się mu do nóg charta. – Chodź, Hardy, pójdziemy pogadać z ludźmi. Trzeba jak najszybciej powiedzieć im, co mają robić. – Gwizdnął na psa i ruszył w głąb podwórza.

Jak się okazało, rację miał tajemniczy głos, gdy przekonywał Konstancję, że nie będzie musiała długo czekać na owo wydarzenie, którego nie sposób przegapić.

Jeszcze tego samego dnia rozpakowano kufry i pochowano przygotowane do wyjazdu ubrania. Konstancja, gdzie tylko mogła, opowiadała głośno i dobitnie o tym, co w związku ze zmianą planów ma zamiar robić w najbliższym czasie. Tylko Pelagię starała się omijać szerokim łukiem, co było nie lada wyzwaniem.

– Jeszcze ze dwa dni takiego kluczenia i przysięgam, że osiwieję – szepnęła wieczorem do Jana. – Ona mi życie nie daje! Co więcej, wie, że coś jest na rzeczy, i usiłuje mnie podchodzić! A ja paskudnie się czuję, nie wyznając jej prawdy. Szczerze mówiąc...

– Matko Boska, dobrodziejko kochana, nieszczęście! – przerwał jej wywód krzyk Pelagii.

W głosie ochmistrzyni było coś takiego, że natychmiast razem z Janem zerwali się na równe nogi i pobiegli do sieni, skąd dobiegały podniesione głosy.

W progu stali Hieronim i Wasyl.

– Co się dzieje? – Konstancja z niepokojem powiodła spojrzeniem po twarzach zgromadzonych.

– Stodoła płonie, ta przy polu! – krzyknął rządcą. – Część ludzi już poleciała gasić, ja też biorę konia i jadę większą pomoc zebrać. Chciałem tylko dziedziczkę zawiadomić.

– Jeszcze tego nam brakuje do szczęścia – jęknęła Konstancja. – Hieronimie, trzeba to jak najszybciej opanować, pošlij wszystkich ludzi, niech noszą wodę. Ze wsi pewnie też przyłecą – dodała bez potrzeby, bo Hieronim, nie czekając na

jej polecenia, wybiegł na zewnątrz. Szczerze mówiąc, w tej sytuacji wiedział co robić o wiele lepiej od Konstancji. – Ale pożar? Teraz? Musiał ktoś ogień zaproszyć! – mruknęła zmartwiona.

– To wszystko przez tego bandytę zafajdanego, Kajetana! – zakrzyknęła jękliwie Pelagia, załamując ręce.

– Jakiego znowu Kajetana? – Konstancja spojrzała na ochmistrzynię nieprzytomnym wzrokiem.

– Jakiego, jakiego? – zagderła kobiecina. – Syna starego szewca Mateusza. A mówiłam, a przestrzegałam! Bociana na jesieni w zeszłym roku zabił. Jak się stadem na sejmik przed odlotem zebrały, to wziął łobuz jeden i ustrześlił!

– I co ma piernik do wiatraka? – Widać nie tylko Konstancja nie rozumiała wywodów Pelagii, bo Jan też patrzył na kobietę ze zdumieniem.

– A bo to panicz Januś nie wie, że bociany pamiętliwe są? Za dobro dobrem odpłacają, ale zła nie zapomną. Wystarczy je rozdrażnić, jaja z gniazda wybrać. A co tu mówić o zabiciu! Wtedy inne mszczą się za poszkodowanego, podpalają dom, w którym mieszka ich wróg, przynosząc w dziobie zapalone łuczywo lub głównię! Niektóre krzeszą dziobem ogień bezpośrednio na dachu! – dodała, kiwając złowroźbnie głową.

– I dlatego, że syn Mateusza zabił bociana, inne z zemsty podłożyły ogień pod moją stodołę? Niechże się Pelasia opanuje, toć teraz nie czas na bajki! Podpalenie to... – Konstancja zamilkła i nagle pobladła.

Oczy jej się rozszerzyły i mignął w nich błysk zrozumienia.

Odepchnęła stojącą koło niej Pelasię i niczym wicher wybiegła przed dwór.

– Hieronimie! – krzyknęła strasznym głosem, rozglądając się po podwórzu. Dopiero po chwili dostrzegła rządcę biegnącego w kierunku mniejszych stajni. – Hieronimie! Stój! – Ruszyła za nim w pogoń, zgarniając w ręce fałdy długiej sukni.

W tej chwili nie dbała o to, że podciągnięta spódnica odsłania jej nogi i że

zapewne swoim wyglądem gorszy wszystkich, którzy na nią patrzą. Za wszelką cenę musiała dogonić mężczyznę, zanim wsiądzie na koń.

– Hieronimie! – krzyknęła jeszcze raz i z ulgą zobaczyła, że rządcą odwraca się w jej kierunku.

Dopadła go, chwyciła za rękę i zadarła wysoko głowę, żeby spojrzeć mu prosto w oczy.

– Wracaj! Odwołaj większość ludzi i zgromadź ich przy dworze. Najsilniejsi mają zostać tutaj, rozumiesz? – wydyszała, z trudem łapiąc powietrze.

– Ale tam się pali...

– Pamiętasz? „Nie wierz wszystkiemu, co w pierwszym momencie usłyszysz. Nie zawsze to, co wybija się na pierwszy plan, jest tym, na co powinniśmy patrzeć” – powiedziała i poczuła, że kłuje ją w piersi. – To słowa ostrzeżenia. Płonąca stodoła to ów pierwszy plan, na który mamy nie patrzeć! Co w niej jest?

– Teraz? Nic.

– Koło niej nie ma innych zabudowań ani lasu. To zasadzka. Chcą nas odciągnąć od dworu!

– Rzeczywiście tak może być! Cholera jasna, muszę zatrzymać ludzi – krzyknął i pognał przed siebie.

Konstancja przez chwilę stała bez ruchu, usiłując uspokoić oddech. Nawet nie zauważyła, kiedy u jej boku pojawił się Jan.

– Gnałeś tak, że nie mogłem cię dogonić – powiedział. – Gdzie ta stodoła? Pomogę gasić.

– Gasić z całą pewnością będzie trzeba, ale w zupełnie innym miejscu. Coś mi mówi, że dzisiaj w wielu miejscach wybuchnie ogień, który trzeba będzie zdusić w zarodku. – Konstancja błyskawicznie zebrała rozproszone myśli. – Stodoła to prawdopodobnie zasadzka. Trzeba wracać do dworu, część ludzi zebrać w środku, a część zostawić na zewnątrz, schowanych wśród zabudowań, by w razie potrzeby mogli zaatakować z ukrycia. Dom na pierwszy rzut oka ma

wyglądać na wyludniony. Tak jakby rzeczywiście wszyscy pobiegli do pożaru. Większość ludzi już ma broń, Hieronim na pewno o to zadbał, reszcie trzeba dać strzelby, pistolety, wszystko co się znajdzie. Zawrzeć okiennice...

– Poczekaj, nic z tego nie rozumiem...

– I nie musisz! Nie czas na wyjaśnienia! Rób, co każe – krzyknęła i nie oglądając się na niego, ruszyła biegiem do dworu.

Od strony stajni już zaczynali się zbiegać ludzie zawiadomieni przez Hieronima. Wpadając do domu, Konstancja natknęła się w sieni na pana Dionizego.

– Wpadłem zajrzeć do koni i zobaczyłem, że coś się dzieje – zaczął i zamilkł, patrząc na nienaturalnie bladą twarz Konstancji.

– Panie Dionizy, prawdopodobnie bronić się będziemy – powiedziała, wchodząc do środka. – Biegiem, zamknąć okiennice, ludzi trzeba rozstawić! – zarządziła. – Niech Pelasia dopilnuje, żeby żadna z dziewcząt nie została na zewnątrz. Szybko, mamy niewiele czasu – dodała i poczuła, że głos jej drży.

– Spokojnie. – Dionizy złapał ją za ramiona i mocno ścisnął. – Bitwy wygrywa się dzięki ludziom i logicznemu myśleniu. Zajmę się wszystkim i wszystko będzie dobrze – powiedział i ku jej wielkiemu zdumieniu po tych słowach poczuła, jak spływa na nią spokój.

– Dziękuję – wykrztusiła i uniosła wysoko głowę. – Już mi lepiej.

– To dobrze, bo histeria w czasie gdy trzeba wroga łać, nie jest wskazana. I ja, i ta pani doskonale o tym wiemy – mruknął starzec, klepiąc pieszczotliwie rękojeść nieodłącznej szabli. – A teraz wszyscy do środka! Trzeba działać! – zakomenderował.

Od tego momentu Konstancja miała wrażenie, że znalazła się w jakiejś dziwnej, alternatywnej rzeczywistości. Mężczyźni błyskawicznie się przegrupowali, okiennice zostały zawarte, a dziewczęta, kobiety i dzieci Pelagia zaprowadziła do pomieszczeń, które na co dzień zajmowały pokojówki. Teraz

rozlegało się z nich popłakiwanie i głośny lament.

– Ucisz je pani natychmiast – huknął w stronę Pelagii Dionizy. – Myśli się nie da zebrać przy tym zawodzeniu!

– A co ja mam z nimi zrobić? Zakneblować? – Pelagia bezradnie rozłożyła ręce.

– A niechże mnie Pelagia nie denerwuje! – Dionizy długimi krokami przemierzył salon i wpadł do pierwszego z pokoi pełnych kobiet i dzieci. – Milczeć mi tu! – ryknął nieswoim głosem. – Bo na zewnątrz wystawię i na pierwszy ogień bachory puszczyć! Zrozumiano? – zapytał już spokojniej w zapadłej nagle ciszy. – Tak to się załatwia – zwrócił się do ochmistrzyni, która zapatrzyła się w niego z mimowolnym podziwem. – Nie ma co się pieścić, bo... – nie dokończył, gdyż w tej samej chwili na zewnątrz rozległy się krzyki pomieszane ze strzałami z pistoletów.

Przy okiennicach słyhać było walenie jakimiś ciężkimi narzędziami. Napad, który do tej pory był tylko niejasnym przypuszczeniem, stał się faktem.

Gdy później Konstancja usiłowała sobie przypomnieć, co tak naprawdę się stało, przed oczami migwały jej tylko urywane sceny. Mężczyźni, których zazwyczaj widywała przy zwykłej pracy na folwarku, pokazali swoje drugie oblicze. Widać było, że Hieronim bardzo precyzyjnie dobierał swoich ludzi. Umieeli stawić czoło niebezpieczeństwu i bili się tak, jakby niczego innego w życiu nie robili.

Pan Dionizy ani na moment nie stracił zimnej krwi. Rozstawił na odpowiednich pozycjach ludzi, którzy tylko czekali na jego znak i na to, aż okute mocne okiennice zostaną sforsowane. Gdy poleciała pierwsza, natychmiast oddano strzały, które z miejsca położyły kilku napastników. Tamci nie pozostali jednak dłużni. Konstancja, niewiele myśląc, chwyciła za pistolet, z którego jeszcze przed chwilą strzelał Franek, drugi po Wasylu pomocnik Hieronima. Teraz chłopak leżał w kałuży krwi i z zaciśniętymi zębami ścisnął zranioną rękę.

– Nie ruszaj się i tamuj krew – nakazała mu Konstancja i wymierzyła w okno, przez które wskakiwał właśnie jakiś zarośnięty typ.

Padł strzał. Zbój zwałił się na podłogę.

– Nie wiedziałam, że dobrodziejka jest do tego zdolna – usłyszała tuż koło ucha głos Pelagii, która również mierzyła ze strzelby w pozbawione okiennic i szyb okna.

– Cóż, mój ojciec podobnie jak Pelasi uważał, że powinnam umieć się z bronią obchodzić. – Konstancja odwiodła kurek w pistolecie i ponownie nacisnęła spust. – Tyle tylko że umotywowował to nieco inaczej, nie wspominał nic o odstrzeliwaniu kuśki... Choć teraz z przyjemnością bym to zrobiła co poniektórym. Nie sądzi Pelasia, że to trochę dziwne, że strzelamy, zabijamy, a jednocześnie prowadzimy kulturalną dyskusję?

– Mówią, że na rozmowę zawsze jest pora. Poza tym czy rozmawianie o męskim przyrodzeniu można uznać za kulturalne? – Pelagia złożyła się do strzału, ale na zewnątrz zapanowała podejrzana cisza.

– Uciekają! – rozległy się po chwili głośne okrzyki.

– O niedoczekanie! – gdzieś pod oknem warknął Hieronim. – Spróbujemy ich dopaść. Część ludzi zostawiam! – krzyknął i wypadł na podwórze.

Dopiero teraz Konstancja przytomniej rozejrzała się dookoła. Jadalnia i przylegający do niej salon przypominały pobojuwisko. Wszędzie wały się odłamki szkła, zaś na podłodze leżały trupy dwóch bandziorów. Jednemu z nich różowawa ślina spieniła się w kącikach ust i wąską stróżką spływała po brodzie. Konstancja przez długą chwilę nie mogła oderwać wzroku od jego otwartych oczu i krwawej plamy na płóciennej koszuli. Gdy poczuła, że ktoś kładzie jej rękę na ramieniu, mimowolnie się wzdrygnęła.

– Spokojnie, to tylko ja – rozległ się tuż przy jej uchu uspokajający głos Jana. – Zostaw to, proszę. To nie jest miejsce dla ciebie. Ja i pan Dionizy sobie z tym poradzimy, a ty usiądź i odpocznij... – zamilkł nagle, słysząc jak to

absurdalnie brzmi w zaistniałych okolicznościach. – Albo jeszcze lepiej idź na górę i się połóż – mruknął.

Biedny Jan chciał jak najlepiej, ale z miejsca spaprał sprawę. Pelagia, słysząc jego słowa, tylko wzniosła oczy do góry. Doskonale wiedziała, że nie ma takiej siły, która zmusiłaby jej dobrodziejkę do opuszczenia pola bitwy. Szczególnie po tym jak Jan dał jej do zrozumienia, że to, co się stało, nie jest rzeczą kobiecą.

– Mowy nie ma! Sam wiesz, że pańskie oko konia tuczy. Jestem potrzebna moim ludziom. – Z miejsca wzięła się w garść i żeby podkreślić, że nic jej nie jest, zrobiła długi krok i przeszła nad trupem, któremu jeszcze przed momentem się przyglądała, i kucnęła koło rannego Franka. – Słyszałam, jak pan Dionizy posyłał po doktora – powiedziała cicho. Zdecydowanym ruchem oberwała falbanę od spódnicy i przewiązała nią zranioną rękę chłopaka. – Zaraz przyjedzie – dodała, uspokajająco gładząc go po policzku. – Ilu mamy rannych? – zwróciła się do Jana.

– W domu trzech, ale to nic poważnego. Ledwo draśnięcia. Jeszcze nie wiem, jak sytuacja wygląda na zewnątrz – zaraportował zrezygnowany.

Zrozumiał, że cokolwiek by mówił, Konstancja i tak go nie posłucha. W końcu od dawna była sama sobie sterem i okrętem.

– Ale ja wiem. Dwóch zabitych i trzech rannych – wszedł mu w słowo pan Dionizy. – Reszta trupów, zliczyłem dziesiątkę, należy do rabusiów. Jedno im trzeba przyznać, rozsądni są, bo nie zostawili żadnych rannych. Nie ma kogo przepytąć na tę okoliczność.

– Trzeba zawiadomić komisarza. Niczego nie ruszajcie, będzie chciał pewnie obejrzeć, jak to wygląda. Zgłaszałam mu niedawno problem z rozbojami. Mówiłam o napadach na ludzi wracających z kościoła i idących na jarmarki. O coraz częściej powtarzających się kradzieżach bydła i koni. Dlatego nie sądzę, żeby robił nam jakiegokolwiek problemy, ale na wszelki wypadek niech nikt niczego nie dotyka. Rannych tylko zabierzcie. Kto z naszych zginął? – Zwróciła

się do wchodzącego do dworu Wasyla.

– Kazik i Waldek – Wasyl odkaszlnął i niby przypadkiem przejechał ręką po oczach. Na skórze dłoni został mu mokry ślad.

– Waldek? – Konstancja poczuła, że robi jej się zimno.

Wstrząsnął nią dreszcz, aż zaszczękała zębami. Wręcz nieludzką siłą woli zmusiła się do opanowania. Po chwili dotarło do niej, że Wasyl cały czas coś mówi.

– Powtórzysz? – poprosiła z wysiłkiem.

– Żył jeszcze, gdy tamci rzucili się do ucieczki. Chciałem go ratować, ale dostał w pierś. Nie było jak. – Załamał mu się głos i na chwilę przerwał. – Ale zanim skonał, zdążył powiedzieć, żebym dziedzicze to dał, że to oni i że umiera spokojny, bo kogoś pomścił. – Mężczyzna wyciągnął przed siebie rękę, w której trzymał zwyczajną płócienną czapkę. – Nie zrozumiałem kogo. Nie zdążył powtórzyć.

Konstancja bez słowa wzięła nakrycie głowy i zajrzała do środka. Tak jak się spodziewała, na podszewce wyhaftowany był orzeł. Przesunęła palcem po wypukłych nitkach i poczuła, jak po policzkach płyną jej łzy. Nie usiłowała ich nawet wycierać. Mocniej zacisnęła rękę na płótnie i spojrzała na Wasyla mokrym, ale dziwnie rozjarzonym spojrzeniem.

– Nikt bezkarnie nie będzie napadał na mój dom i zabijał moich ludzi! Wojna, mości panowie, dopiero się rozpoczęła! – oznajmiła jasnym i czystym głosem.

Jego dźwięk sprawił, że wszyscy obecni w salonie zamilkli i wpatrzyli się w nią ze zdumieniem. Choć stała pośrodku pobojuwiska, w pobrudzonej i poszarpanej sukni, nawet drobna i potargana, budziła niesamowity respekt.

– Wojna – powtórzyła i nie oglądając się na nikogo, wyszła na podwórze.

Wasyl patrzył za nią w milczeniu i myślał, że nie chciałby być w skórze Sepińskiego, kiedy go złapią. Co więcej, stwierdził, że wolałby chyba sam sobie

w łeb strzelić, niż dostać się w ręce Konstancji. Z doświadczenia wiedział, że wściekłość, pełna krzyków i emocji, szybko mija, ale zimna nienawiść potrafi przetrwać lata i nie wie co to litość. W oczach Konstancji dostrzegł tę drugą. Sam nie wiedział, czy Sępiński powinien bardziej bać się komisarza Nikołaja Nikołajewicza Gołykowa i jego ludzi, czy tej pozornie kruchej, drobnej kobiety. I cieszył się, że to nie on musi się nad tym zastanawiać.

Tak jak przypuszczała Konstancja, komisarz Nikołaj Nikołajewicz Gołykow nie robił jej większych trudności. Napad rozsierdził go do białości, tym bardziej że wiedział, jak zareagują jego przełożeni. Niestety, był nieomal pewny, że nie będą zachwyceni faktem, iż w jego jurysdykcji doszło do tak zuchwałego rozboju.

– Jak to możliwe, że nie ma żadnych jeńców? – zapytał, wbijając oskarżycielskie spojrzenie w Konstancję.

– A to nie godzi się kobiety pytać o takie rzeczy – wtrącił się pan Dionizy. – Przecież pan komisarz jako doświadczony wojak wie, że bitwy nie są domeną dam. I zapewne nieobca jest panu komisarzowi wiedza, że jak się strzela do wroga, to tak, żeby zabić, nie zranić. Zresztą myśmy się bronili, nie było czasu się rozglądać i patrzeć, co zbójcy czynią. – Ukradkiem dał znać Konstancji, żeby zniknęła z pola widzenia. – Dom pełen kobiet i dzieci trzeba było chronić – ciągnął, oprowadzając komisarza po zdemolowanym salonie. – Ale komu ja to tłumaczę, toż pan się na takich sprawach zna tysiąc razy lepiej niż ja, stary. Lata już mnie do ziemi przygięły i siły nie te co kiedyś. – Tu przygarbił się i ostentacyjnie zaczął powłóczyć nogami. – Straszna szkoda, że pana komisarza z nami nie było, bo na pierwszy rzut oka widać, że by się z tymi bandziorami raz dwa rozprawił! – lgał w żywe oczy pan Dionizy, raz po raz przygryzając wąsa.

– Ano szkoda, szkoda. Ze mną byście żadnych szkód nie ponieśli – dał się złapać na lep Nikołaj Nikołajewicz Gołykow. – Tak czy inaczej, ci, co uszli, nie uciekną daleko. Już nasza w tym głowa – rzucił hardo, a przysłuchujący się temu z pewnego oddalenia Hieronim uśmiechnął się ironicznie.

„Błazen – pomyślał z pogardą o komisarzu. – Ale trudno odmówić mu racji,

rzeczywiście nie oddalili się zbyt daleko – skrzywił się z odrazą. – Mógłbym co nieco dodać w sprawie części tych, co chcieli umknąć”.

Gdy wrócił z pogoni, Konstancja na jego widok aż się cofnęła. Z twarzy jeszcze nie zszedł mu wyraz okrucieństwa, oczy rzucały stalowe błyski. Przez policzek biegła krwawa smuga.

– Jesteś ranny? Doktor jeszcze nie pojechał, wołać go? – zapytała, przełykając głośno ślinę.

– Nie, nic mi nie jest. – Rządca podszedł do rozbitego zwierciadła. W ramach została połowa rozkruszonej tafli, reszta walała się na podłodze i chrzęściła pod butami. Przejrzał się w kawałku roztrzaskanego lustra i wytarł krwawy ślad grubą skórzaną rękawicą. – To nie moja jucha, nie musi się dziedziczka obawiać – stwierdził lekkim tonem.

– Złapaliście ich? – W głosie Konstancji usłyszał twarde nuty, które go zaskoczyły.

– Część uciekła, ale niektórzy zostawili konie pod lasem. Mieli pecha, bo wilki je poszarpały. Bardzo nierozsądnie zostawiać bezbronne zwierzęta tuż pod nosem wygłodniałych drapieżników.

– I co z nimi?

– No przecie mówiłem, końmi wilki się zajęły. O ludzi mniejsza. Nimi się dziedziczka nie musi przejmować. – Na ustach zaigrał mu okrutny uśmiech. – Nie będą już sprawiali kłopotu. Tyle pani powinna wiedzieć – dodał, a Konstancja z namysłem pokiwała głową.

– Rozumiem. W niektórych wypadkach lepiej nie dopytywać – mruknęła.

Mogła się tylko domyślać, jaki los spotkał rzezimieszków. Trochę żałowała, że nie mogła mieć w tym swojego udziału, ale kto wie, może tak było lepiej? Być może w ostatnim momencie do głosu doszłaby litość? A na to żaden z napastników nie zasługiwał. Mocniej ścisnęła w rękach czapkę z wyhaftowanym orłem i wściekłość wróciła wzmożoną falą. Napadli na jej dom,

odebrali życie jej ludziom. Zachwiali ich poczuciem bezpieczeństwa.

„Niech gniją w piekle – pomyślała bezlitośnie i hardo popatrzyła do góry.– I albo ty, Panie Boże, zrobisz z nimi porządek, albo my sami się nimi zajmiemy. Ząb za ząb! Czy nie tak stoi w Piśmie?”

– Konstancjo, musisz jeszcze chwilę poświęcić komisarzowi – wyrwał ją z zamyślenia głos Jana. – Jak ty się w ogóle czujesz? Po tym co... co musiałaś zrobić? – zapytał, z troską zaglądając jej w twarz.

– A o czym dokładnie mówisz? – popatrzyła na niego zmrużonymi oczami.

– O tym, że zabiłaś człowieka. To zostawia ślad na zawsze – mężczyzna zniżył głos prawie do szeptu.

– Owszem. I wiesz co? To osobliwe i straszne zarazem...

– Nie powinienem był dopuścić do tego, żebyś musiała czegoś takiego doświadczyć – przerwał jej Jan.

– Nic nie rozumiesz – roześmiała się jakoś tak dziwnie. – Mnie nie niepokoi to, że zabiłam, lecz to, że zupełnie nie robi to na mnie wrażenia. Ba, gdyby sytuacja miała się powtórzyć, bez wahania zrobiłabym to jeszcze raz.

– Nie możesz tak mówić. – Jan złapał ją za rękę i mocno ścisnął. – Naprawdę tak nie myślisz. To tylko szok! – Spojrzał na nią uważnie i widząc wyraz jej twarzy, poczuł jak po plecach przebiega mu zimny dreszcz. – A jednak – wyszeptał. – Przerażasz mnie.

– Nic na to nie poradzę. – Konstancja wzruszyła ramionami, po czym wbiła rozogniony wzrok w powybijane okna i rozbite w drzazgi okiennice. – Jedyne, co mnie teraz trapi, to kiedy dostanę w swoje ręce Sępińskiego. Bo to on za tym stoi, to byli jego ludzie, rozpoznałam dwóch z nich. I wiesz co? – Przekrzywiła głowę i rozgarnęła czubkiem buta walające się szkło.

– No co? – patrząc na nią, Jan nie do końca wiedział, czy chce usłyszeć odpowiedź.

– Intrygujące w tym wszystkim jest, dlaczego miałam zaniechać podróży.

Tego jednego nie rozumiem. Ale dowiem się. I odpłacę Sepińskiemu pięknym za nadobne. Jak to mówił syn Dyrylkiewicza? Nosił wilk razy kilka, ponieśli i wilka. Wprawdzie na to muszę jeszcze chwilę poczekać, ale głęboko wierzę, że cierpliwość popłaci, a Sepiński jeszcze dostanie za swoje i sam mi wyśpiewa, jakie miał wobec nas zamiary. Całe szczęście, że Dyrylkiewicz użyzył nam swoich ludzi. Bez nich trudno by było obronić dwór. Dobrze jest mieć w sąsiedzie przyjaciela – dodała i popatrzyła Janowi w oczy. – Dziwnie to się wszystko splotło i potoczyło – szepnęła i ku jego zaskoczeniu pogładziła go po policzku. – No cóż, szkoda. Rozminęliśmy się. Ale widać tak miało być. Mówiłeś, że Gołykow mnie szuka? – nagle zmieniła temat.

– Tak. Chciał ci jeszcze zadać kilka pytań. Ale jeżeli sobie życzysz, mogę powiedzieć, że nie czujesz się na siłach i że sytuacja cię przerosła. – Jan przytrzymał jej rękę, przymknął oczy i przez moment napawał się jej bliskością.

– Dobrze, zrób tak. – Ku jego wielkiemu zaskoczeniu zgodziła się. – Komisarz Nikołaj Nikołajewicz Gołykow powinien widzieć we mnie słabą kobietkę, której trzeba pomóc – dodała z głębokim westchnieniem. – Wszystko to jest potwornie trudne. W prawdziwym życiu nie ma miejsca na szczerść. Przez cały czas odgrywamy jakąś rolę... Widać mnie przypadł w udziale dramat. – Skrzywiła się i delikatnie uwolniła swoją dłoń z jego ręki, a następnie ruszyła w kierunku schodów.

– Niech jej Pelasia pilnuje. – Jan odprowadził Konstancję zaniepokojonym spojrzeniem. – Nie jest dobrze!

– Niech się panicz Januś nie martwi. Nawet jak teraz nie jest, to za moment będzie lepiej – odparła machinalnie ochmistrzyni i truchtem ruszyła za swoją dobrodziejką.

Jan po chwili otrząsnął się ze złych myśli i równym krokiem poszedł w kierunku, skąd dobiegał głos komisarza Nikołaja Nikołajewicza Gołykowa.

– Niestety, pani Konstancja niezbyt dobrze zniosła to, co się stało. –

Teatralnie rozłożył ręce i w duchu przyznał kobiecie rację. Całe życie wszyscy bez wyjątku odgrywali jakieś role. „Ale skoro i tak jestem do tego zmuszony, to przynajmniej zrobię to, jak najlepiej potrafię” – postanowił, po czym zadeklarował: – Jeżeli mogę w czymś pomóc, pozostaję do pana dyspozycji, komisarzu. Ostatecznie byłem tu przez cały czas i mogę odpowiedzieć na każde pytanie. Bójki to męska rzecz, nie mieszajmy w to kobiet – dodał i po minie Rosjanina poznał, że obrał właściwą linię postępowania.

Konstancja zaskakująco szybko przeszła do porządku dziennego nad tym, co się stało.

– Najważniejsze, że mamy to już za sobą – powiedziała do Jana następnego dnia przy śniadaniu. – Najgorzej jest czekać na niewiadome. Teraz znów możemy szykować się do podróży. Chcę wyjechać jak najszybciej. Muszę jedynie dopilnować pogrzebów tych, co zginęli.

„Zemstę za ich śmierć zostawię sobie na później” – dodała w duchu.

– Właśnie, bo jeżeli o pogrzeb chodzi, to rodzina Waldka ma z tym niemały problem – wtrąciła Pelasia. – Waldek ich utrzymywał, ojciec jest już stary, zresztą kilka lat temu przy ścinie drzewo go przygniotło i stracił czucie w nogach. Opiekowali się nim wspólnie z matką. Teraz rodzice zostaną bez środków do życia. To jedno, a drugie... – Zawiesiła głos.

– No, niechże Pelasia mówi, na litość boską! – zirytowała się Konstancja.

– Nie stać ich na trumnę – wydusiła z siebie ochmistrzyni. – Matka Waldka może opłacić nabożeństwo, ale na drewno na budulec ostatniego łoża dla syna już jej zabraknie. Waldek zostanie owinięty ciemnym sukniem i wniesiony na marach do kościoła. Będzie miał też zapalone cztery świece. Tylko. Na więcej nie mają pieniędzy...

– Jak oni to znieśli? – Konstancja bała się odpowiedzi na to pytanie, ale jednocześnie nie mogła go nie zadać.

– Źle. Nie mogą się pogodzić z tym, co chłopaka spotkało. – Pelasia pociągnęła nosem i zamrużyła szybko oczami. Widać było, że robi wszystko, żeby powstrzymać cisnące się pod powieki łzy.

– Czasu nie cofnę, ale zrobię co w mojej mocy, żeby pomóc. Waldek będzie miał trumnę – powiedziała Konstancja, pochylając głowę. – Osobiście za nią zapłacę. I nie oszczędzajcie na świecach. W ogóle co się tyczy pogrzebu, to na niczym nie oszczędzajcie. Chłopak zasługiwał na długie, pełne szczęścia życie. Jeżeli nie jestem w stanie tego mu zapewnić, to chcę, żeby przynajmniej odszedł godnie. Marna to pociecha, ale tylko tyle mogę zrobić. A swoją drogą, jakim cudem dowiedziałaś się tak szybko o kłopotach jego rodziny? – zwróciła się do Pelagii.

– Znam ludzi i ich bolączki. – Ochmistryni wzruszyła ramionami. – Ufają mi, a co za tym idzie, nie boją się powierzać mi swoich tajemnic i zmartwień. To, że tam bida piszczy, to żadna nowina. A to o pogrzebie usłyszałam dzisiaj, gdy z samego rana do nich poszłam z pociechą.

– Zatem przekaz rodzicom Waldka, jakoś tak delikatnie, że nie muszą się martwić pieniędzmi. Boże, brzmi to, jakbym chciała zapłacić za spokój sumienia. – Konstancja ze łzami w oczach spojrzała w oczy Pelagii. – Gdyby nie ja, chłopak by dzisiaj jak co dzień wstał do pracy i żył pełną piersią.

– Czasem bez względu na to, kim jesteśmy, dopada nas bezradność – powiedziała cicho Pelasia i pod stołem dyskretnie, lecz mocno ucisnęła rękę Konstancji. – Ona nie patrzy na zasobność portfela i nie ma problemu z rozgoszczeniem się zarówno w komnatach pałaców, jak i pod strzechą wiejskich chałup. I czasem zdarza się tak, że nic nie możemy z nią zrobić prócz zapalenia świec i podarowania ostatniego, twardego łoża. Ale kto wie, może to znaczy znacznie więcej niż cokolwiek innego?

– Chciałabym kiedyś być tak mądra jak ty – szepnęła Konstancja. – I chciałabym tak po prostu wierzyć i wszystko przyjmować – dodała zduszonym głosem. – Ale wiem jedno, czasu nie da się cofnąć. Za to trzeba się nauczyć dbać o przyszłość. I dlatego tuż po pogrzebach pojedziemy na bagna. Pora zadbać o los tych, którym jeszcze można pomóc, zanim okaże się, że znów jest za późno

– dodała stanowczo.

Pelagia nic na to nie odpowiedziała, choć na usta cisnęło jej się tysiące słów. Wiedziała jednak, że to nie czas na dyskusje.

„Będzie, co ma być” – pomyślała ponuro, spoglądając na prawie nietknięte półmiski.

Tego ranka nikt nie miał apetytu. Wilczy Dwór przeżywał trudne chwile.

Dom przyjął to z pokorą. Doskonale wiedział, że jeżeli trwa się przez dziesiątki lat, trzeba być przygotowanym na wszystko. Po okresie spokoju i dobrobytu zazwyczaj nadchodził trudny moment. Trzeba było go przetrwać i doczekać, aż zachmurzone niebo znów się przetrze i zza chmur wyłoni się słońce. Dwór wiedział, że wszystko ma swój czas. I w związku z tym nie wątpił, że burze miną i ustąpią miejsca tęczom i słonecznym dniom. Ubolewał tylko nad tym, że mieszkający w nim ludzie byli pozbawieni tej pewności. Wilczy Dwór, gdyby mógł przemówić, powiedziałby swoim mieszkańcom, że podczas minionych lat widział już wszystko: łzy, rozpacz, radość i nadzieję. I że jego ściany, podłogi i stropy przepelnione są tym, co w życiu każdego człowieka i domu jest najważniejsze: miłością, czułością i troską. I że te wszystkie uczucia, gromadzone przez lata, czuwają nad kolejnymi pokoleniami, podobnie jak duchy tych, którzy odeszli.

Pelagia z ponurą miną patrzyła na skromną bryczkę stojącą naprzeciwko ganku. Do ostatniego momentu usiłowała zniechęcić swoją dobrodziejkę do tej wyprawy. Ale na nic się zdało biadolenie, prośby i perswazje. Nawet szantaż („Już więcej nic dobrodziejce nie wyjawię!”) nie podziałał. Pelagia zrobiła, co było w jej mocy, i wyczerpała wszystkie argumenty. Mogła wprawdzie użyć jeszcze gróźb, ale do tego nie śmiała się posunąć. Zresztą, znając Konstancję i jej nieustępliwość, wątpiła, czy cokolwiek na świecie mogłoby odwieść ją od raz powziętego zamiaru. Ta kobieta była po prostu nieznośna!

– Niedobrze się stało, oj niedobrze – mruzczała pod nosem zafrasowana kobiecina. – Leśne ostępy i lepianka znachorki to nie jest miejsce dla każdego. Żeby z tego jakiegoś nieszczęścia nie było...

– Co tam Pelasia mruczy pod nosem? – rozległ się tuż za nią głos Konstancji.

– Że nie podoba mi się ta wycieczka! Dobrodziejce bliżej na salony i do pałaców, a nie na bagna, w błoto i szlam! – powiedziała bez ogródek. – I może mnie nawet dziedziczka ze służby wydalić i precz odesłać, ale i tak zdania nie zmienię! I chcę, żeby była jasność: robię to tylko dlatego, że w przeciwieństwie do co poniektórych swoje miejsce znam i muszę robić, co mi każą. Ale nie popieram – zakończyła, hardo unosząc podbródek i patrząc Konstancji prosto w oczy.

– Przyjęłam do wiadomości. – Młodsza z kobiet pokiwała z powagą głową. – Zawsze uważnie słucham tego, co inni mają mi do powiedzenia...

– Aha! A potem i tak robię, co chcę! – przerwała jej Pelasia.

– Cóż, taka moja rola. W innym wypadku już dawno byśmy poszli

z torbami, a tak dzięki temu mojemu uporowi całkiem nieźle nam się żyje.

– Jak zwykle dobrodziejka się nie docenia. Wilczy Dwór to jeden z niewielu majątków, gdzie wszystko jest utrzymane na tak dużej stopie* – sprostowała Pelagia i wspaniałomyślnie postanowiła się już więcej na Konstancję nie dąsać. Bo właściwie po co, skoro i tak wszystko już było przesądzone. – Swoją drogą, to zawsze mnie zastanawiało, dlaczego akurat na dużą stopę – zagadnęła, ze zniecierpliwieniem popatrując w kierunku bryczki.

„Ciekawe, gdzie podziewa się nasz nieszczęsny woźnica?! Już ja mu powiem do słuchu, gdy tylko się pojawi” – pomstowała w duchu.

– Pelasiu, czy Pelasia mnie w ogóle słucha? – wdarł się w jej myśli głos Konstancji.

– Najmocniej przepraszam dobrodziejkę! Zapatrzyłam się na konie. Niecierpliwia się już od tego stania.

– Za chwilę będą miały ruchu pod dostatkiem. – Konstancja podeszła do zaprzężonych zwierząt i pogładziła ich kare pyski. – A co do twojego pytania, to chodzi o to, że dawno temu mierzono trzewiki od rangi noszącej je osoby. – Konstancja poprawiła zsuwającą się z ramion chustę. – Książęce były na dwie i pół stopy długie, baronowie nosili rozmiar na dwie stopy, a szlachcic już tylko na jedną i pół. I stąd wzięło się porównanie. Ojciec mi to kiedyś wyjaśnił – dodała i w zamyśleniu popatrzyła na wystające spod sukni czubki ciężkich butów, w których zazwyczaj towarzyszyła Hieronimowi podczas wiosennych objazdów pól.

„Ale to wszystko się pozmieniało... – pomyślała bezwiednie, wysuwając stopę do przodu. – Gdyby żył Tadeusz, nigdy zapewne nie włożyłabym czegoś takiego, ba, nawet by mi to przez myśl nie przeszło. A jeżeli ktoś by mi powiedział, że za parę lat będę miała kilka par takich trepów, i to na własne życzenie, to zapewne posądziłabym go o szaleństwo. Wtedy w rachubę wchodziły tylko delikatne trzewiczki i kolorystycznie dobrane do nich kapelusze.

Trzeba się było nieźle nabiegać, żeby znaleźć identyczny odcień, lecz jako elegantka numer jeden na salonach musiałam dbać o szczegóły. Niesamowite, że wtedy uchodziłam za piękność... Kto wie, być może gdybym się nie wycofała z życia towarzyskiego, udałoby mi się nadal dzierżyć w tej kategorii palmę pierwszeństwa? Tylko grupę wiekową musiałabym zmienić” – uśmiechnęła się kpiąco do własnych myśli.

Przed oczami stanęła jej jedna z dawnych sukien z kremowego jedwabiu, ze spódnicą, której dół haftowany był w drobne polne różyczki. Prezent od Tadeusza. Zamówił ją w Paryżu, każdy płatek haftowany był z taką precyzją, że wydawało się, iż to świeże kwiaty rozsypują się koło jej stóp i wirują wokół niej w tańcu. Na moment przymknęła powieki i zdawało jej się, że czuje pod palcami śliski i chłodny dotyk jedwabiu. Aż się wzdrygnęła, gdy policzki musnął jej wiatr. Otworzyła oczy i pierwsze, co zobaczyła, to ciężki but, którym wywierciła dołek w żwirowej ścieżce. Mimowolnie odetchnęła z ulgą. Suknia zjawa i widmo dawnego życia pierzchły na widok tego przyziemnego obrazka. Choć pozostało po nich coś nieuchwytnego, a jednak obecnego.

„Cóż, może rzeczy też mają duszę – pomyślała, wychodząc z cienia na słońce. – Być może właśnie jeden taki duch mi się objawił. Kremowa jedwabna mara... O czymś takim to nawet Pelasia zapewne nie słyszała!”

– Dobrze, że dobrodziejka nie założyła pantofelków, bo w lesie mokro. A tam gdzie idziemy, ziemia nigdy nie wysycha – odezwała się jakby na zawołanie kobiecina. – No, gdzie jest, u czorta, ten chłopak?! Bryczkę podstawił i zapadł się pod ziemię! Ile można czekać?! – nie wytrzymała w końcu.

– Pewnie Józka szuka. – Konstancja, w przeciwieństwie do swojej ochmistrzyni, nie wydawała się wcale poirytowana ani zaniepokojona nieobecnością woźnicy.

– Józka? Tego furmana panicza Janusia?

– Tak, tego samego.

– Ale po co?

– Kazałam mu go przysłać. Pojedziemy z Józkiem i Wasylem. Woźnica dopiero zaczął u nas służyć. Lepiej go nie wtajemniczać w takie sprawy. Pewne rzeczy wymagają obecności ludzi, na których w stu procentach możemy polegać.

– Ale po co nam taka obstawa? Dobrodziejka nie rozumie powagi sytuacji. Margocha nie lubi tłumów...

– Józek i Wasyl popilnują koni. Sama Pelasia mówiła, że bryczkę trzeba będzie zostawić i kawałek pieszo przejść. A im w dwójkę będzie różniej. Przecież nie wiadomo, gdzie się podział Sepiński ze swoimi ludźmi... Niby zniknął, jakby pod ziemię się zapadł, ale lepiej na zimne dmuchać i zachować ostrożność. A co do upodobań tej twojej Margochy, to nie chcę być niegrzeczna, ale co ona mi zrobi? Zamówi mnie? Złym okiem popatrzy? Ja w takie rzeczy nie wierzę.

– I dlatego nie powinna tam dobrodziejka jechać! Nie trzeba wchodzić w miejsca, których kompletnie się nie rozumie i do których brak komu szacunku, bo niewiara nie zawsze od wszystkiego chroni! Czasem wręcz przeciwnie, osłabia i sprawia, że łatwiej jest takiego sceptyka osiągnąć. A bywa, że szczególnie zło przyciąga właśnie ten, kto nie wierzy. – Pelagia poczuła, że znów ogarnia ją mdlące uczucie strachu.

– Mówi Pelasia, jakbym wybierała się na wojnę! Spokojnie, nie zamierzam nikogo obrażać. Znachorka i jej praktyki interesują mnie tylko o tyle, na ile są powiązane z Kaską. Przede wszystkim o nią mi chodzi. Chcę zobaczyć na własne oczy, jak się miewa i czy jakoś by można jej pomóc. A zło i wiara w gusła to dwie różne sprawy! O, Józek z Wasylem idą. Możemy wsiadać – dodała i z wyraźną ulgą ruszyła w kierunku powozu.

Nie miała ochoty na przeciąganie tej dyskusji. Przede wszystkim dlatego, że nawet przed samą sobą nie chciała się przyznać, że niepokój Pelagii i jej się udzielił. Spojrzała na majaczącą w oddali ciemną i groźną plamę lasu i pomyślała, że być może niepotrzebnie upierała się, żeby jechać popołudniem. Zanim dojadą,

a potem dotrą na mokradła, zapewne już się ściemni.

„A może Pelagia ma rację? Może powinnam dać sobie spokój?” – przemknęła jej przez głowę natrętna myśl, ale z miejsca odgoniła ją od siebie.

Teraz nie mogła się wycofać. Zresztą gdyby to zrobiła, zagryzłyby ją wyrzuty sumienia i już nigdy nie mogłaby spokojnie spojrzeć w oczy ani sobie, ani Leonowi. Obiecała mu przecież, że pomoże. A Konstancja była z tych, którzy raz danych obietnic nie łamią nigdy.

Większość drogi upłynęła im w milczeniu. Nawet Józek, tak zwykle rozgadany i skory do żartów, tym razem siedział cicho. Szeroki leśny dukt poprowadził ich w głąb lasu. W pewnym momencie Pelasia kazała im zboczyć z szerokiej drogi i skręcili w wąski przesmyk. Ścieżynka coraz bardziej się zwężała, aż w końcu Józek wstrzymał konie.

– Dalej nie przejedziemy – powiedział, odwracając się do Konstancji. – Za wąsko i coraz bardziej mokro. Boję się, że się zapadniemy.

– W takim razie nie pozostaje nam nic innego, jak pójść pieszo. – Konstancja zwinnie wyskoczyła z bryczki i poczekała, aż Pelasia się z niej wygramoli.

Patrząc, jak ochmistryni ostrożnie stawia stopy, jak niezgrabnie jej to idzie, poczuła w piersi nagłe ukłucie żalu.

„Nie wiedzieć kiedy i jak moja najwierniejsza przyjaciółka się zestarzała – pomyślała ze smutkiem. – Nie wyobrażam sobie, jak Wilczy Dwór mógłby żyć bez niej. Jak ja bym mogła bez niej funkcjonować...? Zresztą o czym ja w ogóle myślę” – skarciła się w duchu i z irytacją potrząsnęła głową.

– A co dobrodziejka tak zmarkotniała? – zagadnęła ją Pelagia, strzepując ze spódnicy błoto, którym się uwalala, wysiadając z powozu.

– A jakoś tak smutno mi się zrobiło. – Usiłowała nadrobić miną. – Nie przejmuj się, zaraz mi przejdzie. To co, idziemy? Wy tu zostańcie i ani na krok nie oddalajcie się od powozu. Koni pilnujcie – zwróciła się do Józka i Wasyla, którzy w odpowiedzi pokiwali głowami.

Odchodząc, Konstancja widziała jeszcze, jak Wasyl z kieszeni narzuconej na ramiona kapoty wyciąga talię sfatygowanych kart.

„Przynajmniej nie będą się nudzić”. – Uśmiechnęła się pod nosem.

– Dobrodziejka podąża za mną – nakazała Pelagia, brnąc naprzód drobnymi kroczkami. – Dokładnie po śladach, dobrze?

– Dobrze – zgodziła się bez oporów. – Pelasia tu rządzi.

– Gdyby to była prawda, to w ogóle by nas tu nie było – zagderła kobiecina, jednocześnie bezbłędnie odnajdując ścieżkę wśród mokradeł. – A jeśli nawet, to na pewno nie pod wieczór! Co dobrodziejce strzeliło do głowy, żeby upierać się przy tej porze dnia? Przecie już się zmierzcha. Szczególnie w lesie – dodała i zatrzymała się raptownie. – Teraz niech pani dokładnie patrzy – nakazała. – Tu musimy ostrożnie stawiać kroki. Bezpieczna ścieżynka jest wąska na jedną stopę – mruknęła i zamilkła, skupiając się na tym, którądy iść, żeby nie zboczyć z suchej dróżki.

„To jest rzeczywiście dobre pytanie – pomyślała Konstancja, wyteżając wzrok i usiłując nie stracić równowagi. – Dlaczego nie chciałam przyjechać tu rano?” – zapytała się w duchu z lekką trwogą i przystanąła, popatrując wokół.

Choć poza lasem było jeszcze widno, tutaj już błąkał się niebieskawy zmrok unoszony na lekkiej siateczce mgły. Na pokrywających bagniste rozlewiska zielonych liściach osiadały błyszczące krople, a od połyskującej pomiędzy zielonością stęchłej wody ciągnął chłód. Było w tym miejscu coś niesamowitego, przywodzącego na myśl dawne pogańskie uroczyska, o których czytała w powieściach i o których opowiadała jej w dzieciństwie Pelasia. Słuchając chlupotu wody, tajemniczych trzasków i szmerów, miało się wrażenie, że za chwilę ich zdumionym i przerażonym oczom ukażą się starodawni kapłani, składający ofiary bogom, o których nikt już dziś nie pamiętał.

– A dobrodziejka to czemu nie idzie? – Pelasia odwróciła się i spojrzała na zastygłą w bezruchu Konstancję. – Niech mi tylko nie mówi, że wpada w melancholię – dodała zaniepokojona. – Bagna na niektórych ludzi taki przedziwny wpływ mają, że rzucają cień na ich dusze i z miejsca odbierają im

ochotę do życia. Podobno ogarnia ich wtedy tak wielki smutek i żal, że sami wstępują w grząską ciemność i dają się pochłonać czeluści, która się pod nimi otwiera. Moja babka mówiła, że stąd właśnie pojawiały się na bagnach upiory i utopce. I że to one tę melancholię na żywych zsyłają, wabiąc ich przy tym głosami słodkimi jak miód i mając nieprawdziwymi obrazami. I w ten sposób ściągają do siebie kolejne dusze, skazując je na wieczne potępienie.

– Spokojnie, nic mnie nie mami ani nie wabi, choć muszę przyznać, że jest tu w powietrzu coś takiego, co sprawia, że dostaję gęziej skórki na plecach – przyznała uczciwie.

– Bagna mają swoje tajemnice i specyficzną atmosferę – zgodziła się Pelagia. – I nie przejmują się, czy ktoś w to wierzy czy nie – dorzuciła z lekką złośliwością. – Ale nie przystawajmy. Proszę pamiętać, że musimy dziś jeszcze tędy wrócić. Już niedaleko – mruknęła i znów ruszyły w drogę.

W końcu ścieżka powoli zaczęła się rozszerzać, aż przeszła w dużą wyspę umiejscowioną w samym centrum bagna. Na środku stała sklecona byle jak chałupa, pod którą siedziała jakaś odwrócona tyłem postać. Już miały do niej podejść, gdy powietrze wypełnił jasny, czysty i piękny śpiew.

Słuchaj, chłopcze! masz mnie kochać,

Kochaj z duszy całej!

Ja nie będę tęsknić, szlochać,

Jak inne szlochały!

Zdradź mnie tylko... Wiem, gdzie ścieżka!

Da mi brat talara;

Pójdę w bory, a tam mieszka

Czarownica stara. –

A jak ona cię zamówi,

*Zapisać na niebie,
Potem włosów twoich złowi,
Pod krzyżem zagrzebie;*

*Poznasz wtedy, jak to zwodzić
Miodowym wyrazem;
Będziesz wiedział, jak to chodzić
Do dwóch dziewcząt razem.*

*Jeśli puścisz się na wody,
Łódź z tobą zatonie;
Jeśli puścisz się na gody,
Rozniosą cię konie;*

*W lesie zginiesz w ciężkim bólu,
Bo cię dąb przywali;
A przy żniwie w ciężkim polu
Piorun cię wypali!*

*Ach i potem nieraz Stasiu
Z grobu już zapłaczę:
Ach! przebac mi, droga Kasiu!
Lecz ja nie przebaczę!*

Ostatnie słowa piosenki jeszcze przez moment dźwięczały w powietrzu i drżały w uszach zasłuchanych kobiet.

– Matko Boska, jakoś tak strasznie się zrobiło! – szepnęła Konstancja do Pelasi. – Ta woda, ten półmrok i te słowa o czarownicy, krzyżu i przekleństwach...

– To normalna piosenka, dziewczęta we wsi też ją nucą. – Pelagia usiłowała nadać swojemu tonowi lekkie brzmienie, choć i ją słowa przyśpiewki dziwnie zaniepokoiły.

– Ale to Kaśka, prawda? Poznają ten głos. – Konstancja nie spuszczała z oka siedzącej postaci. – Zawsze ślicznie śpiewała.

– Ano. To ona. Pewnie zioła przebiera, przynajmniej tym ostatnio się zajmowała. Ale zanim do niej podejdziemy, chodźmy do chaty, przywitamy się z Margochą i zaanonsujemy nasze przybycie.

– Zaczynam się czuć, jakbym zawitała do pałacu na audiencję u nie byle jakiej księżnej – mruknęła Konstancja, ale posłusznie ruszyła za Pelagią. W końcu to ona wiedziała, jakie zwyczaje tutaj panują i czego trzeba przestrzegać, aby nie urazić gospodyni.

Chata, która z zewnątrz wyglądała na coś, co ledwo stoi, wewnątrz okazała się zaskakująco przestronna i utrzymana w idealnym porządku. Jej środek zajmował długi stół, na którym stały kamienne miski i miseczki, słoczek i fiolki. Nad jedną z nich pochylała się kobieca postać.

– Dawno cię u nas nie było, Pelagio – powiedziała, nie unosząc ani na moment głowy. – Widzę, że tym razem przyprowadziłaś nam gościa – dodała, a Konstancja znieruchomiła na brzmienie jej głosu.

– A tak, pani Konstancja dowiedziała się o losie biednej dziewczyny i pragnęła zobaczyć, czy mogłaby jakoś pomóc – bąknęła Pelagia.

– O ile wiem, niczego jej nie brakuje. – Kobieta wyprostowała się i niespiesznym krokiem podeszła do przybyłych.

Konstancja z trudem utrzymała obojętny wyraz twarzy. Nic tutaj nie było takie, jak się spodziewała. Po pierwsze, zaskoczył ją głos Margochy, po drugie – jej wygląd. Zadziwiająco, że nigdy do tej pory jej nie widziała. Wiedziała oczywiście o jej istnieniu, słyszała, jak ludzie gadają między sobą o jej mocy i zdolności leczenia wszystkich chorób. Wyobrażała ją sobie jednak jako ubraną

w łańchmany staruchę z kołtunem zamiast włosów. Tymczasem stała przed nią przepasana schludnym fartuszkiem, czysto ubrana i całkiem młoda kobieta. Suknię miała skromną, ale nie ubogą, włosy splecione w warkocz i upięte z tyłu głowy. I była całkiem ładna. Widząc zaskoczenie malujące się na twarzy Konstancji, uśmiechnęła się pod nosem.

– Pani dziedziczka spodziewała się kogoś innego? – zapytała, mrużąc złośliwie oczy.

– Właściwie to tak – przytaknęła Konstancja, nie mogąc oderwać od niej spojrzenia. – Z tego, co mi o tobie opowiadano, wydawało mi się, że będziesz...

– Ehe, ehe – rozkaszała się nagle Pelagia. – Poklep mnie po plecach – wycharczała.

– Już, już. – Kobieta pacnęła ją kilka razy i z troską zajrzała w twarz kaszlącej. – Jeszcze czy już ci przeszło? – zapytała.

– Przeszło. Nie wiem, jak to zrobiłam, widać ślinę źle połknęłam i wystarczyło! Dobrze, że się nie udusiłam...

– Aha, nie ma to jak zachłyśnięcie, które pojawia się jak na zawołanie – przerwała jej bezpardonowo Margocha. – Przyprowadziłabyś, Pelagio, Kaśkę? Bo chyba o nią wam głównie chodzi?

– Już idę. – Pelagia wbrew zapewnieniu tylko nerwowo zadreptała w miejscu. – Chociaż nie wiem, czy nie lepiej by było, gdybyśmy razem jej poszukały – wymamrotała w końcu.

– Idź i o nic się nie martw. Nie przeklnę przecież twojej ukochanej dobrodziejki – roześmiała się chrapliwie Margocha.

– Nawet mi to przez myśl nie przeszło – skłamała gładko Pelagia, która przez cały czas właśnie tego się obawiała.

– W takim razie możesz ze spokojnym sumieniem iść do Kaśki. Tylko niech ziół nie zostawi na zewnątrz, bo wieczór już nam w oczy zagląda i zamokną od rosy – dodała, w milczeniu poczekała, aż kobieta wyjdzie z chaty. Dopiero wtedy

zwróciła się do Konstancji. – To na czym skończyliśmy? – zapytała.

– Na tym, że inaczej sobie ciebie wyobrażałam – odpowiedziała jej ta ostatnia, rozglądając się ciekawie po izbie. – Nie wiem, dlaczego wydawało mi się, że będziesz sta... to znaczy wiekowa – poprawiła się szybko.

– No tak, wszak każda wiedźma powinna być brzydka, stara, ruda i mieć zielone oczy – zakpiła Margocha. – Nie wiedzieć czemu wszyscy zapominają, że stare czarownice też kiedyś musiały być młode – uśmiechnęła się cierpko w odpowiedzi.

– Rzeczywiście coś w tym jest – przytaknęła Konstancja, biorąc głęboki oddech. – A teraz koniec owijania w bawełnę – wypaliła znienacka. – Tym bardziej że czas nas goni, bo chciałabym sprawę załatwić, zanim wróci Pelagia. – Stała przed Margochą i spojrzała jej prosto w czarne przepastne oczy. – To ty. To ty mnie ostrzegłaś przed tym, co ma się wydarzyć. Ty mi odradziłaś podróż. Tak było – bardziej stwierdziła, niż zapytała.

– Tak – potwierdziła wiedźma.

– Od razu poznałam cię po głosie. Czemu nie zrobiłaś tego jawnie? Czemu nie przysłałaś do mnie o normalnej porze?

– Czy naiwność jest cechą wszystkich bogaczy czy tylko tych mniej bystrych? – prychnęła rozeźlona Margocha. – Uważasz, że gdybym poszła do dworu w biały dzień, to udałoby się zachować to w sekrecie? Od razu wybuchłyby plotki i pomówienia. A gdybyś potem odwołała podróż, z miejsca skojarzono by to ze mną. Ostrzegłam cię, ale tak, żeby ani sobie, ani nikomu innemu nie zaszkodzić. Nie tylko stodoła mogła się zająć ogniem. Moja chata w środku lasu też doskonale by się paliła – dodała już spokojniej.

– Dobrze, to jedno w takim razie już zrozumiałam. Nawet przyznaję ci rację. Czemu nie powiedziałaś wszystkiego wprost? Po co te zagadki?

– Matka od małości przestrzegała mnie przed bezinteresownymi dobrymi uczynkami – mruknęła z głębokim westchnieniem znachorka. – Twierdziła, że

nic dobrego z nich nie wynika, a dodatkowo mają ogromny mankament: mnożą się. Jeden pociąga za sobą całą lawinę, pod którą można zginąć... Po co ci to wszystko wiedzieć?

– Bo nie rozumiem. – Konstancja rozłożyła bezradnie ręce.

– Ech, wy, ludzie wielkiego świata! Wszystko musicie odmierzyć, zważyć, dopasować do szablonu! Nic nie przyjmiecie na wiarę! Biedni, nie wiecie, ile tracicie! – Margocha pokręciła głową. – Powiedziałam tak, bo tyle wiedziałam. Różni do mnie przychodzą. Jedni plotą trzy po trzy, inni kłamią, jeszcze inni zwierają się z tajonych bolączek, bo uważają, że mogę im dać lekarstwo na zagłuszenie tęsknoty lub wyrzutów sumienia. Umiem ich przejrzeć, zajrzeć w najskrytsze zakamarki serca... Ale nie przejmuj się – dodała, widząc, że Konstancja oplata się ramionami w obronnym geście. – Mogę to zrobić, bo oni sami mi na to pozwalają. Zwykle przychodzą do mnie, bo czegoś chcą. Pragnienia obnażają duszę. I nie potrzeba tu żadnych specjalnych zdolności. Jedyne, co trzeba umieć, to uważnie patrzeć i na ludziach się wyznawać. A tego uczą lata przebywania z nimi. W takich mniej więcej okolicznościach dowiedziałam się o zamiarach Sepińskiego. Wiedział o waszej planowanej podróży. Miał razem ze swoimi zbirami zastawić zasadzkę. Chciał wyróżnić towarzyszących ci ludzi na twoich oczach. Potem puściliby cię wolno, żebyś wróciła do dworu, który wcześniej miał zostać spalony. Zastałabyś zgliszczą, ruiny i trupy. Bóg jeden wie, co jeszcze uczyniliby z tobą, zanim zwróciliby ci wolność. A jednocześnie nikt by cię nie szukał, bo wszyscy byliby przekonani, że jesteś w drodze. Zanim byś dotarła do dworu, już dawno by uciekli. Jedyne, co można było w tej sytuacji zrobić, to utwierdzić ich w przekonaniu, że nigdzie się nie wybierasz. Oczywiście mogło to nie przynieść pożądanego rezultatu, bo przecież Sepiński mógłby spróbować cię porwać z domu. Nawet nie byłoby to takie trudne, biorąc pod uwagę fakt, że ja przydybałam cię samą po nocy. Ale bał się ryzykować. Przypuszczałam, że tak będzie. To człowiek, który poza

wszystkim innym przywiązuje się do swoich planów. Gdyby uprowadził cię z domu, jego zemsta nie byłaby pełna. On nie chciał cię zabijać. Wprost przeciwnie: miałaś żyć. Pragnął natomiast, żebyś widziała, jak zadaje śmierć ludziom, na których ci zależy. I nie spoglądaj na mnie z takim przerażeniem. Nie wyczytałam tego z gwiazd ani nie odprawiałam żadnych rytuałów. Podpowiedział mi to wszystko charakter Sępińskiego. A znam go dobrze. Nie raz i nie dwa ratowałam dziewczyny, które wpędził w kłopoty. Kaśka przysłała za późno... – zamilkła i w zamyśleniu dorzuciła drew do znajdującego się w głębi chaty paleniska.

Ogień, dotąd tłący się jedynie, momentalnie wybuchnął większym płomieniem i oświetlił ciepłym blaskiem wnętrze chaty.

W pojaśnionym wnętrzu Konstancja z miejsca poczuła się lepiej. Półmrok nazbyt sprzyjał przerażeniu, które ogarnęło ją na wieść o zamiarach Sępińskiego. W ciepłym świetle rzucanym przez płomienie łatwiej było się opanować. W oczekiwaniu na dalsze słowa Margochy znów powiodła wzrokiem po pękach ziół wiszących u powały, po półkach zastawionych butelkami wypełnionymi tajemniczą zawartością. Ze zdumieniem spostrzegła też, że na stole leży kilka grubych książek. Czego jak czego, ale tego się nie spodziewała. Postać znachorki intrygowała ją coraz bardziej.

– Ale wracając do Sępińskiego i zemsty... – zielarka otrzepała ręce i wróciła do przerwanej opowieści – wiedziałam też, że ma alternatywny plan i będzie chciał odciągnąć ludzi od dworu. Nie miałam jednak pojęcia, jak chce tego dokonać. Wybacz, ale wtedy, w nocy, nie było czasu na tak szczegółowe wyjaśnienia. Dowiedziałam się niedawno, że tak jak przypuszczałam, nie chciał odejść od pierwotnych zamiarów. Dwór miał spłonąć, jak początkowo sobie założył. Tyle tylko że ani on, ani jego ludzie nie spodziewali się tak zażartej obrony. Myśleli, że wszyscy pognają do gaszenia płonącej stodoły. I tym mi, pani dziedziczko, zaimponowałaś. Nie dałaś się zwieść pozorom. W rezultacie

zamiast za łuczywa napastnicy musieli się chwycić za pistolety. Na podpalanie czasu nie starczyło. Zaspokoiliam choć trochę twoją ciekawość?

Konstancja przez moment nic nie mówiła. Trudno jej było uwierzyć, że gdyby nie przestroga zielarki, jej życie mogłoby runąć niczym domek z kart. Była twarda, ale doskonale wiedziała, że z tego, co przygotowywał dla niej Sępiński, już by się nie podniosła. Kobieta z bagien nie miała pojęcia, że jej słowa jeszcze bardziej podsyciły drzemiące w duszy Konstancji pragnienie zemsty.

– Tak, wiem wszystko, co powinnam wiedzieć. Dziękuję – przemówiła w końcu. – Chcę, żebyś wiedziała, że mam u ciebie dług. – Szczelniej otuliła się chustą i schowała w jej fałdach zziębnięte dłonie.

– To prawda – Margocha uśmiechnęła się krzywo. – Gdy nadejdzie odpowiednia chwila, przypomnę ci o tym. Ale nie pochlebiaj sobie, nie zrobiłam tego li i jedynie z dobrego serca. Mam też swoje powody, by chcieć popsuć Sępińskiemu szyki – dodała, sięgając po pęk suszonych ziół leżących na stole. – Masz, parz je co wieczór i pij. Jesteś blada, musisz krew odnowić i oczyścić – powiedziała jak gdyby nigdy nic. Tak jakby dziedziczka przyszła do niej po poradę dotyczącą zdrowia.

– Coś długo Pelagii nie widać. – Konstancja machinalnie przyjęła suchy wiecheć i obejrzała się na wejście do chaty.

W głowie nadal czuła mętlik i nie mogła przejść do porządku dziennego nad tym, co usłyszała.

– Wiedziałam, że do mnie idziecie, a że chciałam z panią dziedziczką zamienić kilka słów na osobności, to poprosiłam Kaśkę, żeby Pelagię zatrzymała. Miała zioła z kosza rozsypać. Trochę im zejdzie, zanim wszystko pozbierają – powiedziała zielarka i lekko się uśmiechnęła na widok zdumionej miny Konstancji. – Przyjrzyj się swoim ludziom – dodała szybko, widząc, że kobieta już otwiera usta, by zadać cisnące się na wargi pytania. – Nie wiesz, kogo masz

pod swoim dachem. Ten, kto mi przekazuje różne nowiny, nie jest groźny, ale masz w swoim kurniku prawdziwego lisa. To na niego musisz uważać, żeby ci w końcu co lepszych kur nie podusił. – Jej głos zabrzmiał złowroźnie. – I nie pytaj, kto to, bo pewności nie mam, a nie będę na nikogo rzucać nieuzasadnionych podejrzeń. To po pierwsze. A po drugie, zanim pójdziemy do dziewczyny, muszę ci coś powiedzieć. Wiem, że będziesz chciała ją stąd zabrać. Zanim to zrobisz, zapytaj ją jednak, czego chce. Nie ulega wątpliwości, że lepiej by było, żeby do porodu została tutaj. Ma tu spokój, nie denerwuje się, nie musi się obawiać ludzkich języków. Przy mnie jest bezpieczna, nikt nie odważy się na moim terenie jej ubliżyć ani dokuczyć. I nikt jej przy rodzeniu nie pomoże tak jak ja. Ból trzeba umiejętnie przeciąć, a do tego potrzebna jest wiedza nie każdemu dostępna. Potem zaś, gdy dziecko się urodzi, jeśli będzie chciała, zabierz ich do dworu. Jeżeli będzie chłopiec, nic mi do tego, ale dziewczynka jest moja – dodała z dziwnym błyskiem w oczach.

– Jak to twoja? – Konstancja poczuła, że pomimo ciepła, które dawała gruba chusta, drży na całym ciele. – Chyba nie chcesz odebrać Kaśce dziecka?!

– Takie małe do niczego mi niepotrzebne, poczekam, aż dorośnie – mruknęła kobieta.

„Zapachniało bajką o śpiącej królownie”. – Konstancja mimowolnie cofnęła się w kierunku wyjścia z chaty.

Coś w głosie i pałającym wzroku Margochy sprawiło, że nagle w pełni dotarło do niej, gdzie się znajduje. Wśród bagien, odosobniona, niemogąca liczyć na żadną pomoc. Na zewnątrz była wprowadzie Pelasia i Kaśka, ale podeszły wiek jednej i zaawansowana ciąża drugiej sprawiały, że nie były zbyt mocnym oparciem. „Gdy pomiędzy tobą a lwem nie ma żadnych krat, staraj się go nie drażnić” – przeleciały jej przez głowę zasłyszane kiedyś słowa.

– Nie bój się, nie chcę nikomu wyrządzić krzywdy – odezwała się kobieta, jakby czytając w jej myślach. – Po prostu... Jest coś, co każe mi czekać na

narodziny szczególnej dziewczynki. Ale to nie jest temat na teraz – powiedziała, potrząsając głową.

– Dobrze. – Konstancja wcale nie poczuła się uspokojona, ale zważywszy na okoliczności, rozsądnie doszła do wniosku, że najlepiej będzie nie wszczynać prowadzących donikąd dyskusji.

– Chodźmy w takim razie do Kaśki – mruknęła i wyszły z chaty w lepki od wilgoci zmrok.

Jeszcze nie było całkowicie ciemno, choć drzewa i wszystko wokół już spowijał granatowoczarny odcień, który przydawał kształtom miękkości i lekkości.

– Margocha to twoje prawdziwe imię? – zagadnęła Konstancja, żeby przerwać zalegające między nimi milczenie.

– A kto by mnie poważał, gdybym była zwykłą Małgością? – pytaniem na pytanie odpowiedziała znachorka. – To wy jeszcze tutaj się z tym grzebiecie? – zwróciła się do dwóch pochylonych przy ziemi postaci.

– A bo wszystko się wysypało – westchnęła Pelasia, z niepokojem patrząc to na Konstancję, to na Margochę i usiłując z ich twarzy wyczytać, co się wydarzyło podczas jej nieobecności. – W tym półmroku trudno zbierać, mało widać. Szczególnie że u mnie wzrok już nie ten co kiedyś – dodała, marszcząc brwi.

Kaśka natomiast nic nie mówiła, wyprostowała się za to z wyraźnym trudem. Brzuch miała ogromny, a buzię lekko opuchniętą. Ale w jej oczach Konstancja nie dostrzegła tego, czego najbardziej się bała. Nie było tam oznak szaleństwa ani niepoczytalności, jedynie lekki smutek podszyty rezygnacją. Przez moment stały naprzeciwko siebie w całkowitej ciszy. Patrząc na jej wielką niezgrabną sylwetkę, Konstancja poczuła zakłopotanie.

„Gdyby nawet chciała wrócić do dworu, to jak miałyby przejść po tej wąskiej ścieżynce? – zapytała się w duchu. – Wystarczy jedno potknięcie, zachwianie równowagi, a wylądowałyby w bagnie”. A innej drogi, z tego, co mówiła

Pelagia, najzwyczajniej w świecie nie było. Niespodziewanie jej rozmyślenia przerwał chichot, który wyrwał się z gardła Margochoy.

– Nie mogłam się powstrzymać – skomentowała ich zdumione spojrzenia. – Bo tego jeszcze nie było! Do wiejskiej dziewczki pani dziedziczka z wizytą przyjechała! Na bagna niczym na salony! – ponownie się zaśmiała, nieprzyjemnym, zgrzytliwym śmiechem, przywodzącym na myśl żabi rechot. – To wy teraz sobie tu porozmawiajcie, oby szybko. Słońce się chyli ku zachodowi i wracać wam będzie trudno – dodała już normalnym głosem.

– Kasiu, pamiętasz mnie? – Konstancja skupiła całą uwagę na dziewczynie, starając się nie zważać na zielarkę.

– Tak, pamiętam. Pani z Wilczego Dworu – powiedziała wolno, odruchowo kładąc dłoń na wielkim brzuchu.

Widać było, że to częsty gest. Być może znaczył, że już zaczynała kochać dziecko, które nosiła pod sercem. „Oby właśnie tak było, oby umiała zapomnieć o tym, jak zostało poczęte, a skupiła się tylko na maleństwie” – pomyślała z żarliwością Konstancja.

– Dopiero niedawno dowiedziałam się o tym, co cię spotkało – wróciła do przerwanej rozmowy. – I dlatego tu jestem. Drzwi Wilczego Dworu stoją otworem przed tobą i twoim dzieckiem. Jeżeli chcesz, zabierzemy cię tam nawet dzisiaj – dodała, usiłując nie myśleć o targających nią wątpliwościach, wąskich ścieżkach i bulgoczącym bagnie.

– Dziękuję, ale nie. – Kaśka dygnęła niezgrabnie. – Jeszcze nie teraz, nie w takim stanie – dodała i spojrzała na Margochę, jakby szukając u niej aprobaty.

Konstancja dostrzegła, iż znachorka nieznacznie, praktycznie niedostrzegalnie kiwnęła głową. Poczuli, że to wszystko bardzo, ale to bardzo jej się nie podoba. Jednocześnie doskonale wiedziała, że nic nie może z tym zrobić. Nie chciała dziewczyny do niczego zmuszać.

– Rozumiem – powiedziała tylko i spontanicznie sięgnęła do szyi. Lekko

drżącymi palcami odpięła cienki łańcuszek, na którym kołysał się srebrny krzyżyk, i wcisnęła go Kaśce do ręki. – Masz, niech was chroni – wyszeptała. – Wilczy Dwór cały czas będzie na was czekał. Jak będziesz gotowa, daj znać – dodała i odwróciła się do Margochy. – Opiekuj się nią. Zajrzę tutaj, gdy tylko...

– Gdy tylko wrócisz od swojej umierającej przyjaciółki – weszła jej w słowo znachorka. – Pilnuj jej, niech pije zioła, które ode mnie dostała – zwróciła się do Pelagii, która nic na to nie zdążyła odrzec, bo Konstancja chwyciła ją mocno za rękę i pociągnęła za sobą w kierunku, z którego nadeszły.

– A co mnie dobrodziejka tak ciągnie...? – wysapała w końcu zdyszana kobiecina. – Co takiego się stało?

– Nic oprócz tego, że przeraża mnie to, że ona wszystko o mnie wie...

– Mówią, że czarownice tak mają – burknęła Pelagia.

– A da Pelasia spokój! Czarownice, więdźmy! Gdybym podejrzewała, że jej poinformowanie wynika z tajemnych mocy, byłabym spokojniejsza – Konstancja odruchowo zniżyła głos. – Tymczasem prawda jest taka, że ewidentnie ktoś jej o wszystkim donosi. Jak na razie nie wydaje mi się, żeby chciała to wykorzystać przeciwko nam, ale samo to, że mamy u siebie szpiega, jest złe. Nie domyśla się Pelasia, kto to może być?

– Nie mam pojęcia. – Zafrasowana Pelagia pokręciła głową. – Ale się dowiem, tym bardziej że Hieronim twierdzi, że i Sępińskiemu ktoś donosi.

„Okazuje się, że nie tylko Hieronim o tym wie” – pomyślała Konstancja, ale nie podzieliła się tym spostrzeżeniem z ochmistrzynią. Nie chciała jej niepotrzebnie denerwować. Nie zamierzała też mówić jej o tym, czego się dowiedziała od Margochy. „Podzielę się tym z rządcą i wystarczy – postanowiła. – On już będzie wiedział, co z tym dalej zrobić”.

– A teraz dosyć czarnych myśli, trzeba się skupić tylko i wyłącznie na drodze – mruknęła Pelagia. – Tak jak poprzednio idę przodem, a dobrodziejka krok w krok za mną – zadysponowała.

I już w zupełnym milczeniu pokonywały wąziutką ścieżkę, która niczym cienka wstążka położyła się na uginającej się złowrogo powierzchni. Nad bagnami zachodziło słońce. Konstancja miała wrażenie, że owa wielka czerwona kula desperacko chwyta się powierzchni ziemi ostatnimi promieniami, usiłując nie zniknąć w ciemnej, gnijącej czeluści. Nagle ciszę przerwał dobiegający z oddali i zwielokrotniony echem śpiew:

*A jak ona cię zamówi,
Zapisać na niebie,
Potem włosów twoich złowi,
Pod krzyżem zagrzebie;*

*Poznasz wtedy, jak to zwodzić
Miodowym wyrazem;
Będiesz wiedział, jak to chodzić
Do dwóch dziewcząt razem.*

*Jeśli puścisz się na wody,
Łódź z tobą zatonie;
Jeśli puścisz się na gody,
Rozniosą cię konie;*

*W lesie zginiesz w ciężkim bólu,
Bo cię dąb przywali;
A przy żniwie w ciężkim polu
Piorun cię wypali!*

*Ach i potem nieraz Stasiu
Z grobu już zapłacze:*

Ach! przebacz mi, droga Kasiu!

Lecz ja nie przebaczę!

– Matko Boska, Pelasiu, wyjdźmy już stąd – jęknęła zduszonym głosem Konstancja. – Mam wrażenie, że w tym miejscu ożywają wszystkie upiorne historie, które mi opowiadałaś w dzieciństwie.

– Zaraz będziemy na miejscu. – Pelagia całą sobą stłumiła chęć prychnięcia: „A nie mówiłam?”.

„Co by to teraz dało? – pomyślała, ściskając w rękach zioła, które odebrała od swojej ukochanej dobrodziejki. – Ale rację miałam, bagna nie są dla każdego i nie każdy powinien się po nich włóczyć. Szczególnie przy zapadających ciemnościach i bez krzyżyka” – wzdrygnęła się i sięgnęła do kieszeni kubraka. Wyciągnęła z niej różaniec i wcisnęła dziedzicze w rękę.

– Niech dobrodziejka trzyma – mruknęła. – Ja mam krzyżyk na szyi – dodała, nie zdając sobie sprawy, że zamiast uspokoić, zdenerwowała Konstancję jeszcze bardziej.

* W tej chwili mówimy „na wysokiej stopie”, niegdyś zaś mówiono „na dużej”.

Dopiero gdy znalazły się w powozie, Konstancja nieco odetchnęła. Przymknęła oczy, usiłując uspokoić przyspieszony oddech i ujarzmić rozbiegane myśli.

„Lis w kurniku – przemknęło jej przez głowę. – To pierwsza rzecz, którą muszę się zająć. Nie można tego tak zostawić. Kto to może być?” Odkrycie tożsamości donosiciela było koniecznością, ale też budziło w niej niechęć. Bo kimkolwiek była ta osoba, z całą pewnością musiała być blisko niej, we dworze. Kto jej aż tak nienawidził, że nie wahał się wystawić jej i całego domu na niebezpieczeństwo? Na śmierć? Jak potwornie będzie spojrzeć zdrajcy w oczy... Wzdrygnęła się i poczuła, że Pelasia troskliwie otula jej kolana owczą skórą. Kto informował Margochę? To kolejne pytanie bez odpowiedzi, którą trzeba było jak najprędzej znaleźć. Nie wiedziała jeszcze, co z tym kimś uczyni, ale jedno było pewne: nie mogła dłużej pozostawać w nieświadomości. Do tego sama Margocha – a raczej Małgorzata, poprawiła się w duchu. Było w niej coś dziwnego. I nie chodziło wcale o potencjalne czary czy specyficzną atmosferę bagien. To ulotne wrażenie, które alarmująco tłukło się jej po głowie, dotyczyło zupełnie czegoś innego. Był w zielarce jakiś dysonans, rozdźwięk... – Konstancja w skupieniu zmarszczyła brwi. „Wygląd i wiek?” – zastanowiła się. Nie, to było zaskakujące, ale nie o to chodziło. I nagle spłynęło na nią olśnienie.

Znachorka nie mówiła jak Margocha. Mówiła jak Małgorzata. Choć starała się używać niewyszukanych słów, to swada, z jaką rozprawiała, wykluczała prostą kobietę. Podobnie jak książki, które leżały na stole.

– Kim jesteś? – szepnęła do siebie zaintrygowana Konstancja. – Skąd się wzięłaś?

Mnóstwo pytań domagało się odpowiedzi. I to na nich dziedziczka starała się skupiać całą swoją uwagę. Myślenia o morderczych zamiarach Sępińskiego unikała, ale nie z obawy. Po tym, co zrobił, musiał z resztką swoich ludzi uciekać, gdzie pieprz rośnie. Okoliczne lasy przetrzepano tak dokładnie, że nawet mysz by się tam nie ukryła. Sępiński był poszukiwany w całej Kongresówce i nawet jeżeli jeszcze tego nie uczynił, to z całą pewnością będzie się starał zbiec za granicę. Nie jego się więc bała. Lękiem natomiast napawało ją zupełnie co innego – chęć zemsty, która rosła w niej z dnia na dzień. To, czego się dzisiaj dowiedziała, podsyciło tylko tłącą się nienawiść. A takiej siebie Konstancja do tej pory nie znała.

Do wyjazdu tym razem przygotowano się szybko i bez przeszkód. Spakowano kufry, napełniono gobelinową torbę. Nakarmione i wypoczęte konie ruszyły przed siebie, ciągnąc kocz podróżny, w którym siedzieli Konstancja, Jan i Jagna. Młodą służącą zdecydowała się zabrać ze sobą w ostatnim momencie.

„Przyda mi się ktoś, kto będzie pełnił funkcję przyzwoitki” – pomyślała i zawiadomiła dziewczynę o swoich planach. Trzeba było szybko skompletować jej garderobę podróżną i zaopatrzyć ją w niezbędne rzeczy. Patrząc na zarumienione z radości policzki i entuzjazm, z którym przymierzała dwie nowe sukienki, Konstancja stwierdziła, że nie tylko jej sprawiła przyjemność. Obdarowując Jagnę nowymi rzeczami, sama poczuła się szczęśliwa.

Kocz toczył się przed siebie niespiesznie, a wstający poranek witał podróżnych błękitnym niebem i złocistymi promieniami słońca. Zaczęła się wiosna, pora, w której wszystko budzi się do życia. Aż nie chciało się wierzyć, że gdzieś tam u kresu drogi czeka kobieta, która już od jakiegoś czasu żegnała się z tym wszystkim, co zdążyła pokochać.

Żal jej było poranków, których nie przywita, kwiatów, które już nie będą dla niej pachnieć. Na myśl o tym wszystkim odczuwała ogromny smutek. Ale tym, co rozrywało jej serce na strzępy, co sprawiało, że każdej nocy szlochała w poduszkę, była nieuchroność pożegnania się z najukochańszym dzieckiem.

Dziewczynka też wiedziała, że nie zostało im wiele wspólnego czasu. Dni przestały być dla niej zapowiedzią przygody, a stały się wrogami. Każdy z nich zabierał cenne minuty bycia z mamą.

I bycia córką.

„Kim będę, gdy mamusia odejdzie? – zastanawiała się, leżąc wieczorem w łóżeczku i płacząc bezgłośnie. – Przecież ja umiem być tylko dzieckiem, najdroższym kochaniem mamy. Co się ze mną stanie?”

Mama cały czas powtarzała, że już niedługo wuj Jan przywiezie ze sobą ciotkę Konstancję, która się nią zaopiekuje.

– Zobaczysz, Tosiu, pokochasz ją całym sercem. Będzie ci u niej dobrze, zajmie się tobą jak własną córką – zapewniała ją żarliwie.

– Nigdy już nikogo nie pokocham – wyrzuciła z siebie z płaczem mała. – Nigdy, nigdy, nigdy! Miłość potwornie boli, mamusiu – dodała, wtulając się w jej chude ramiona.

Mira nie mogła nic na to odpowiedzieć, bo rozpacz ścisnęła jej gardło. Antonina miała zaledwie dziesięć lat. Dziecko nie powinno wiedzieć ani czuć takich rzeczy.

„Panie Boże, wybacz, ale nie pojmuję, do czego ci jestem tam potrzebna, skoro powinnam zostać tutaj. Miejsce matki jest przy dziecku. Przecież kocham tę kruszynę jak nikt inny, z dnia na dzień mocniej. Jak możesz mnie jej zabierać?” – myślała, z trudem sadzając sobie córkę na kolanach. Z upływem czasu była coraz słabsza, a Konstancja i Jan wciąż nie nadjeżdżali.

– Nie martw się, ja tutaj jestem i wszystkim się zajmę – zapewniała ją ciepłym głosem Stefcia, żona Jana.

Mira doceniała jej dobroć i gotowość do pomocy, ale jedyne, czego w tej chwili sobie życzyła, to przyjazdu Konstancji. Tak bardzo pragnęła jeszcze ją zobaczyć. Uścisnąć, spojrzeć jej w oczy i upewnić się, że Tosia będzie przy niej bezpieczna.

Poza tym, choć Mira nigdy by się do tego głośno nie przyznała, Stefcia irytowała ją potwornie. Chodzeniem na paluszkach, ciągłym wodzeniem za nią wzrokiem, jakby cały czas spodziewała się, że gdy tylko odwróci od niej oczy, Mira nagle umrze. Denerwowało ją też to, że Stefania omijała temat śmierci szerokim łukiem w myśl zasady, że w domu wisielca nie mówi się o sznurze. A przecież kres, nazwany czy nie, nadchodził nieubłaganie, z każdym dniem i godziną był coraz bliżej. Kobieta czuła zimny oddech śmierci tuż przy uchu. I potrzebowała, tak bardzo potrzebowała rozmowy o tym. Czuła, że musi oswoić śmierć z kimś, kto ją zrozumie i kto nie będzie ukradkiem wycierał oczu po kątach. Jeżeli już, to niech płacze otwarcie.

Po prostu potrzebna jej była Konstancja.

Lekarze nadal badali ją regularnie i ostatnio nic nie mówili. Przestali już nawet udawać, że szukają nowych kuracji czy lekarstw. Patrzyli tylko i Mira miała wrażenie, że w ich oczach widzi niedowierzanie. Rzeczywiście, wcześniej

zgodnie twierdzili, że nie zostało jej więcej niż dwa tygodnie. Tymczasem minął już ponad miesiąc, a ona nadal żyła. Wprawdzie coraz bardziej męczyły ją uporczywe ataki kaszlu, ale się nie poddawała. Musiała się upewnić, że Antonina jest bezpieczna. Pragnęła też uzyskać od Konstancji pewną obietnicę. Dlatego rozpoczęła wyścig z czasem i stanęła w szranki ze śmiercią. Chwilowo wygrywała, ale nie miała pojęcia, jak długo jeszcze da radę trzymać jej zimną kosę na dystans.

Coś na kształt przeczucia mówiło jej jednak, że Konstancja jest już blisko. I miała nadzieję, że intuicja jej nie zawiedzie.

Konstancja nie przystała na propozycję Jana, który usiłował ją przekonać, żeby zanim pojedzie do Miry, wstąpiła na chwilę do niego do domu.

– Janku, bardzo cię przepraszam, ale wolałabym nigdzie po drodze nie zajeżdżać. Coś mi mówi, że nie powinnam zwlekać – popatrzyła na niego obwiedzionymi ciemnymi obwódkami oczyma.

Ostatnie dni podróży były ciężkie. Spadł deszcz, powóz kilka razy grzął w błocie. Nie zdążyli dotrzeć na nocleg do zaprzyjaźnionego dworu i musieli przenocować w przydrożnym zajeździe. Dojechali do niego ciemną nocą, a wyrwany ze snu właściciel, Żyd, jął z miejsca głośno zapraszać ich do izby. A robił przy tym tyle hałasu i biegał od koczku do otwartych drzwi zajazdu z taką prędkością, że zanim Konstancja wysiadła z powozu, miała wrażenie, że jest ich co najmniej kilku.

– Niepodobna, żeby jeden człowiek mógł być wszędzie naraz. Gdzie spojrzę, tam on – mruzczała do siebie, wyskakując z powozu i z miejsca grzęznąc w lepkiem błocie. „Cudownie, pantofle będą się nadawały tylko do wyrzucenia” – skonstatowała w duchu, ale była zbyt zmęczona, żeby bardziej się tym przejąć.

Tymczasem właściciel zajazdu przedstawił się jako Chrobierski i kłaniając się w pas, począł rozkładać deski od powozu do wejścia. Widać nie była to dla niego pierwszozna, że w słotny dzień jego podwórze zamieniło się w jezioro.

Gdy w końcu weszli do środka, okazało się, że to prywatna izba. Pogoniana przez gościnnego karczmarza zaspana rodzina gramoliła się właśnie z łóżek, a gospodarz, patrząc Konstancji miłośnie w oczy, przekonywał ją, że to tym lepiej, bo trafiły im się wygrzane pośłania.

– Mowy nie ma, nie będę spała w tym barłogu – mruknęła do Jana i zostawiając mu wyjaśnienie gospodarzowi ich stanowiska, pomaszzerowała z powrotem do powozu.

Tam, błogosławiąc w duchu Pelasję, wspólnie z Jagną i Józkiem wyciągnęli pierzyny, które ochmistrzy ni pomimo jej utyskiwań i marudzeń zapakowała do kufra. Teraz rozłożone na podłodze, były jak znalazł.

– Może i twardo, ale przynajmniej wszy po nas biegać nie będą – mruknęła, zamykając oczy.

Po raz pierwszy od wielu dni nie przewracała się z boku na bok, lecz usnęła nieomal natychmiast. Spała mocno nieniekokojona przez żadne sny, niedręczona przez koszmary. Poranek przywitała ze spokojem i wysoko uniesioną głową. Nareszcie dotarła do celu. Nadal wprowadzi bała się tego, co niebawem miało się wydarzyć, ale jednocześnie chciała już mieć to za sobą.

„Skoro to nieuchronne, to niech nadejdzie jak najszybciej. Chcę spojrzeć jej w oczy bez względu na to, czy wyczytam w nich żal do mnie, rozpacz czy bezgraniczny smutek. Przynajmniej będę wiedziała, co mogę zrobić” – myślała.

Jedyne, czego nie dopuszczała do wiadomości, to przypuszczenie, że mogłaby nie zdążyć na czas. Przez całą drogę udawało jej się odpychać ten lęk daleko od siebie. Ale im bliżej było do Miry, tym trudniej było trzymać na wodzy niepokój. Dlatego poganiała wszystkich, żeby jak najprędzej wyjechać od gościnnego Chrobierskiego, dlatego nie chciała zajechać do Jana i dlatego cały czas pokrzykiwała na Józka, żeby jechał prędzej. Dopiero gdy powóz stanął przed wjazdem do dworu Miry, kazała woźnicy wstrzymać konie. Przez moment trwała w bezruchu, patrząc na szeroką drogę obsadzoną kasztanowcami. Na jej końcu widać było bielone ściany drewnianego dworu. Konstancja miała wrażenie, że wszystko wokół niej zastygło w bezruchu. Na drzewach nie drgnął nawet listek. Ogarnęła ją trwoga...

„A co, jeśli jednak nie zdążyłam?” – przemknęło jej przez myśl.

„Wtedy musisz zadośćuczynić jej ostatniej woli – odpowiedziała samej sobie.
– Musisz znaleźć to dziecko i się nim zaopiekować”.

W tej samej chwili, jakby w odpowiedzi na jej myśli, koło powozu stanęła dziewczynka. Konstancja na jej widok drgnęła i odruchowo przycisnęła rękę do piersi.

– Dzień dobry – drobna istotka dygnęła jakby nigdy nic. – Jestem Antonina – przedstawiła się. – Nasza kucharka Teodozja powiedziała mamie, że jakiś powóz się w bramie zatrzymał, i z miejsca pobiegłam, żeby zobaczyć, czy ty to ty – zwróciła się do Konstancji.

– A ja... to ja? – zdumiona Konstancja zamrugnęła szybko i potrząsnęła głową.

– No przecież, że ty, to ty – uświadomiła jej mała rezolutnie. – Ciocia Konstancja znaczy – poprawiła się, patrząc na kobietę uważnie.

– A mnie to nie poznajesz? – uśmiechnął się do niej z kozła Józek.

– A poznaję, co mam Józeczka nie poznawać. Ale mama mi przykazała, że chociaż raz mam się zachować jak dama, bo pierwsze wrażenie jest najważniejsze. A sam, Józeczku, rozumiesz, że damy nigdy najpierw nie rozmawiają z furmanami, nawet jeżeli kochają ich nad życie – dodała i błysnęła białymi zębami w uśmiechu. – Ale jeżeli tylko to pierwsze wrażenie już zaklepałam, to chętnie cię uściskę – dodała i pytająco spojrzała na Konstancję.

– Proszę bardzo, mną się w ogóle nie przejmuj – kobieta nawet nie usiłowała ukryć rozbawienia.

Po tych słowach mała, niewiele sobie robiąc z towarzystwa, podkasała błękitną sukienkę, zwinnie wspięła się na kozioł i uścisnęła serdecznie młodego woźnicę. Potem, jakby przypomniawszy sobie o czymś, odsunęła się nieco i wysoko uniosła głowę.

– Jedziemy, Józefie – rzuciła, prostując plecy. – Mama wszak czeka – powiedziała, usiłując nadać tonowi rozkazujące brzmienie i odwróciła się do

siedzących z tyłu Konstancji i Jagny. – Czy wyszło wystarczająco po damowemu? – zapytała, śmiesznie marszcząc nos.

– Lepiej być nie mogło – roześmiała się Konstancja i pomyślała, że to jedno zdanie odnosi się do wielu spraw.

Po pierwsze, słowa dziewczynki zdjęły jej z serca ogromny ciężar. Zdążyła na czas, Mira nadal tu była. Po drugie zaś, Antonina z miejsca wzbudziła jej sympatię. A bała się bardzo tego, że nie będzie umiała znaleźć wspólnego języka z obcym dzieckiem.

„A może jednak ten cud, o którym wspominała Pelasia, się wydarzy? – pomyślała, bezwiednie zaciskając dłonie. – Może Mira wyzdrowieje? Jej córka tryska dobrym humorem, nie wydaje się niczym martwić... Z drugiej jednak strony – dzieci wszystko przyjmują inaczej. Zresztą kto wie, może Mira ukrywa przed nią swój stan. Na całe szczęście za chwilę wszystko się wyjaśni”.

Bielone ściany domu były coraz bliżej, aż w końcu konie zatrzymały się na podjeździe. Konstancja dotarła na miejsce.

Niestety, wystarczyło jedno spojrzenie na wychodzącą im na spotkanie Mirę, aby nadzieja na jakikolwiek cud zniknęła bezpowrotnie.

Kobieta była cieniem dawnej siebie. Wychudzona, nieomal przezroczysta, w niczym nie przypominała roześmianej, śmiałej Miry, jaką Konstancja zachowała w pamięci. Zniknął zawadiacki dołeczek w policzku, włosy zmatowiały, rysy twarzy się wyostrzyły. Jedyne oczy pozostały te same: wielkie, błękitne, ocienione pięknymi, podwiniętymi czarnymi rzęsami. Kiedyś potrafiła jednym spojrzeniem rzuconym spod tych rzęs rozkochać w sobie nieomal każdego chłopca. I wykorzystywała to bezwzględnie.

– Nareszcie! – Na widok Konstancji wyciągnęła przed siebie chudziutkie, ptasie ramiona. – Myślałam, że się już nie doczekam. – Uścisnęła ją lekko. – Jak wiesz, w mojej sytuacji obawy były jak najbardziej uzasadnione – dodała, patrząc na nią uważnie.

Konstancja w lot pojęła, że to próba.

– Wiem, dlatego spieszyłam się, jak mogłam – odpowiedziała, pilnując, by jej głos ani na sekundę się nie załamał.

– Wybacz, że nie wyszłam do bramy, ale jestem bardzo słaba – ciągnęła Mira uspokojona jej opanowaniem. – Ale jak tylko Teodozja mi powiedziała, że widziała powóz, wysłałam Tosię na przespiegi. O, Józek wniósł wasze bagaże – dodała i dopiero wtedy do Konstancji dotarło, że coś jest nie w porządku.

W domu było za cicho. Nie pojawił się nikt, kto by zadbał o kufry, i do tego te ciągle wzmianki o kucharce Teodozji...

„Wpadasz w paranoję, moja droga – przywołała się sama do porządku. – Ty

też w kółko mówisz o Pelagii i nic dziwnego w tym nie ma...”

– Zobacz, a ja cię cały czas trzymam w progu – przerwała jej rozmyślenia Mira. – Wejź proszę, Antonina pokaże ci twój pokój. Wybacz, że nie poprowadzę cię osobiście, ale od jakiegoś czasu nie wchodzę po schodach, bo...

– Gwałtowny kaszel przerwał jej w połowie zdania. – Sama widzisz – wykrztusiła z trudem.

– Nie mów nic, połóż się, a ja do ciebie za moment przyjdę. – Konstancja położyła jej rękę na ramieniu.

– Chodźmy, ciociu. – Do sieni wbiegła Antonina, dźwigając przed sobą wielką gobelinową torbę.

– Daj, ja ją wezmę. – Odebrała od małej pakunek. – Nie możesz tego nosić, to za ciężkie. Na dobrą sprawę i ciebie dałoby się tam zapakować – dodała, patrząc z niepokojem za odchodzącą Mirą.

– Nie przejmuj się, ciociu, jestem silna. Ostatnio pomagałam Teodozji nosić wiadra z wodą – powiedziała z dumą dziewczynka.

„A jednak coś jest nie w porządku. Dobrze mi się wydawało” – doszła do wniosku Konstancja.

Idąc na górę za Antoniną, rozglądała się uważnie wokół siebie. Na pierwszy rzut oka widać było, że dom jest zaniedbany. Kurz zalegał grubą warstwą na ramach obrazów, przy suficie wisiały pajęczyny. Pokój, do którego wprowadziła ją Tosia, został świeżo wysprzątny, ale od razu było widać, że nie robiła tego wprawna ręka.

– To ja teraz ciocię tutaj zostawiam i biegnę do mamy. – Antonina obróciła się na pięcie.

– Poczekaj chwileczkę – zatrzymała ją Konstancja. – Mama nie czuje się najlepiej, prawda? – zagadnęła, usiłując wy badać, na ile dziewczynka jest poinformowana o stanie matki.

– Przecież ciocia wie. – Tosia spojrzała na nią błękitnymi oczami, tak bardzo

przypominającymi oczy Miry. – I ja też wiem, że mamusia niedługo... – przerwała i głośno przełknęła ślinę, nie mogąc wymówić straszego słowa. – Ale obiecałyśmy sobie, że dopóki jesteśmy razem, to nie będziemy smutne. I ja się bardzo staram, tylko czasami, tak jak teraz, trochę mi nie wychodzi – powiedziała i szybko zatrzepotała rzęsami, zrzucając z nich lśniące krople.

A potem dziewczynka błyskawicznie wybiegła z pokoju. Słysząc było, jak pospiesznie zbiega po schodach.

Konstancja wypuściła z rąk torbę i bezsilnie opadła na stojące tuż obok krzesło. Schowała twarz w dłoniach, mocno zaciskając powieki i walcząc z napływającymi do oczu łzami. Rychło się jednak opanowała. Podeszła do lustra i przyglądając się swojemu odbiciu, powoli zdjęła kapelusz. Przyglądała włosy i przywołała na twarz pogodny wyraz.

„Skoro dziecko to potrafi, ty też będziesz musiała sobie z tym poradzić” – powiedziała do kobiety w lustrzanej tafli.

Po chwili już schodziła na dół. Miała wrażenie, że z każdym pokonywanym stopniem przybliża się do czekającego na dole przeznaczenia.

Tak naprawdę szczerze porozmawiały dopiero wieczorem, gdy Antonina poszła spać i zostały same.

– Jak zwykle jesteś dzielna. – Mira z trudem uniosła się na szezlongu i z błyskiem w oczach spojrzała na Konstancję.

– Chyba to do mnie powinna należeć ta kwestia – uśmiechnęła się tamta i odchyliwszy głowę, z westchnieniem oparła ją na adamaszkowym zagłówku fotela.

– E tam, ja już przywykłam. Do wszystkiego można się przyzwyczać. Natomiast ty zostałam z miejsca wrzucona na głęboką wodę. Trzeba było widzieć twoją minę, gdy mnie zobaczyłaś – Mira zaśmiała się lekko. – Widzisz, nawet śmiać się nie mogę pełną piersią, bo zaraz łapie mnie przeraźliwy kaszel, który męczy mnie tak, że potem natychmiast usypiam albo leżę, nie mogąc nawet ręki podnieść. Uwierz mi na słowo, galopujące suchoty nie są niczym przyjemnym. – Umilkła na chwilę i wyciągnęła rękę po delikatną porcelanową filiżankę, stojącą na intarsjowanym stoliku. – Wiesz, że teraz mogę włożyć palec w uszko tego cudeńka? – Wskazała na uchwyt filiżanki. – Kiedyś za nic nie udałaby mi się taka sztuka. To jedna z niewielu korzyści, jakie niosą ze sobą suchoty: nareszcie schudłam. Był czas, kiedy mogłam wręcz mówić, że jestem wytwornie szczupła. Niestety, przegapiłaś ten moment, bo to, co dobre, nigdy nie trwa wiecznie i niestety teraz jestem już tylko przerażająco chuda. Widzisz różnicę pomiędzy brzmieniem tych słów? Szczupłość jest pożądana i piękna, chudość z miejsca kojarzy się z kijem od szczotki. Nie ma w sobie nic wykwintnego. Co zresztą idealnie pasuje do mojego położenia...

– Miro, nie musisz ciągle mówić – przerwała jej Konstancja, poprawiając się w fotelu i nachylając w stronę przyjaciółki. – Nie musisz mnie zabawiać.

– Masz rację, wpadłam w słowotok. Ale to pewnie dlatego, że ostatnimi czasy nie miałam zbyt często towarzystwa. – Konstancja spostrzegła, że wyraz jej twarzy zmienił się nagle. Zniknął ledwo dostrzegalny uśmiech, usta nerwowo zadrgały. – I tego się boję najbardziej – powiedziała z nagłą porywczością. – Wiesz, jak zawsze lubiałam towarzystwo. Do niedawna jeszcze nie opuściłam ani jednego balu. Wydawałam u siebie podwieczorki, dom był pełen ludzi. A przecież już niedługo trafię na cmentarz, całkiem sama. – Głos jej zdrzął tłumioną rozpaczą. – Zakopią mnie, a ja tak nie lubię ciemności i wilgoci. Od jakiegoś czasu widok czarnej ziemi mnie przeraża. Jak ja to zniosę? Ja tak bardzo, bardzo kocham żyć! – Zapłakała bezgłośnie.

Konstancja odwróciła twarz tak, aby znalazła się w cieniu. Nie chciała, żeby Mira dostrzegła jej strach. Pod powiekami czuła szczypanie i nie wiedziała, czy uda jej się powstrzymać łzy.

– Bywają sytuacje, w których żadne słowa nie są odpowiednie, po prostu żadne nie wyrazi tego, co się czuje – wyszeptała w końcu i sięgnęła po rękę przyjaciółki. – Widzisz, to naturalne, że w takich momentach czujemy i strach, i bunt. W ludzkiej naturze leży lęk przed nieznanym, a śmierć wydaje się takim ostatecznym odcięciem od tego, co nam jest drogie. Ale być może ona wcale nie jest naszą nieprzyjaciółką, lecz przewodnikiem, kimś, kto przeprowadzi nas bezpiecznie na drugą stronę – mówiła Konstancja, nie bardzo wiedząc, skąd bierze te wszystkie myśli i słowa. – A tam zapewne jest świat podobny do tego naszego. Bo niemożliwe jest przecież, żeby człowiek żył, tworzył, budował tylko po to, żeby na koniec rozsypać się w pył. Musi coś być po tej drugiej stronie, coś, co uzasadnia nasz byt tutaj. Dlatego śmierć to nie pożegnanie na zawsze, ale chwilowa rozłąka – dodała i poczuła, że po policzkach spływają jej łzy. – Co nie znaczy, że nie będzie się tęsknić i cierpieć.

– Mniej więcej tak samo przedstawiłam to Tosi – powiedziała zduszonym głosem Mira. – Ale zadziwiające jest to, że wówczas nie bardzo wierzyłam w prawdziwość tych słów. Ty jednak sprawiasz, że czuję się uspokojona i nawet jakąś częścią siebie daję wiarę temu, co właśnie usłyszałam. Właściwie to od tygodni nie byłam tak spokojna... – Zakaszłała i wytarła usta chusteczką. Przez moment milczała, uspokajając oddech. – Konstancjo, wiem, że jesteś zmęczona, ale wybacz, nie proponuję ci jeszcze odpoczynku – odezwała się po chwili zupełnie innym głosem. – Zabrzmi to trochę obcesowo, ale nie wiem, ile mi czasu pozostało. Dlatego muszę bez owijania w bawełnę powiedzieć ci o wszystkim jak najszybciej. Wtedy będę spokojna.

– Mów. Jan wspomniał mi już, że chcesz, żebym to ja zajęła się Antoniną. Ale w tej sytuacji muszę zapytać: co z twoim mężem?

– Wiktoorem? Nie chce mieć z małą nic wspólnego. Mam to na piśmie. W końcu to nie jego dziecko, więc i nie jego kłopot, jak to ujął. A skoro już przy nim jesteśmy, to ile wiesz?

– O czym? – Konstancja z miejsca podwoiła czujność.

– O Wiktorze, rzecz jasna.

– Tylko tyle, że pojechał gdzieś w świat i zostawił cię całkiem samą – odpowiedziała, usiłując przypomnieć sobie, czy Jan wspominał o czymś jeszcze. – To wszystko – dodała, nie mogąc niczego innego wyłowić z pamięci.

– Rzeczywiście, to prawda. Wyjechał do Paryża. I pewnie całkiem nieźle się tam zabawia z francuskimi ładacznicami. Jak znam życie, bez umiaru pije szampana i dumnie przechadza się po bulwarach.

– A to łajdak! A twoja choroba, a ty? Nic go nie obchodzis?

– Konstancjo, pamiętaj, o kim mówimy. Nigdy go nie lubiłaś, doskonale wiedziałaś, kim jest, więc oczekiwanie od niego odpowiedzialności to czysta hipokryzja. Zresztą, patrząc na to z dystansem, lepiej, że tak się stało. Gdyby tu został, robiłby dokładnie to samo, tyle tylko że zamiast szampana żłopałby

gorzałkę, gził się po kątach ze służącymi, a bulwary zamienił na jarmarki. I oczywiście namiętnie grałby w karty. A tak przynajmniej, skoro jest daleko, nie muszę na to patrzeć. I oszczędzam tego mojej córce. A teraz najważniejsze. Zanim obiecasz mi, że zajmiesz się Tosią, musisz o czymś wiedzieć.

– Tak? – Konstancja zobaczyła, że na twarzy Miry pojawiły się rumieńce niepokoju.

– Antonina nic nie ma, zupełnie nic. Przyjmiesz pod dach kompletną bankrutkę – zakończyła nieomal szeptem.

– Nie rozumiem... – Konstancja zmarszczyła brwi.

– Wiktor cały majątek przegrał w karty. Od dawna jest nałogowym hazardzistą.

– A dom, ziemia?

– Wszystko. Nie mam nic.

– Kto zostanie nowym właścicielem?

– Niejaki Rozenkranc.

– Rozenkranc... – Konstancja powtórzyła nazwisko, notując je sobie w pamięci.

„Trzeba się dowiedzieć co to za jeden” – pomyślała.

– Tosia dostanie jedynie trochę biżuterii – ciągnęła tymczasem Mira – ale i to uszczuplone znacznie. Doktorzy, lekarstwa, to wszystko pochłaniało zawrotne sumy. Musiałam część rzeczy zastawić i wiem, że nie zdołam ich wykupić. Zdaję sobie sprawę, że to wygląda tak, jakbym chciała podrzucić ci kukułcze jajo, ale uwierz mi, nie...

– Przestań – przerwała jej niecierpliwie Konstancja. – Jeżeli sądziłaś, że zajmę się twoją córką tylko ze względu na majątek, to naprawdę kiepskie masz o mnie mniemanie. – Przerwała na chwilę i popatrzyła na zalegający na ramie kominka kurz. – Tak mi się właśnie wydawało, że coś jest nie w porządku. Służba dowiedziała się o problemach i odeszła?

– Po części tak. A ci, którzy zostali, strasznie się rozbisurmanili. Wiesz, gdy nie jesteś w stanie wszystkiego sama dogłądać, to...

– Kota nie ma, myszy harczą – dokończyła za nią Konstancja. – A co do Tosi, to możesz być spokojna, zaopiekuję się nią, jakby to było moje własne dziecko. Niczego jej nie zabraknie. Ani troski, ani uwagi, ani ciepła. Już zdążyłam ją polubić. Ale wyjaśnij mi jedno. Jak mogłaś być tak ślepa i wyjść za tego łajdaka?

– Był przystojny, wykształcony i dysponował czymś niezwykle pociągającym: mieszanką melancholijnego wdzięku z domieszką prymitywnej dzikości. To naprawdę niezwykle ponętna kombinacja – uśmiechnęła się Mira. – Wiesz, że z moją naturą trudno było się czemuś takiemu oprzeć. Zresztą zawsze miałam skłonność do nieodpowiednich mężczyzn. I widzisz, jak nam gładko idzie? Od razu przeszliśmy do kolejnej sprawy. Obiecuj mi, że nigdy, ale to przenigdy nie wyjawisz Antoninie, kto jest jej ojcem. W pewnym momencie będzie pytała i dociekała, ale nigdy, rozumiesz, nigdy nie może poznać prawdy!

– Mira, żądasz ode mnie rzeczy, których nie sposób obiecać. – Konstancja poruszyła się niespokojnie. – Przyznaję się bez bicia, umiem kłamać, ale nie w takich sprawach. I nie chcę tego robić.

– To co, w imię źle pojętej prawdy i uczciwości skażesz ją na potępienie i ostracyzm? Sama wiesz, do czego by doprowadziło ujawnienie tożsamości tego mężczyzny. To teraz powiedz mi, czy gdyby to dotyczyło twojego syna, miałabyś jakiegokolwiek skrupuły, wyrzuty sumienia, czy jednak łąłabyś jak z nut?

Konstancja przez moment zastanawiała się głęboko nad słowami towarzyszki. Bezwiednie sięgnęła do leżącej na stoliku szydełkowej serwetki i zaczęła zwijać jej brzeg w rulonik.

– Masz rację – odpowiedziała w końcu. – Obiecuję, że ode mnie Antonina się tego nie dowie.

– Dobrze, dobrze... – szepnęła Mira.

Na jej twarz wystąpiły krwiste rumieńce, oczy jarzyły się gorączkowym blaskiem.

– Powinnaś chyba wziąć leki. – Konstancja wstała z fotela, nachyliła się nad leżącą i dotknęła jej czoła. Było gorące.

– Noce są najgorsze – szepnęła jej towarzyszka spierzchniętymi ustami. – Najtrudniej je przetrwać i odgonić natrętne, straszne myśli. Dobrze, że przyjechałaś, że jesteś. Jakie to dziwne, że w obliczu ostateczności myślimy o rzeczach, które wcześniej w ogóle nie zaprzątały naszej uwagi. Pamiętasz, kiedyś Pelagia opowiadała nam, że przysłała na świat podczas ogromnej wichury. Ty tego nie wiesz, ale podczas pogrzebu Tadeusza Pelagia szlochała, że ten wiatr był zapowiedzią twojego losu, że niejedną raz poczujesz na swojej skórze, jak to jest być oddaną jego wszechwładnej mocy. Że jego podmuchy będą tobą miotać bez twojej woli i udziału. Wtedy tylko wzruszyłam ramionami. Zabobony i ludowe gadki, jak to Pelasia. Ale niedawno ta opowieść do mnie wróciła i natychmiast skojarzyła mi się z Tosią. Ona też urodziła się podczas zawieruchy. Leżałam na łóżku tuż pod oknem i pamiętam, że niebo, jeszcze przed chwilą rozświetlone gwiazdami, błyskawicznie zasłoniły ciężkie chmury. Wiatr wył jak opętany. Wtórowały mu głuche pomruki grzmotów i blaski błyskawic. W pokoju było tak duszno... Wezwana ze wsi Rozalka, kobieta, która odbierała wszystkie okoliczne porody, cały czas z lękiem patrzyła za okno. „Sucha burza to bardzo niedobry znak”, mamrotała nieustannie i co chwila przyklejała nos do szyby, sprawdzając, czy przypadkiem nie zaczyna padać. Niestety, z nieba raz po raz przecinanego błyskawicami nie chciała spaść ani jedna kropla. Rozalka powiedziała wtedy dokładnie to samo co niegdyś Pelagia: że urodziłam córkę wiatrów. Obie jesteście naznaczone i skazane na ciągłe burze. Tylko że moje dziecko jest jeszcze za słabe, żeby w pojedynkę się opierać tak groźnemu żywiołowi... Dobrze, że Antonina będzie miała ciebie. Ty będziesz jej

opoką i ochroną, ty umiesz walczyć z wichrem – dokończyła i wpiła w Konstancję rozpalone spojrzenie.

Kobieta wzdrygnęła się. Nagle poczuła ogromną chęć ucieczki. Chciała zapomnieć to wszystko, co przed momentem usłyszała, wymazać z pamięci rozjarzone gorączką oczy Miry. W spojrzeniu umierającej było coś pierwotnego, co przywodziło na myśl przepowiednie, które niechybnie miały się spełnić.

„To tylko gorączka, a w malignie mówi się różne rzeczy” – przekonywała samą siebie. Nie spuszczać Miry z oczu, drżącą ręką pociągnęła za szarfę z dzwonkiem, ale nikt nie odpowiedział na wezwanie. „No tak, kucharka na noc idzie do siebie, do chałupy” – przypomniała sobie po chwili. Widać nikogo innego nie było. Drżąc na całym ciele, chwyciła za świecznik i poszła do pokoju, który dawniej był salonem, a teraz został przysposobiony na sypialnię Miry. Na nakastliku* stała bateria buteleczek i słoiczków. Na całe szczęście każdy z nich był opisany i bez trudu udało jej się znaleźć środek na obniżenie temperatury. „A co by się stało, gdyby mnie tu nie było? – pomyślała, wlewając lekarstwo na łyżkę. – Kto by to zrobił?”

Nasuwała jej się tylko jedna odpowiedź: Antonina, córka wiatrów. Dziewczynka, której losy miały się spleść z losami mieszkańców Wilczego Dworu. Cóż, widać wicher, który wywołał tę burzę, był zaiste potężny i jego podmuchy sięgały naprawdę daleko.

* Szafka nocna.

Przez dwa kolejne dni Konstancja usiłowała zaprowadzić jakie takie porządki we dworze. Jagna bez słowa przepasała się fartuchem i zagoniła do pracy dziewczyny, które od samego rana włóczyły się po podwórzu bez wyraźnego celu.

Patrząc, jak nimi komenderuje i jak nie daje sobie wejść na głowę, Konstancja nie po raz pierwszy pogratulowała sobie, że zabrała młodą służącą ze sobą. W podróży nie raz i nie dwa okazała się jej wyręką i pomocą. Może i była nieco próżna, kochała fatałaszki i świecidełka, ale tak naprawdę to drobiazg. Zresztą każdy miał jakieś słabości.

„Może i dwór jest stracony, ale dopóki Mira żyje, wszystko ma wrócić do dawnego porządku – myślała, nadzorując mycie podłóg i odkurzanie mebli. – Później niech już się o to martwi nowy właściciel”. Na całe szczęście dowiedziawszy się, że Mira jest śmiertelnie chora, zgodził się, aby matka i córka pozostały w domu do końca.

– To była dziwna sprawa – opowiadała Mira. – W pierwszym momencie przyjechał razem ze swoimi ludźmi i nie chciał słuchać żadnych próśb ani błagań. A potem nagle zmienił zdanie.

– Cóż, może sumienie go ruszyło – mruknęła Konstancja.

– Nie wyglądał mi na takiego, który w ogóle wie, co to jest sumienie.

– Najważniejsze, że nie robi problemów – podsumowała Konstancja.

Rzeczywiście powód zmiany decyzji interesował ją w niewielkim stopniu. W końcu co za różnica, czemu zrobił, co zrobił? Ważny był rezultat. Ale tknięta jakimś niejasnym przeczuciem, jeszcze tego samego dnia, gdy w odwiedzinie

przyjechał Jan z żoną i córeczkami, Konstancja wymknęła się na podwórze i odszukała Józka.

– Słuchaj no, sprawę mam – szepnęła do niego, czujnie rozglądając się dookoła.

– Ja dla pani dobrodziejki wszystko – błysnął uśmiechem woźnica.

– Może wiesz, gdzie zatrzymał się niejaki Rozenkranc? Mira wspominała, że był tutaj, dopominał się o dwór, ale potem zmienił zdanie i dał jej spokój. Nie wiesz, czy wyjechał, czy został?

– A gdzie tam wyjechał! Toż on niczym ten sęp siedzi w karczmie i tylko czeka, aż pani Mira ducha wyzionie! Ja jaśnie pani powiem prosto z serca: on się nigdzie stąd nie ruszy, bo z majątku oka nie spuści!

– A daleko ta gospoda?

– A gdzie tam, ze dwadzieścia minut drogi.

– To zrobimy tak: ja się teraz gośćmi zajmę, ale potem, gdy już państwa do domu odwieziesz, wrócisz i mi pokażesz, gdzie mogę go znaleźć. Tylko nikomu ani słowa, dobrze? Nawet Janowi. Oczywiście musi wiedzieć, że do mnie jedziesz, ale już mnie pozostaw wyjaśnienia, po co cię potrzebuję – dodała.

– Skoro tak ma być, to będzie. Pary z gęby nie puszczę – przyrzekł Józek.

Po zmroku rzeczywiście zjawił się po nią i wspólnie pojechali do karczmy. Ledwo zatrzymali konie, a na twarzy furmana pojawił się uśmiech pełen tryumfu.

– Szczęście nam sprzyja – powiedział ucieszony. – Rozenkranc czasem gdzieś przepada, a tu proszę, oto on we własnej osobie. – Wskazał głową stojącego tuż przy wejściu do zajazdu mężczyznę.

Konstancja spojrzała w jego kierunku i natychmiast odwróciła twarz, naciągając na czoło kapelusz.

– Posłuchaj, postaraj się jak najmniej zwracać na siebie uwagę – wyszeptwała do zdumionego Józka. – Wycofaj konie i wracajmy.

– Ale na pewno? Przecież nawet z nim jaśnie pani słowa nie zamieniła.

– Na wszystko przyjdzie pora – mruknęła i jeszcze raz spojrzała na stojącego przed gospodą mężczyznę. – A teraz rób, co mówię – zadysponowała i wygięła rondo kapelusza tak, by przysłoniło jej twarz.

Józek już nie dyskutował. Podczas pobytu w Wilczym Dworze poznał Konstancję i wiedział, że jeżeli dziedziczka coś nakazuje, należy to wykonać bez szemrania.

Następnego dnia, gdy Mira usnęła napojona świeżym bulionem i naszprycowana lekami, do Konstancji przysłała Antonina. Od razu było widać, że małą coś dręczy. W końcu nie wiedząc, jak ma delikatnie wy badać sprawę, kobieta zaproponowała jej spacer.

W parku było cicho, cieniście i zielono. Wiosna nie próżnowała – pod drzewami rozkwitły całe kobierce białych i liliowych fiołków, a gałęzie drzew, poprzetykane zielonością świeżych listków, coraz śmieiej wyciągały swe ramiona do góry, jakby chciały dosięgnąć błękitu nieba.

Antonina szła obok Konstancji zamyślona i głucha na to całe piękno.

– Jak sobie radziłaś, gdy mnie tu nie było? – zagadnęła ją Konstancja.

– Teodozja gotowała i czasem nawet udawało jej się nagonić kogoś do sprzątnia, ale mało kto się jej słuchał. Nie to co Jagny. Jak ona wrzaśnie, ścierką przez łepetynę przyleje...

– Głowę – poprawiła ją odruchowo Konstancja, myśląc, że dziewczynka zbyt dużo przebywa ze służbą.

„A może nawet nie o to chodzi? Tylko o zachwianie proporcji? Mogłaby przebywać tyle ile teraz, pod warunkiem że oprócz tego miałyby inne towarzystwo. A tak, siłą rzeczy, przejmuje słownictwo i sposób zachowania od tych, z którymi najczęściej ma styczność... Tak czy inaczej – uznała Konstancja – Jagna rzeczywiście umie w gospodarstwie rządzić”.

– Ciociu, ja mam straszny kłopot – wyznała nagle dziewczynka. – I zupełnie nie mam kogo o to spytać. Mamusi nie mogę, bo to jej choroby dotyczy. – Zamilkła zakłopotana.

– Powiedz, może będę mogła ci pomóc – zachęciła ją łagodnie.

– Mamusia już choruje tak długo. I takie różne rzeczy ludzie mówili. Na przykład podkuchenna twierdziła, że to już z dawna było wiadome, że mama umrze, bo nasz pies od jakiegoś czasu wyje jak opętany. A podobno psy mają takie zdolności, że śmierć widzą i wyciem ją zapowiadają. Ale z kolei inna dziewczyna powiedziała, że to bzdura, bo psy, i owszem śmierć dostrzegają, ale jej nie znoszą i natychmiast przeganiają, po kostkach gryząc. To dlaczego nasze nie przegoniły? Przecież mamy świetne psy! Gdy jeszcze wujek Wiktor mieszkał z nami, to na polowaniach nasz chart Trop umiał nie tylko wilka wystawić, ale nawet w pojedynkę go przydusić i przytrzymać. To i śmierć powinien umieć przepędzić.

– Tosiu, nie możesz wierzyć we wszystko, co ludzie gadają. To są przesady, taka wiara, która jest w nas od dawien dawna, ale powtarza się te opowieści tak jak bajki i baśnie. I tak trzeba je traktować – wyjaśniła Konstancja. – To te psy tak cię dręczyły? – zapytała jeszcze dla pewności. – Bo jeżeli tak, to już się tym nie kłopotcz. Psy wyją, bo taka ich natura, żadnego drugiego dna w tym nie ma.

– Trochę o to chodziło. Ale nie tylko. Bo widzisz, ciociu, ja wiem, że my nie mamy pieniędzy, ale przecież to na pewno aż tak dużo nie kosztuje! Zresztą Teodozja mówiła, że Kazik mógłby nam zrobić, gdyby go tylko poprosić, bo Kazik za panią, czyli za moją mamą, wprost przepada. Bo mamusia jego Zosię uratowała, a potem jeszcze doktora do niej wezwała, kiedy...

– Zaraz, chwileczkę, bo ja zupełnie nic nie rozumiem – przerwała jej skołowana Konstancja. – Kim jest Zosia, a kim Kazik i co miałby zrobić za darmo?

– Kazik jest we wsi stolarzem. I to takim, że ho, ho! – Ton dziewczynki wystarczył, żeby nabrać pewności, że darzy stolarza Kazika niemałym podziwem. – Zosia to jego córeczka. Taka mała i słodka, że z miejsca chce się ją zjeść. Mówię cioci, po prostu pączek z lukrem. W zeszłym roku Zosia wpadła do rzeki

i prawie na śmierć się utopiła. Teodozja mówiła, że to wodnice ją za włosy wciągnęły do wody, bo była niegrzeczna.

„Coś mi się wydaje, że Teodozja doskonale by się dogadała z naszą Pelasią – pomyślała Konstancja. – Ani chybi ten sam typ”.

– No i co z tą Zosią? – zapytała głośno.

– Mama zobaczyła, jak wpadała, więc ją wyciągnęła i odratowała. Ale po tej kąpieli w zimnej wodzie Zosia dostała straszego kaszlu, a Kazik nie miał pieniędzy na doktora. Był w strasznej rozpacz, ale wtedy mama lekarza zamówiła i zapłaciła sama. I dlatego Kazik by zrozumiał i pieniędzy nie żądał. Tak mówi Teodozja.

– Ta wasza Teodozja to ma chyba dużo do powiedzenia – zagadnęła Konstancja, nie mogąc powstrzymać uśmiechu.

– O tak, buzia jej się nie zamyka – przytaknęła z entuzjazmem Antonina.

– A wracając do tego waszego stolarza, to co on niby miałby zrobić? – Konstancja wróciła do interesującego ją tematu.

– Taką platformę okrągłą, a na niej łóżko. Teodozja mi to dokładnie wytłumaczyła.

– A na jakie licho nam potrzebne takie ustrojstwo? – zdumiała się Konstancja.

– Żeby mamusia wyzdrowiała. Ciotka Teodozji to wypróbowała i żyje do dzisiaj. Śmiga jak sarenka. A chora była obłożnie. Z łóżka wcale nie wstawała i tylko wyglądała, aż po nią kostucha przyjdzie. Tak opowiadała kucharka.

– Teodozja? – upewniła się Konstancja.

– Ona, we własnej osobie. I któregoś dnia ta ciotka się doczekała. Zobaczyła, że śmierć przyszła i stoi w nogach. A wiadomo jest, że gdy się ją w nogach zobaczy, ale za chwilę zniknie, to chory wyzdrowieje. Ale gdy cały czas stoi, to tylko czeka na właściwy moment i zaczyna podchodzić do głowy. A kiedy tam się znajdzie, to już ciocia wie, co się wydarzy.

– Wyobraź sobie, że nie mam bladego pojęcia. – Konstancja miała niejasne wrażenie, że powinna przerwać te głupoty, ale jednocześnie była niezmiernie ciekawa, do czego prowadzą.

– No właśnie wtedy gdy ona stoi przy tej głowie, to się umiera. I ta ciotka tak sobie wykombinowała, że jeśli będzie miała łóżko na kole, to będzie mogła nim obracać, tak żeby śmierć zawsze stała w nogach. I widzi ciocia: poskutkowało. Tylko mama nie chciała nawet o tym słyszeć i kazała Teodozji przestać gadać głupoty. I teraz kucharka mówi, że to zapewne dlatego, że mama się martwi o pieniądze na to łóżko.

– O mój Boże, nie wiem, czy jestem na to gotowa – mruknęła Konstancja, wznosząc oczy do nieba.

Gdyby rzecz nie dotyczyła tak tragicznej sprawy, zapewne rozbawiłaby ją do łez. Ale przecież mała usiłowała za wszelką cenę ratować matkę.

„Jak mam jej powiedzieć, że to się nie uda? Że nie ma ratunku? – zapytała się w duchu Konstancja. – Sama się z tym nie umiem pogodzić, a jestem dorosła. Jak mogę żądać od dziecka, żeby pojęło to, czego pojąć nie sposób?”

– Już po minie cioci widzę, że to jest to samo, co z tym wyciem. Bajki, tak? – zanim kobieta zdecydowała, jak ma zareagować, Antonina sama sobie odpowiedziała na pytanie.

– Trochę tak. – Konstancja z trudem przełknęła ślinę. Czuła się podle, zabierając dziewczynce nadzieję. – Twoja mama, Tosiu, naprawdę jest bardzo chora. Nawet lekarstwa już nie chcą działać.

– Wiem. – Dziewczynka odwróciła od niej buzię, tak jakby nie chciała, żeby Konstancja zobaczyła odmalowującą się w jej oczach rozpacz. Po chwili jednak zadarła głowę i jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech. – Zobacz, ciociu, tam wysoko – wskazała paluszką na koronę drzewa. – Widzisz to gniazdko?

Konstancja przytaknęła. Rzeczywiście na gałęzi widać było utkaną z traw i gałązek malutką kolebeczkę.

– W zeszłym roku obserwowaliśmy je z mamą. Najpierw było w nim spokojnie, pani ptakowa siedziała dumnie w środku i czekała. Mama mówiła, że odpoczywa na zapas, bo doskonale wie, co ją czeka, gdy z jajek wyklują się pisklęta. A potem, gdy się pojawiły, to był taki harmider, taki ruch! Ani chwili wytchnienia! Mówię ci, ciociu, istne urwanie głowy! – Dziewczynka niespodziewanie odzyskała dobry nastrój, tak jakby opowieść o tym, co zdarzyło się w zeszłym roku, w magiczny sposób przeniosła ją do bezpiecznego czasu, gdy jej mamie nic nie groziło.

– Zupełnie jak w domu pełnym dzieci – uśmiechnęła się Konstancja.

– Mama też tak właśnie mówiła. A ty, ciociu, też masz taką urwaną głowę?

– To znaczy? – Ubawiona kobieta uniosła pytająco brwi.

– No... czy masz dom pełen piskląt – wyjaśniła Antonina.

– Pełen, owszem, ale pisklęciem nikogo z tej mojej gromadki bym nie nazwała. Chociaż, jakby się tak nad tym zastanowić, to są takie trochę przerośnięte dzieciaki. A niekiedy potrafią zaleźć za skórę bardziej niż cała horda maluchów. Sama Pelasia wystarczy za piątkę.

– A ta Pelasia to kto? – zaciekawiała się Tosia.

– Pelasia to... Pelasia – oznajmiła nieco zagadkowo.

Właściwie trudno jej było odpowiedzieć na to pytanie. Określenie „służąca” odpadało. Nie przeszłoby jej przez gardło. Przez te wszystkie lata Pelagia była zawsze tuż obok – lojalna, prostolinijna i uczciwa.

– Oficjalnie nazywam ją ochmistrzynią, ale prywatnie... – zawiesiła na moment głos – dba o mnie i o mój dom jak najlepsza przyjaciółka – dodała miękko.

– A to u nas w domu też kiedyś była taka pani – klasnęła w rączki Antonina.

– Wuj Wiktor też o niej mówił, że to jego najlepsza przyjaciółka. Ale mamusia za nią nie przepadała. A potem wuj zabrał ją ze sobą w daleką podróż. Tę przyjaciółkę, nie mamusię. Strasznie to dziwne, bo przecież to mamusia jest jego

żoną, a nie tamta pani. Nie sądzisz, ciociu, że żony w takich sprawach powinny mieć pierwszeństwo? – mała wpiła w kobietę przenikliwe błękitne spojrzenie.

– No tak, zazwyczaj tak właśnie jest – mruknęła niewyraźnie Konstancja, a w duchu stwierdziła, że gdyby tylko dostała Wiktora w swoje ręce, to łajdak nie wyszedłby z tego spotkania żywy.

– Mama wtedy strasznie krzyczała i płakała, i ciskała za ich powozem różnymi przedmiotami – mówiła dalej Tosia. – Nawet moje najlepsze pantofelki rzuciła. Ale nie mów jej o tym, bo ona nie wie, że ja to wszystko widziałam. Gdyby to teraz wyszło na jaw, tylko niepotrzebnie by się zmartwiła. Następnego dnia po tej awanturze razem z naszą kucharką Teosią wszystko to, czym mama ciskała, a co się nie zniszczyło, pozbierałyśmy z podwórka. Moje pantofelki też, chociaż trzeba je było porządnie wyczyścić, bo wpadły w błoto. A tamta pani miała tak dziwnie na imię... – Antonina z namysłem spojrzała w niebo. – Gdy zmiatałyśmy z dziedzińca resztki naszego serwisu obiadowego, który mamusia wytlukła do szczętu, to Teodozja ze łzami w oczach cały czas mamrotała pod nosem o tej... O, już wiem! Ladacznicy... Myślisz, ciociu, że to jej rodowe imię? Tak jak ja mam Antonina po babci?

– Nie jestem przekonana co do dziedziczności, ale za to jedno jest pewne: pasowało do niej jak ulał – powiedziała Konstancja ze złośliwą satysfakcją. – A co z tym gniazdem i ptaszkiem, o którym mi opowiadałaś? – zapytała, usiłując odwrócić uwagę dziewczynki od niebezpiecznego tematu.

Wiedziała, że zapewne nie raz i nie dwa powrócą jeszcze do wspomnianych przez Antoninę wydarzeń, ale wolała odwlec ten moment. Przygotować argumenty, odpowiednie słowa. Chociaż czy w ogóle można to jakoś logicznie i łagodnie wytłumaczyć, nie oszukując przy tym małej? A przy tysiącu różnych wątpliwości, które nią targwały, akurat tego była pewna: dziecka nie należy okłamywać. Bo, po pierwsze, kłamstwo prędzej czy później i tak wyjdzie na jaw, a po drugie, nie da się nikogo ochronić nieprawdą. Dziecko od początku musi

uczyć się brania z życiem za bary i patrzenia prosto w oczy prawdziwemu światu. Żadnych kloszy, które zniekształcają rzeczywistość, tym bardziej jeżeli dziecko jest dziewczynką.

Dziewczynki bowiem chowane w cieplarnianych warunkach przypominały delikatne kwiaty: przy pierwszym zetknięciu z mroźnym powietrzem natychmiast więdły. A przecież w dorosłym życiu tych zimowych dni, najeżonych ostrymi lodowymi igłami, było mnóstwo. Często takim momentem zapowiadającym wieczną zimę było małżeństwo. Biała suknia z naszytymi perełkami – symbolami wylanych łez – i welon, mający przysłonić wyzierającą z oczu rozpacz. Ostatni dzień bycia księżniczką.

Palców u obu rąk nie starczyłoby, żeby zliczyć koleżanki Konstancji, które łkając, przeklinały swoje doskonałe pochodzenie. Bo owszem, zapewniało im ono piękne stroje, suto zastawione stoły i rozrywki niedostępne niżej urodzonym, ale za to zabierało szansę na coś tak oczywistego jak prawdziwa miłość. Na całe szczęście jej samej zostało to oszczędzone. Zakochała się we właściwym chłopcu z odpowiednim majątkiem. Ot, szczęśliwy traf. Ale za to później, gdy Tadeusz odszedł, odebrała swoją prywatną lekcję życia. I udało jej się wyjść z niej z podniesioną głową. Zhardziała jednak, stwardniała. Ile ją to wszystko kosztowało, wiedziała tylko ona sama i może trochę Pelagia. Lekcje prawdziwego życia pozostawiły na jej duszy spore blizny.

Mimo to podniosła się, utrzymała majątek, zdobyła zaufanie i miłość ludzi. Trzeba było sporo czasu, aby jeden z drugim uwierzył, że niby baba, a jednak ma głowę i rękę twardszą od niejednego mężczyzny. Zwyciężyła, ale cały czas myślała o tym, o ile byłoby jej łatwiej, gdyby od początku była przygotowana do prawdziwego życia. W końcu można było pogodzić jedno z drugim. Mogła jeździć na bale, pięknie tańczyć, uroczym trzepotać rzęsami, uczyć się dyrygować służbą, a jednocześnie nabywać wiedzę o rachunkach, gospodarstwie i liczbach. Z drugiej strony być może właśnie tak miało być. Być może nie przypadkiem

musiała przejść drogę pełną wybojów i zakrętów. Dotykając rozpaczy i walcząc z bezradnością, zrozumiała, czym tak naprawdę jest kierowanie majątkiem.

Zrozumiała ludzi, którzy od tej pory mieli stanować o jej być albo nie być. Zaczęła pojmować, co mówi wyschnięta ziemia, kielkujące zboże na polach, susza i ulewne deszcze. Widziała podobieństwo chłopów i ziemi. Bruzdy na ich twarzach były podobne do zaoranych pól, na których pracowali. I wraz z tym zrozumieniem coraz bardziej pogłębiał się jej szacunek do tych prostych, pracowitych ludzi. Jednocześnie w parze z poważaniem szła żelazna dyscyplina. Jej delikatna na pozór ręka, gdy zaistniała taka potrzeba, stawała się silna. I dzięki tej idealnie wyważonej mieszance miłości, szacunku i stalowego charakteru zyskała coś, o czym wielu tylko marzyło – bezwzględne oddanie ludzi. Oczywiście nie wszystkich, znaleźliby się i tacy, którzy najchętniej utopiliby ją w łyżce wody, ale godziła się z tym bez szemrania. Przecież gdyby było inaczej, znaczyłoby to, że ziemia niespodziewanie stała się rajem...

W zamyśleniu popatrzyła na stojącą przed nią dziewczynkę.

„Trzeba będzie jeszcze wrócić do tej rozmowy – pomyślała. – I delikatnie, ale prawdziwie wyjaśnić jej sprawę Wiktora i jego przyjaciółki Ladacznicy”. Na wspomnienie oryginalnego „imienia” mimowolnie się uśmiechnęła. Ale to wszystko później. Teraz potrzebowała chwili spokoju, by dojść do ładu z uczuciami, które nią targały. Po raz pierwszy znalazła się w sytuacji, w której chciało jej się śmiać i płakać jednocześnie. Śmiać z oryginalnych skojarzeń małej – mogłaby się założyć, że do końca życia będzie pamiętać o dziedzicznym imieniu Ladacznica – a płakać na myśl o tym, jak bardzo upokorzona i samotna musiała się czuć Mira.

„Tak, teraz już dokładnie rozumiem znaczenie powiedzenia »śmiej przez łzy«” – pomyślała i dopiero po chwili zorientowała się, że dziewczynka cały czas coś mówi.

– Przepraszam cię, Tosiu, ale czy mogłabyś powtórzyć? Trochę się

zamyśliłam. – Uśmiechnęła się przepaszająco.

– Tak mi się właśnie wydawało, że ciocia mnie nie słucha, bo za długo mi ciocia nie przerywała. Zwykle dorosłym już po chwili wędną uszy od takiego nieustannego gadania. Tak mówi Teodozja. „Niech panienka, na miłość boską, zmilknie, toć uszy wędną” – powiedziała dziewczynka, nadzwyczaj udanie parodiując głos Teosi. – Śmieje się ciocia? Nie wierzy mi? Ale tak właśnie jest! Tak mówi, a minę ma przy tym taką, jakby ją bolały wszystkie zęby. A z tymi uszami to też chyba jakaś bajka, bo nigdy nie widziałam, żeby choć na moment jej któreś oklapło...

– O Matko Przenajświętsza, to chyba nie na moje nerwy – mruknęła pod nosem Konstancja. – Tosiu, chyba chciałaś mi powiedzieć coś zupełnie innego...

– Najpierw tak, bo jeszcze nie było tego drugiego tematu. A przecież nie mogłam mówić o czymś, o czym jeszcze nie wiedziałam...

– Gniazdo – przerwała jej słabym głosem Konstancja. – Zaczęliśmy od gniazda.

– A rzeczywiście... – Dziewczynka na moment umilkła, a na jej zarumienionej buzi odbił się wyraz nienaturalnej powagi i zamyślenia.

Konstancja, patrząc na nią, poczuła, jak po plecach przebiega jej zimny dreszcz. Oczy małej w tej chwili były oczami dorosłego, i to takiego, który już wiele przeszedł i niejedno widział.

„Cisza przed burzą” – przemknęła jej przez głowę myśl, pozornie nijak mająca się do sytuacji. Ale Konstancja wiedziała, że tego typu przeczuć nie powinno się lekceważyć. Już jej się to zdarzało i zawsze przynosiło ze sobą zapowiedź czegoś, co dopiero za jakiś czas miało się objawić w pełni. Tak jakby przyszłość na mgnienie oka odkrywała wybraną kartę z zakrytej, tajemniczej talii.

– Widzisz, ciociu... – Na dźwięk głosu dziewczynki Konstancja mimowolnie się wzdrygnęła. – Było mi na początku smutno, że ten ptaszek w tym roku nie przyleciał. Ale tak sobie myślę, że go coś po drodze po prostu zatrzymało. Kto

wie, może pani ptaszkowa dostała ataku globusa i musi trochę poleżeć i odpocząć? A to przecież zawsze wydłuża podróż. Albo zatrzymała go nagła burza. Ale w końcu tu dofrunie. I będzie na niego czekało to gniazdo. Ja też wiem, że będę musiała stąd z tobą wyjechać. Tak naprawdę to nie wierzyłam w to łóżko, tylko chciałam się upewnić. Przecież gdyby był jakiś sposób, to mama by go na pewno wykorzystała. Widać tak musi być. Wiem też, że nasz dom już nie jest nasz. Mamusia mi to wszystko wytłumaczyła. Że tak trzeba, że ona już niedługo musi się przeprowadzić do nieba, do aniołków, a ja muszę być jej takim aniołkiem ziemskim. – Mała na moment zamilkła i pociągnęła nosem.

Konstancja widziała, jak dziewczynka walczy z napływającymi do oczu łzami i jak usiłuje nie pozwolić usteczkom wygiąć się w podkówkę. Na ten widok serce kobiety ścisnęło się i oczy jej zwilgotniały. Z całych sił zacisnęła ręce, aż nawet przez koronkowe rękawiczki poczuła, jak paznokcie boleśnie wbijają się w skórę dłoni. Pomogło, łzy się cofnęły, choć na sercu nadal spoczywał ogromny ciężar. Tego jednak na szczęście nie było widać gołym okiem. Na płacz nie mogła sobie teraz pozwolić, w tej chwili musiała przede wszystkim utwierdzić Antoninę w przekonaniu, że z ciotką nie musi się niczego bać, że cokolwiek się wydarzy, przy niej będzie bezpieczna. A żeby to osiągnąć, nie mogła okazać słabości.

– Tosiu, zrobię wszystko...

– Wiem. – Dziewczynka uniosła głowę i spojrzała jej prosto w oczy. – Mama mi powiedziała, że się mną zaopiekujesz, a nigdy mnie dotąd nie okłamała. No, może jeden raz, wtedy gdy zapewniała mnie, że wszystko będzie dobrze. Bo jak może być dobrze, jeśli ona zamieszka tam w niebie, a ja zostanę tutaj?

Konstancja z trudem przełknęła ślinę. Miała wrażenie, że wokół jej szyi zaciska się niewidzialna obręcz i utrudnia nabieranie powietrza.

„Przeceniłaś mnie, Miro. To ponad moje siły – pomyślała z rozpaczą. – Doprawdy, śmierć powinna mieć trochę przyzwoitości, wyznaczając tych, których zabierze – zbuntowała się. – Tylu nikczemników chodziło po świecie,

tylu, nie przymierzając, Sępińskich dożywało późnej starości. Czy nie lepiej by było zająć się nimi, a przyzwoitych ludzi zostawić w spokoju?”

– Tosiu, dziecko, mama cię nie okłamała. Czasem mówimy pewne rzeczy, bo bardzo potrzebujemy w nie wierzyć – jakimś cudem udało jej się opanować drżenie głosu. – Ale zobaczysz, nawet jeżeli teraz wydaje ci się to niemożliwe, to za jakiś czas znów poczujesz, że jest dokładnie tak, jak mówiła ci mama. Będzie dobrze. Chociaż inaczej.

– A czy twoja mama też już tam mieszka? – Dziewczynka sugestywnie spojrziała w niebo.

– Tak. I mama, i tata, i nawet mój mąż...

– No to obie jesteśmy takie sierotki. Ty całkiem, a ja prawie. – Pokiwała z powagą głową. – Tylko ty, ciociu, masz swój dom. A ja muszę stąd wyjechać razem z tobą. Ale tak sobie myślę, że ja tutaj jeszcze wrócę. To będzie takie moje puste gniazdko, tak jak to na drzewie. Będzie na mnie czekać – powiedziała z dziwną mocą i pewnością siebie.

Tym razem przyszłość nie poprzestała na machnięciu odkrytą kartą, ale przemówiła ustami dziecka.

Mira żyła jeszcze tydzień. Odeszła spokojnie, nieomal niezauważenie. Siedziały wszystkie trzy w saloniku – ona, Konstancja i Antonina. Z ogrodu wpadał do domu ciepły wietrzyk. Mira poprosiła, aby przysunąć szezlong pod otwarte okno.

– Nie powinnaś leżeć w przeciągu – zaprotestowała Konstancja.

– Daj spokój, w moim stanie na szczęście nie muszę się już przejmować czymś tak prozaicznym jak przeciąg – prychnęła chora i zaniósła się kaszlem. – Chcę widzieć niebo i zieleniące się korony drzew – dodała, gdy uspokoiła oddech.

I Konstancja uległa. W saloniku zapadła cisza. Antonina pracowicie ściboliła coś na tamborku, a ona sama przeglądała „Dziennik Domowy” i minęło sporo czasu, nim zorientowała się, że czegoś jej brakuje. Rozszerzonymi oczami spojrzała na Mirę i zobaczyła, że pierś ma nieruchomą. Kobieta leżała z przymkniętymi oczami, z twarzą zwróconą ku niebu. Na jej ustach błąkał się lekki, zawadiacki uśmiech.

Mira, która była w ciągłym ruchu, która śmiała się głośno, kochała życie i rzucała się w nie głową naprzód, odeszła cichutko i niepostrzeżenie, tak jak czyniła to na balach, gdy chciała się wymknąć do czekającego na zewnątrz kochanka. Kto wie, być może śmierć, której tak się wszyscy bali, specjalnie dla niej wystąpiła w postaci przystojnego amanta. Takiego, który już nigdy, przenigdy jej nie zdradzi i zawsze dotrzyma jej kroku.

Tej nocy nikt nie zmrużył oka. Antonina płakała rozpaczliwie i nikomu nie dawała się do siebie zbliżyć. Była to czysta, niepoohamowana rozpacz. Konstancja rozumiała ją doskonale. Targały nią podobne uczucia, gdy odszedł Tadeusz. Teraz zresztą też miała ochotę zamknąć się i w odosobnieniu wypłakać cały żal, jednak – w przeciwieństwie do dziewczynki – nie mogła sobie na to pozwolić. Trzeba było się zająć pogrzebem, domem i przygotowaniem do wyjazdu.

Z miejsca dopilnowała, by zatrzymano zegary i zakryto wszystkie lustra. Patrząc, jak czarne zwoje opadają na kryształowe tafle zwierciadeł, pomyślała o tym, jak bardzo to, przed czym na co dzień wszyscy starają się uciekać, liczy się w takich momentach.

„Cały czas odżegnujemy się od przesądów i dawnych wierzeń – myślała, zatrzymując wahadła zegarów na piętrze. – Jednak gdy przyjdzie co do czego, do głosu dochodzi pierwotny lęk. Boimy się tego, co nieznane, i wolimy dmuchać na zimne. Zasłaniamy się tradycją i poszanowaniem dla zmarłych. Lecz czym różni się wiara w to, że wycie psa zapowiada śmierć, od zakrywania luster?”

Oczywiście nie podzieliła się tymi myślami z nikim. Ale też nie odezwała się ani słowem, gdy koło trumny, w której złożono Mirę, kucharka Teodozja ustawiła krzyżyk, garnuszek z wodą, opasany czerwoną włóczką, a przy nim kawałek chleba i kaganek łojowy.

– Trzeba dopilnować, żeby palił się nieustannie aż do momentu, gdy trumnę wyniesie się na cmentarz – powiedziała zapłakana kobiecina. – Potem ofiaruje się go razem z chlebem ubogim – dodała i podeszła do okna.

Lekko je uchyliła i przełożyła przez szparę ręcznik, a parapet posypała mąką.

– U jaśnie pani tak się nie robi? – zapytała, widząc zdziwienie na twarzy Konstancji.

– Nie, nie ma takiego zwyczaju. Powie mi Teodozja, po co to wszystko? – wskazała głową na zwisający z parapetu materiał.

– A juści! Okna się nie zamyka, bo dusza wchodzi tylko oknem, a sama nie może sobie otworzyć, więc musi mieć drogę ułatwioną. Mąkę sypię, żeby wiedzieć, czy dusza przychodziła, bo jak się zjawia, to zostawia na mące ślady. Różne bywają, czasem tylko lekkie smugi, a czasem widać pazurki albo małeńkie stópki. – Wielką chustką wytarła zapłakane oczy. – Połowa ręcznika musi wisieć na dworze, żeby dusza wiedziała, które okno dla niej uchylone, a garnuszek z wodą jest po to, żeby co rano mogła twarz obmyć i połową ręcznika, która w środku wisi, potem się wytrzeć. Bo jaśnie pani powinna wiedzieć, że dusza czystość lubi, a dopóki w domu ciało leży, to się jeszcze nie może pożegnać z ziemskimi przyzwyczajeniami. Chleb zostawiamy po to, żeby dusza miała co jeść, kaganek, by miała widno, a krzyżyk, żeby się miała jak modlić – dodała, sprawdzając, czy okno aby na pewno się nie zamknie.

– Niech się Teodozja nie martwi, dopilnuję, żeby nikt ręcznika nie ruszył – uspokoiła ją Konstancja. – Zaraz przybędzie Jan z żoną i dziećmi. Pewnie przyjadą też inni, żeby czuwać przy... – Zamilkła, nie wiedząc, jakich słów użyć. „Ciało” ani „zmarła” nie chciało jej przejść przez usta. – ... przy Mirze – dokończyła wreszcie i poczuła, że ból głowy, który towarzyszył jej od wczorajszego wieczoru, znowu się nasila. Potarła dłonią skroń i pomyślała, że będzie musiała wieczorem natrzeć czoło specyfikiem, który przed wyjazdem dostała od pana Gustawa. Żeby go użyć, musiała jednak się położyć, a na to w tej chwili nie mogła sobie pozwolić. „Do wieczora jakoś wytrzymam” – pomyślała. – Antonina schodziła dziś na dół? – zwróciła się do Teodozji.

– Nie, nadal nie chce wyjść z pokoju. Strasznie cierpi to nasze dziewczątko. I nic nie chce jeść. Jak tak dalej pójdzie, zagłodzi się na śmierć.

– Spokojnie, trzeba dać jej trochę czasu. Niech się wypłacze. Ma młody, silny organizm, który w końcu upomni się o swoje prawa. Teraz dam jej jeszcze chwilę, a potem zajrzę do niej i spróbuję przekonać, by chociaż trochę bulionu się napiła. Wszystko będzie dobrze – mruknęła i sama nie wiedziała, czy mówi to do Teodozji czy do siebie.

Tymczasem na piętrze Antonina poczuła, że już nie może płakać. Widać w nocy wylała wszystkie łzy. Teraz leżała na łóżku, okryta starą peleryną, i suchymi oczami wpatrywała się w białą plamę sufitu.

Czuła się osamotniona, opuszczona i tak nieszczęśliwa, jak nieszczęśliwe może być tylko porzucone dziecko. Śmierć matki nie była dla niej zaskoczeniem. Od wielu tygodni była przygotowywana na to, że dzień pożegnania nadejdzie nieubłagane. Wiedziała, że będzie cierpieć, ale nie sądziła, że rozpacz rozerwie jej serduszko na małe kawałeczki. Tak bardzo chciała dołączyć do mamy, pragnęła całą sobą, aby mogły razem przejść przez ten niewidoczny próg oddzielający świat żywych od tego drugiego, tajemniczego.

Gdy kiedyś o tym wspomniała, mama uśmiechnęła się do niej tym swoim pięknym, promiennym, łagodnym uśmiechem i przytulając ją, wyjaśniła, że tak jej się tylko wydaje.

– Będziesz rozpaczać, ale smutek i żal w końcu miną i znów zaczniesz się śmiać i oddychać pełną piersią – powiedziała tak pewnie, że Tosia nie śmiała zaprotestować.

W tej chwili jednak, pogrążona w bólu, nie była w stanie uwierzyć, że słowa matki kiedykolwiek się ziszczą.

W końcu mama była dla niej całym światem. To ona ją przytulała i pocieszała, otulała kołdrą wieczorami, całowała miejsca, w które Tosia się uderzyła, opowiadała bajki na dobranoc i broniła przed wszystkim co złe. I kochała ją bezgranicznie.

Jak dziewczynka mogła teraz żyć na świecie i nigdy już nie wypowiedzieć

najpiękniejszego słowa „mama”?

A jednak, cokolwiek czuła w głębi serca, wiedziała, że będzie musiała jakoś się przemóc. Obiecała to mamie. Przyrzekła, że się nie podda i że będzie dzielna. Że będzie podporą dla ciotki Konstancji.

„Jest nadzieja, że nie będę musiała się długo męczyć – pomyślała, naciągając burą pelerynę na głowę. – Stara młynarzowa mówiła, że suchoty są dziedziczne i z całą pewnością długo nie pożyję. Oby miała rację! Ale dopóki jestem na tym świecie, muszę być dzielna i nie przynieść mamusi wstydu. Popłaczę sobie jeszcze pięć minut, a potem wstanę, zejść na dół i aż do wieczora będę tak dzielna jak jeszcze nigdy” – postanowiła, zacinając małe usteczka.

Wbrew tym postanowieniom ani jedna łza nie wymknęła się na jej policzek. Antonina naprawdę nie miała już czym płakać. Pod peleryną było mrocznie i zacisznie. Dziewczynka nawet nie wiedziała, kiedy oczy jej się zamknęły i otulił ją sen.

Gdy Konstancja weszła do jej pokoju, najpierw wydawało jej się, że na łóżku leży tylko stara wojskowa peleryna. Dopiero po chwili spostrzegła rysujący się pod nią kształt. Gdy delikatnie odchyliła jej połą, zobaczyła zwiniętą w kłębuszek dziecięcą postać. Na twarzy dziewczynki widoczne były ślady nocnego płaczu. Powieki miała zapuchnięte, policzki rozgrzane. Konstancja już miała ściągnąć z niej pelerynę i przykryć śpiącą puchatym pledem, ale w ostatnim momencie zrezygnowała. Na powrót okryła Antoninę burą szorstką tkaniną.

„Skoro ją wybrała, widać miała ku temu jakiś powód” – pomyślała, na palcach przemykając do wyjścia. Bezgłośnie zamknęła za sobą drzwi i doszła do wniosku, że sen to najlepsze znieczulenie i lekarstwo, jakie można sobie wymarzyć.

Kolejne kilka dni minęły na przygotowaniach do pogrzebu i stypy. Trzeba było sporządzić poczęstunek dla żałobników i osobne dania dla dziadów proszalnych, których zawsze na pogrzebach było pełno, a tradycja nakazywała ich również ugościć. Teodozja uwijała się w kuchni jak w ukropie, poganiając młode pomocnice. Łatwo z nimi nie było, bo wiedząc, że dwór od dawna nie należał już do Miry, sarkały, narzekały i twierdziły, że powinny pracować dla nowego pana, którego przecież jeszcze tu nie ma. I nie wiadomo, czym ten bunt służby by się skończył, gdyby nie Konstancja. Słyszając, jak Teodozja po raz kolejny usiłuje zagonić leniące się kobiety do roboty, wpadła do kuchni i potoczyła po siedzących na ławach groźnym wzrokiem.

– Czy ja dobrze słyszę, że odmawiacie pomocy? I to przy czym? Przy uczcie pożegnalnej? Stypy nie chcecie przygotowywać? Pięknie! Ciekawe, kto was obroni przed gniewem zmarłej. Duszy nie można bezkarnie rozsierdzać, to po pierwsze! A po drugie, ciekawe, czy pan Rozenkranc wpadnie w zachwyt, gdy się dowie, jakie ma pracowite panny! A dowie się na pewno! Już moja w tym głowa! Albo więc bierzecie się do roboty, albo zaczniecie służbę u nowego pana od przyjęcia porcji batów – dodała twardo.

Oczywiście wszystkie te groźby były wyssane z palca, ale z miejsca poskutkowały. Konstancja przez moment zastanawiała się, co bardziej przeraziło służące: możliwość zemsty z za grobu czy realna kara, którą je postraszyła. Właściwie nie miało to jednak żadnego znaczenia. Najważniejsze, że robota zaczęła palić im się w rękach i Teodozja nie musiała już dwa razy powtarzać poleceń.

„A swoją drogą, to my z panem Rozenkrancem też niebawem się spotkamy i pomówimy sobie od serca” – pomyślała, wchodząc do salonu i odruchowo prostując ramiona.

– Mam ja z nim, moja droga Miro, pewne pilne sprawy do omówienia i coś mi mówi, że niekoniecznie mu się spodoba to, co ode mnie usłyszysz – szepnęła, patrząc na wiszący na ścianie portret przyjaciółki. – Jedno mogę ci w każdym razie obiecać: na pewno nie dam za wygraną. Pan Rozenkranc jeszcze nie wie, co go czeka – dodała i energicznie ruszyła na górę, żeby przejrzeć rzeczy w pokoju Antoniny.

Przygotowania do pogrzebu i czekającej jej w niedługim czasie podróży zajmowały mnóstwo czasu, lecz Konstancja w głębi ducha była wdzięczna za to, że jest tak zajęta. Nie miała możliwości, żeby zastanawiać się nad tym, jak bardzo cierpi i jak bardzo boi się zmian. Wychowanie dziecka zawsze stanowi ogromne wyzwanie, a w przypadku Antosi, która pogrążona była w rozpacz, wyzwanie to stawało się wielokrotnie większe. Nic dziwnego, że na samą myśl o tym Konstancja czuła ogromny niepokój, który usiłowała zagłuszyć, wynajdując sobie coraz to nowe zajęcia.

Mijały dni. Mirę ze wszystkimi honorami odprowadzono na cmentarz. Antonina była nad podziw dzielna. Tak jak sobie obiecała, w ciągu dnia nie płakała wcale i starała się pomagać, jak tylko potrafiła. Kilka razy dziennie biegała na mały cmentarzyk i składała na grobie matki bukietki z polnych kwiatów. Szłochała tylko nocami – było to widać po jej zapuchniętej o poranku twarzy. W końcu któregoś dnia stanęła przed Konstancją i spojrzała na nią wielkimi oczami Miry.

– Ciociu, Teodozja w kuchni mówiła, że pan Rozenkranc się tutaj wybiera i zamierza nas z domu wyrzucić – wyszeptwała. – Podobno twierdzi, że już dosyć się naczekał.

– Doprawdy, Teodozja mogłaby częściej trzymać język za zębami – burknęła w odpowiedzi Konstancja. – Nic się nie martw, panem Rozenkrancem zajmę się osobiście. Ale rzeczywiście musimy się zbierać do drogi – dodała i z lekkim wahaniem przygarnęła małą do siebie.

Nie wiedziała, czy Tosia jej nie odtrąci, bo tuż po śmierci Miry nie dawała się ani przytulić, ani nawet pogłodzić po włosach. Teraz jednak przytuliła głowę do piersi Konstancji i objęła ją mocno ramionami w pasie. Ten niespodziewany czuły gest sprawił, że kobieta poczuła w sercu coś, o czym dawno zapomniała i z czym już dawno zdążyła się pożegnać. Odezwała się w niej niemal matczyzna tkliwość. I nawet nie wiedziała, że tak oto rodzi się w niej miłość do tego opuszczonego i samotnego dziecka.

Jeszcze tego samego wieczoru oznajmiła Janowi, który był u nich stałym gościem, że następnego dnia będą się zbierać do drogi.

– Wozy mam przygotowane, służbę nagonię, żeby pomogła mi je załadować – powiedziała z westchnieniem. – Doprawdy, już nie można dłużej zwlekać.

– Co ty chcesz na te wozy ładować? – Jan uniósł w zdumieniu brwi. – Przecież wiesz, że ten dom i całe wyposażenie nie należą do Tosi, bo ten łajdak Wiktor przegrał wszystko w karty. Dobrze, że na tym poprzestał, bo chodziły słuchy, że nawet żonę chciał przehandlować.

– Nie chcę o tym słuchać. A co do wozów, to uwierz mi, będzie czym je wypełniać. A pan Rozenkranc sam na to przyzwoli.

– Co ty planujesz? – Jan spojrział na nią z uwagą.

– Nic, o czym chciałabym mówić – powiedziała, a po jej twarzy przemknął wyraz doskonale znany Janowi z Wilczego Dworu. Znaczył tyle, że Konstancja już podjęła decyzję i za nic jej nie zmieni.

– Posłuchaj, ten Rozenkranc to drań. Umie patrzeć tylko na własne interesy. Wszystko przelicza na gotówkę. Nic u niego nie wskórasz.

– Pożyjemy, zobaczymy. – Konstancja uśmiechnęła się lekko.

– To przynajmniej pozwól mi być przy tej rozmowie, znam go i wiem, że prędzej mnie posłucha niż ciebie. Wybacz, ale on nie poważa kobiet.

– Nie ma mowy. Jeżeli cię to uspokoi, to przyjedź jutro. Będiesz na miejscu i gdybym potrzebowała pomocy, to cię zawołam. I tak miałam cię prosić, żebyś mi Józka użyczył na jutrzejszy dzień.

– Jesteś uparta niczym oślica – sarknął Jan. – Ale niech i tak będzie. Przyjadę razem z Józkiem. I tak bym nie mógł w domu wysiedzieć z niepokoju, a tak będę miał na wszystko oko. Nie lubię, gdy trzymasz przede mną tajemnice. Zawsze potem wychodzi z tego niezły galimatias.

– Cóż, widać taki mój urok – skwitowała Konstancja i uśmiechnęła się uroczo.

Jan, patrząc na nią, ze smutkiem pomyślał, że nieuchronnie nadchodzi moment pożegnania. I wszystko znów wróci do normy. Będzie zajmował się

gospodarstwem, córkami, żoną... Spokojne, zwyczajne życie.

Życie bez Konstancji.

Na samą myśl o tym, że zapewne długie miesiące dzielą go od ponownego z nią spotkania, poczuł, że coś ściska go w piersi.

„Ona jest dla mnie powietrzem – pomyślał. – Jak mam żyć, nie mogąc oddychać?” I w tym momencie dotarło do niego, że cokolwiek by robił, jak bardzo by się starał, Konstancja nigdy nie zniknie z jego życia. Nawet jeżeli będzie o setki mil od niego, to będzie tuż obok. Upragniona, bliska, ale niedostępna. Dawna niespełniona miłość, zepchnięta na dno serca, wyrwała się na wolność i nie zamierzała dać o sobie zapomnieć.

Następnego dnia Jan w milczeniu obserwował poczynania Konstancji. Przed dworem postawiono dwa wozy i zaczęto na nie ładować portrety, porcelanę i inne wskazane przez Konstancję przedmioty.

– Józku, a ty teraz wsiadaj na koń i jedź do gospody – nakazała woźnicy. – Tam odszukaj Rozenkranca. Gdyby go nie było, poczekaj na niego, a potem poproś, żeby przyjechał. Powiedz, że chciałabym się z nim zobaczyć przed opuszczeniem dworu. Gdyby się opierał, dorzuc, że wozy pakuję, wtedy przyleci jak do pożaru.

– Jakże to, ja mam na jasnie panią donosić? Po moim trupie! – oburzył się Józek.

– Nie donosić, tylko fortel zastosować – wyjaśniła mu Konstancja. – Czasem trzeba okrężną drogą do opornych dotrzeć – dodała.

– No, chyba że tak – mruknął udobruchany chłopak i pobiegł wykonać polecenie.

– Dobrze. Jedno załatwione – uśmiechnęła się Konstancja. – A teraz ty, Janku. Przyjmiesz Rozenkranca i przyprowadzisz go do mnie, do salonu. Może i dobrze, że cię zobaczy, bo będzie miał świadomość, że nie jestem sama i pozory trzeba zachować. – Pokiwała głową w zamyśleniu i poszła do wielkiego salonu.

Tam usiadła na pięknym pałacowym krześle przy niewielkim okrągłym stoliku, pamiętając po osiemnastowiecznych chińskich fascynacjach Polaków. Naprzeciwko niej na fotelu spoczywał przygotowany do zapakowania portret Miry – pięknej i młodej dziewczyny, która wtedy, gdy go malowano, miała cały świat u stóp.

„Byłaś taka śliczna” – pomyślała Konstancja, wpatrując się uważnie w obraz. Im intensywniej się mu przyglądała, tym więcej widziała podobieństw pomiędzy matką a córką.

„Tosia ma jej oczy i brwi. I uśmiecha się tak samo, trochę po kociemu. Wszystko wskazuje na to, że wyrośnie na prawdziwą piękność. Ciekawe, jak to będzie żyć pod jednym dachem z dziewczynką”. – Konstancja mimowolnie się uśmiechnęła. Kiedyś, dawno temu, gdy jeszcze żył Tadeusz, marzyła o córce, lecz wraz z jego śmiercią odrzuciła precz tego typu rojenia. Wiedziała, że nie wyjdzie drugi raz za mąż, i tym samym pogodziła się z tym, że na zawsze będzie matką jedynaka. A tu proszę: los miał inny pomysł. Oczywiście nie zamierzała zajmować miejsca Miry, wiedziała, że w sercu Antoniny wspomnienie matki będzie zawsze miało szczególne miejsce, ale przecież to nie znaczyło, że dziewczynka nie może jej pokochać. „Cóż, czas pokaże, jak to wszystko się potoczy” – pomyślała i spojrzała w namalowane na płótnie oczy Miry – tak podobne, że niemal jak żywe.

– Kochałam cię jak siostrę i kocham nadal. Tosi będzie u mnie dobrze, obiecuję – szepnęła i odniosła wrażenie, jakby twarz na portrecie drgnęła.

W tym samym momencie ktoś delikatnie zastukał w drzwi. Mistyczna cisza pierzchła bezpowrotnie.

– Proszę! – zawołała Konstancja, przybierając nieprzenikniony wyraz twarzy.

– Proszę pani! Przyjechał pan Rozenkranc, zły jak sam diabeł. Rozmawia z panem Janem, ale pomyślałam, że na wszelki wypadek uprzedzę – wyszeptęła z wyraźnym lękiem Teodozja.

– Spokojnie. Pan Jan zaraz go do mnie wprowadzi. I niech się Teodozja nie martwi, jestem przygotowana na tę wizytę – dodała ze stoickim spokojem.

W rzeczy samej, nie widziała powodu, aby czuć zaniepokojenie. Ogarnęło ją raczej lekkie zażenowanie pomieszane z pogardą.

Nie musiała długo czekać. Już po chwili drzwi otworzyły się szeroko i stanął w nich Jan, a za nim wysoki, barczysty, brodaty mężczyzna.

– Dziękuję ci, Janie, za przyprowadzenie gościa. Zostawisz nas teraz samych?

– Na pewno? Konstancjo, znamy się trochę z panem Rozenkrancem, więc może zostanie? – Jan jeszcze raz chciał się upewnić, czy Konstancja nie zmieniła zdania. Prawdę mówiąc, nie czuł się dobrze, zostawiając przyjaciółkę sam na sam z człowiekiem, którego znał nie tylko z tej dobrej strony.

– Na pewno. Poradzimy sobie sami, mamy trochę spraw do omówienia, natomiast gdybyś mógł mieć baczenie na postęp rozpoczętych prac, byłabym ci ogromnie wdzięczna...

– Łaskawa pani, nie rozumiem, jakich prac! – wszedł jej w słowo Rozenkranc. Na pierwszy rzut oka było widać, że mężczyzna jest wyraźnie nie w sosie. – Jakim prawem cokolwiek tutaj jest pakowane i kto śmie wydawać moim chłopom i mojej służbie jakiegokolwiek komendy?! Proszę o natychmiastowe wyjaśnienia! – Pomimo wyraźnej złości, która wykrzywiła mu twarz w nieprzyjemny grymas, Rozenkranc starał się trzymać pewnych, przynajmniej szczątkowych form grzeczności.

– O tym właśnie chciałam z panem rozmawiać – spokojnie odpowiedziała Konstancja, wymownie spoglądając na Jana.

Ten tylko westchnął i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– No to zostaliśmy sami. – Konstancja wskazała przybyszowi krzesło przy stole niemal dokładnie na wprost okna, pod którym siedziała. – Myślę, że może mi pan poświęcić kilka minut, prawda?

– No, ja myślę, łaskawa pani, że nawet parę sekund nam wystarczy – Rozenkranc po chwili wahania usiadł na wskazanym miejscu. – Proszę, słucham, co ma mi pani do powiedzenia.

– Przede wszystkim, panie Rozenkranc, chciałam podziękować za ten fawor, dzięki któremu moja serdeczna przyjaciółka mogła we względnym spokoju dożyć końca swego życia we własnym... O przepraszam, niemal własnym domu.

– No, wie pani, aż taki zły nie jestem, żeby pani Mirze szkodzić. Straciła majątek przez męża, ale pomoc co nieco mogłem. Rozliczenia nie żądam, pani Mira to była dobra, uczciwa kobieta – mruknął mężczyzna zbity nieco z pantałyku miłymi słowami Konstancji.

– Dobrze, że pan o tym wspomina, bo właśnie w ramach pańskiego dobrego serca pragnę poprosić o zachowanie dla Antoniny, jedyne dziecko Miry, rodzinnych pamiątek. Mam nadzieję, że zezwoli pan na ich zabranie, nieprawdaż?

– No wie pani! Przecież uczciwie te dobra nabyłem! Wiktor Bernański, mąż pani powinowatej, przegrał majątek w karty, a ja nabyłem do niego wszelkie prawa, nie rozumiem więc, jak śmie pani wykorzystywać moje dobre serce? Mogłem przecież wszystkich wyrzucić na bruk! A teraz za moją dobroć jeszcze się mnie rabuje?!

– Panie Rozenkranc, po co te nerwy? Myślę, że się dogadamy, i do pamiątek dołoży pan jeszcze dwa tysiące talarów na wiano dla Antoniny. Wstyd byłoby, uzyskując taki majątek, wart bez mała z pięćdziesiąt tysięcy, nie dać dziecku jakiegoś zachowku. Nie sądzi pan?

– O co to, to nie! To już jest gruba przesada! Nie wiem, z kim się pani na rozumy pozamieniała, ale ja się nie dam wystrychnąć na dudka! Daję wam czas do wieczora, a później pogonię batem! Wiedzą tu, że mogę! – Rozenkranc wstał tak gwałtownie, że krzesło, na którym siedział, upadło na podłogę. Pochylił się nad stołem i zbliżył poczerwieniałą z gniewu twarz do twarzy Konstancji. – Czas do wieczora... – wysyczał.

Konstancja nawet nie drgnęła, jedynie zmrużyła nieco oczy i spod rzęs popatrzyła na wściekłego mężczyznę.

– Siadaj pan, panie Rozenkranc. A może raczej panie... Rawer? – Znacząco zawiesiła głos.

– Nie wiem, o czym pani mówi. Jaki Rawer? – Mężczyzna podniósł krzesło i opadł na nie. Czerwona dotychczas twarz zbladła. – O czym pani mówi, pani Drucka?

– O niczym szczególnym. Po prostu zaprosiłam tu pana, abyśmy ustalili, jak się pożegnamy. Czy w miłym tonie i zawsze ciepło wspominając tę krótką znajomość, czy też inaczej: z dużymi problemami i nieprzyjemnościami. Takimi, które może nie pojawią się od razu, ale kiedyś... Wie pan, co mówią, Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

– Proszę jaśniej. Nadal nie wiem, o czym pani mówi.

– Panie Rozenkranc, powiem tak. Pamięta pan rok 1831? Po potyczce pod Wikuniami, gdzie zginęli pułkownik Rożek i wielu oficerów, a dowództwo oddziału partyzanckiego naszej armii przejął porucznik Bojkowski, oddział zatrzymał się u nas, w Wilczym Dworze. Stąd mogę wydawać się panu znajoma... Choć byliśmy wtedy znacznie młodsi... Dowództwo oddziału zostało przekazane młodemu chłopakowi nazwiskiem Mojsze Rawer, jako że porucznik Bojkowski z powodu utraty krwi nie mógł dalej przewodzić. Niestety, cały oddział został niemal rozstrzelany przez trzy kompanie rosyjskie. Zginęli wszyscy, tak jakby ktoś wprowadził ich wprost pod działa i karabiny Rosjan. Jak pan sądzi, kto może być odpowiedzialny za coś takiego? Dodam tylko, że boskim cudem i pułkownik Rożek, i porucznik Bojkowski przeżyli... Jak pan sądzi, czy zainteresuje ich wieść, że znalazłam kogoś, kto przeżył tę masakrę? Myśli pan, że nie będą dociekać, jak to się stało?

– Naprawdę nie wiem, o czym pani mówi – wyszeptał, patrząc w blat stołu Rozenkranc. – Nie znam żadnego Rożka ani Bojowskiego, nigdy nie byłem

w żadnym powstaniu...

– Na pewno, panie Rozenkranc. Ja chętnie panu uwierzę, ale inni? Różnie może być. Poza tym proszę pamiętać, że jeżeli chciałby pan na mnie donieść, to każdy kij ma dwa końce. Ja byłam jedynie kobietą mieszkającą we dworze i pielęgnującą śmiertelnie chorego męża. Musiałam z pokorą przyjmować zawieruchy, które przetaczały się pod moim dachem, a pan tkwił w środku tej całej podejrzaney maszyny. Gdyby miał pan jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, to proszę. – Konstancja wyjęła z pugilaesu kartkę złożoną na cztery. – Proszę to przeczytać.

Rozenkranc rozłożył pismo. Opatrzony urzędowymi pieczęciami dokument nakazywał udzielenie wszelkiej pomocy okazicielce, pani Konstancji Druckiej-Horskiej. Na widok podpisu Rozenkranc zbladł jeszcze bardziej. Pismo sygnowano w samym Wiedniu. Mężczyzna spojrzął na Konstancję niemal z lękiem.

– Panie Rozenkranc, jak się pan domyśla, mam ustosunkowanych przyjaciół – powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. – Wożę to pismo z sobą tak na wszelki wypadek, gdybym musiała to podkreślić.

– Rozumiem. W czym w takim razie mogę pani pomóc?

– W zasadzie wie już pan w czym. Niczego szczególnego nie żądam, ot, trochę serca dla sieroty.

– Bierzcie, co potrzeba. Na dwa wozy... nie więcej. – Wpił w nią nienawistne spojrzenie.

– A wiano dla małej?

– Szanowna pani, proszę nie przekraczać pewnych granic!

– Panie Rozenkranc. Majątek wart jest pięćdziesiąt tysięcy talarów! Granica jest znacznie dalej!

– Tysiąc! Niech będzie moja krzywda!

– Nie może być. Prosiłam o dwa tysiące i tyle pan da, prawda? – Harde

spojrzenie bursztynowych oczu Konstancji wypalało w ciemnych oczach Rozenkranca dziury. Mężczyzna odwrócił wzrok.

– Dobrze, dam tyle. Ale przyjaciół nie umie sobie pani zjednywać – powiedział schrypniętym głosem

– Jest pan niezwykle szczodry. Bardzo panu dziękuję. – Konstancja pozwoliła sobie na uśmiech i ostatnią uwagę pominęła milczeniem. – I możemy ruszyć jutro z rana? Wolałabym nie zaczynać podróży nocą.

– Tak, przecież i tak muszę dostarczyć pani pieniądze... Jutro rano. Żegnam panią.

Rozenkranc wstał i odsunął z hurgotem krzesło. Ukłonił się lekko Konstancji i pochylił się nad wyciągniętą dłonią w koronkowej rękawiczce. Następnie skierował się do drzwi. Gdy te zamknęły się za nim cicho, Konstancja spojrzała na portret Miry i uśmiechnęła się lekko.

– Widzisz, teraz twoja córka, Miro, nie zaczyna już tak zupełnie od zera... – wyszeptła i poczuła, że przez uchylone okno wpadł podmuch, który musnął jej zaróżowione policzki.

Trzeba było przygotować się do drogi. Na zewnątrz wiał coraz mocniejszy wiatr, tak jakby chciał podkreślić, że to on będzie przewodził w tej podróży. W końcu wiódł za sobą swoje dziecko.

Córkę wiatrów.

Koniec tomu pierwszego.

* Tu nawiązanie do powstania listopadowego. Wspomniana bitwa jest fikcyjna.

Projekt okładki
Izabella Marcinowska

Fotografie wykorzystane na okładce
Lee Avison / Trevillion Images
Anna Zakharchenko / Shutterstock
Ernest R. Prim / Shutterstock
Stephen Mulcahey / Arcangel

Opieka redakcyjna
Dorota Gruszka

Adiustacja
Aleksandra Kamińska

Korekta
Barbara Gąsiorowska
Barbara Wójcik

Copyright © by Magdalena Kordel
© Copyright for this edition by SIW Znak sp. z o.o., 2017

ISBN 978-83-240-4996-7

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

